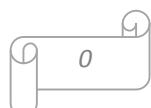




EMMA GOLDRICK



Jak ogień



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Siekiera zagłębiła się tak mocno w stary pniak, który służył mu do rąbania drzewa na opał, że jej trzonek drgał jeszcze przez kilka chwil. Gorące poranne słońce parzyło odsłonięte, pokryte teraz lepkiem potem, ramiona mężczyzny. Czuł się wyśmienicie. Napiął mięśnie ręki i roześmiał się na widok leżących na ziemi szczap. Nie musiał się spieszyć. Miał mnóstwo czasu, a Liban był daleko. Sięgnął ręką po swój słomkowy kapelusz i opadł na gęstą murawę, zasłaniając oczy szerokim rondem. Pomyślał, że jak na człowieka, który całkiem niedawno trafił na statek-szpital na noszach, pełen obaw, iż nigdy nie odzyska władzy w nogach, powodzi mu się teraz całkiem nieźle.

Machinalnie wyciągnął rękę po źdźbło trawy. Żuł je, kręcąc się i wiercąc w poszukiwaniu jak najwygodniejszej pozycji dla swego drugiego i chudego ciała. Kilka minut później już smacznie chrapał.

Obudziły go cieniutkie, dziecięce głosiki.

- A nie mówiłam, że ktoś tu jest?

Otworzył oczy i zsunął z twarzy kapelusz. Przed nim stała trójka jasnowłosych, niebieskookich maluchów w krótkich spodenkach i bawełnianych koszulkach.

Mężczyzna usiadł powoli, nie wierząc własnym oczom. Wiedział, że na tym górskim odludziu był jeszcze tylko jeden dom, większy niż ten, który on sam zamieszkiwał, ale przez wszystkie lata, kiedy tu przyjeżdżał, nikt nigdy tam nie przebywał.

- Cześć - powiedział. Nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

- Cześć - odpowiedziało najstarsze. - Ja jestem Faith, a to Hope i Michael. Michael jest wśród nas jedynym chłopcem, co czyni go spadkobiercą.

- Chcesz powiedzieć, że on wszystko dziedziczy?

- Przecież to właśnie powiedziałam. Mógłby pan na chwilę wstać i obrócić się?

Skrywając uśmiech, mężczyzna wstał i powoli obrócił się dookoła.

- Hope, jest chyba wystarczająco wysoki, co?

- Taak, chyba tak. Jest prawie tak wysoki jak tatuś. Myślisz, że się nada?

- No, nie wiem. Ona jest niesłychanie wybredna. Czy pan gdzieś pracuje?

-Tak, w pewnym sensie... Piszę książkę. A ty umiesz już czytać?

- Oczywiście - parsknęła Faith. - Mam już przecież dziewięć lat. Hope też już czyta, ale tylko kilka słów. Ona ma dopiero sześć lat. A Michael nic jeszcze nie robi... poza tym, że stale pakuje się w kłopoty. Ma dopiero trzy latka.

- Biedny Michael. Całkowicie pod pantoflem dwóch dużych siostrzyczek.

- Czterech - poprawiła go Faith. - Nie ma z nami Mattie, która chodzi do takiej dużej szkoły w Bostonie... MIT (Massachusetts Institute of Technology - przyp.tłum.) czy jak to się tam nazywa. Chce być inżynierem, tak jak tatuś.

- Wcale nie tak jak tatuś - wtrąciła się, lekko sepleniąc, szczerbata Hope. - Tatuś buduje drogi i takie tam... Mattie chce budować domy. Czy pan dużo zarabia pisaniem książek?

- No cóż... nie za wiele. Ale starcza na skromne życie.

- Nieważne - mruknęła Faith. - Pieniądze nie odgrywają roli. W każdym razie nie dla Becky.

- Aha, a więc to Becky jest czwartą siostrą? A ona gdzie się podziewa?

- Na górze, w domu - odpowiedziała Faith, wskazując małą rączką dom położony wyżej na górskim stoku. - To dlatego tak się ucieszyliśmy na pana widok. Wie pan, Becky była chora. Pojechała w takie głupie miejsce, gdzie cały czas jest gorąco i tam ugryzł ją komar, i ona zachorowała, i my się nią teraz opiekujemy. Ale mamusia musiała jechać do Bostonu... Do pałacu gubernatora, któremu musi coś przysięgać... No i co pan na to?

- Nie jestem pewien - zachichotał mężczyzna. - Rozumiem, że Becky jest na górze, w domu, a wasza mama musiała pojechać do Bostonu, gdzie ma być zaprzysiężona, tak? Czy Becky potrzebuje pomocy?

- No cóż... może niekoniecznie w tej chwili - odparła Faith - ale z tymi komarami nigdy nic nie wiadomo. To dlatego postanowiliśmy pana sprowadzić. Wygląda pan na silnego mężczyznę. My, we trójkę, nie potrafimy jej podnieść. Becky jest dużą dziewczyną.

- Nie marnujmy więc czasu. Jeśli trzeba podnieść Becky, to chodźmy to zrobić!

- Skoro pan tak uważa - odpowiedziała Faith z figlarnym uśmiechem na małych usteczkach. Podała mu rączkę i wszyscy ruszyli pod górę.

Nie uszli więcej niż kilka kroków, gdy mały Michael opadł pupą na piaszczyste podłoże i z szerokim uśmiechem, zadziwiająco wyraźnie oznajmił:

- Barana.

- Wydawało mi się, że on nie potrafi mówić.

- Jak chce, to potrafi - poinformowała Faith.

- Wiesz może, czego on chce?

- Pewnie. Chce, żeby ktoś wziął go na barana. - Westchnęła ciężko, jak ktoś, kto wie, że jest wykorzystywany. Pochyliła się nad Michaeliem, wyciągając do niego obie ręce, ale chłopczyk szybko odsunął się, szorując pupą po piasku.

- Pan - oznajmił.

- Widzi pan? - spytała krzywiąc się Faith. - On chce, żeby to p a n wziął go na plecy. Zawsze wołał, żeby go nosili mężczyźni. A tak przy okazji, nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

- Masz rację - roześmiał się mężczyzna, biorąc Michaela na barana. - Nazywam się Jake Meadows. No i jak tam, kawalerze? - spytał malca, który aż zapiszczał z zadowolenia. Uderzając piętami i okładając piąstkami kark swego „rumaka”, wołał:

- Naprzód! Naprzód!

Poważna mała dziewczynka i jej siostra patrzyły na nich z lekką zazdrością.

- Ja jestem Faith Latimore, a to jest Hope... a Becky, no cóż, niedługo pan ją pozna. Proszę wybaczyć mojemu bratu. Jest strasznie rozpieszczony. Poza mamą i Mattie nikt nie potrafi sobie z nim poradzić.

- Rozumiem. Mattie dba o dyscyplinę?

- Nie wiem, co to słowo znaczy. Mattie jest bardzo mądra. Jest studentką, choć ma dopiero siedemnaście lat.

Jake Meadows nie potrafił powstrzymać śmiechu.

- Chyba wreszcie zaczynam pojmować. Wasza mama pojechała do Bostonu, by zostać tam zaprzysiężona. Mattie jest inteligentna, natomiast wy jesteście Faith, Hope i Michael, a Becky trzeba gdzieś przenieść. Dobrze mówię?

- Taak... - Dziewczynki popatrzyły na siebie, przekazując sobie oczami jakieś informacje. - Prawie. Pan za to jest naprawdę duży. Niemal tak duży jak tatuś. Tyle, że za chudy.

Kontynuowali wspinaczkę. Jake posuwał się powoli, tak by dziewczynki mogły dotrzymać mu kroku. Michael, niezadowolony z takiego obrotu sprawy, poganiał go, bijąc piąstkami po głowie.

- Co się dzieje z waszym tatusiem?

- Musiał pojechać do Peru - poinformowała go Faith. - Mają tam rewolucję i zburzyli jeden z mostów tatusia, więc tatuś zdenerwował się i pojechał, by z nimi porozmawiać.

- Rozumiem - roześmiał się Jake. - Nie obawiasz się, że rebelianci mogą być niegrzeczni wobec twojego tatusia?

- Hm! - wyduła pogardliwie wargi Hope. - To pan nie zna mojego tatusia. Nikt nie odważy się mu odpysknać.

- To nie całkiem tak - wtrąciła się druga dziewczynka. - Ona ma dopiero sześć lat i wszystkiego nie wie. Mamusia potrafi kłócić się z tatusiem, ale wtedy każe nam wszystkim wyjść z pokoju.

Zza zakrętu wyłonił się okazały budynek.

- Gdzie jest Becky? - spytał Jake. - Może powinniśmy się trochę pospieszyć?

- Z tyłu domu, przy basenie, ale nie sędzę, by trzeba było się spieszyć.

Dom był duży, z trzema kominami, cały z drewnianych bali, z tym że boczne skrzydła wyglądały, jakby dopiero co je dobudowano. Jake ogarnął to wszystko jednym spojrzeniem, po czym zdjął chłopca z ramion i postawił na ziemi.

- Hope, czy możesz się przez chwilę zająć braciszkiem? Chcę, by Faith poszła mi pomóc.

- Oczywiście, że tak. Chodź, Michael, sprawdzimy co jest w lodówce.

- Lody - radośnie oświadczył chłopczyk. Trzymając się za rączki, oboje ruszyli w stronę głównego wejścia.

- Powiedz mi teraz - zwrócił się Jake do Faith - co się właściwie stało. Czyżby Becky upadła i zraniła się?

Dziewczynka, zanim odpowiedziała, poważnie się zastanowiła.

- To nie całkiem tak. Mówiłam panu o tym komarze?

- Tak, jest ich tu niemało, ale nie sędzę, by były w stanie kogoś ściąć z nóg.

Rozmawiając dotarli na tył domu. Jake aż przystanął ze zdumienia. Oczom jego ukazał się olimpijskich rozmiarów basen

pływacki. Na brzegu stała niewielka, kryta altanka, a tuż za basenem, za wąską betonową ścieżką, rozpoczynał się gęsty sosnowy las.

Pośrodku ścieżki zaś leżało na ręczniku zwinięte w kłębek, cudowne kobiece ciało. W swym trzydziestopięcioletnim życiu

widział już wiele damskich ciał, ale to było czymś zupełnie wyjątkowym.

- Czy to jest Becky? - spytał zaskoczony.

- Pewnie - zachichotała Faith - a niby kto?

Dziewczyna była wysoka i wiotka jak trzcina. Sterczące chude żebra podkreślały obficie zaokrąglone, opięte skąpym bikini piersi. Owalna twarz obramowana była burzą skręconych, kruczoczarnych, opadających na plecy włosów.

- Czy to nie dziwne... wszyscy macie jasną karnację i blond włosy, a wasza siostra ma śniadą cerę i czarne włosy. Posłuchaj, Faith, biegnij do domu i przygotuj jakieś łóżko lub kanapę, na którą będę ją mógł położyć. W porządku?

- Wie pan... może ona wcale nie chce, by ją gdzieś przenosić. W razie czego, to był to pana pomysł, dobrze?

- Dobrze, będę o tym pamiętał. A teraz pospiesz się! Poklepał ją po głowie, po czym ruszył truchtem wzdłuż basenu, w stronę najwyraźniej nieprzytomnej dziewczyny. Po drodze zastanawiał się, ile to już czasu zmarnował, przyjeżdżając w to rzekomo bezludne miejsce. Znajdowali się w niecce wzgórz Berkshire, daleko poza głównymi szlakami turystycznymi. W dole iskrzyło się jak drogocenny klejnot oczko niewielkiego jeziora, otoczonego z trzech stron potężnymi skałami. Jedyne przesmyk leżał jakieś osiem

kilometrów na zachód. Był na tyle duży, by przepuścić zasilającą wody jeziora rzekę, wzdłuż której biegła jedyna w okolicy wyboista droga. Takie położenie dawało pełną gwarancję ciszy i odosobnienia. Potrzebował tego teraz jak nigdy, jeśli chciał napisać wreszcie swą książkę.

Dotarł w te okolice poprzedniego dnia tuż przed zachodem słońca. Jego rozklekotana ciężarówka z trudem dała sobie radę z dojazdem. Trzy godziny zajęło mu oczyszczenie paleniska w jednoizbowej chacie, dalsze dwie zebranie po ciemku drzewa na opał. Gdy wreszcie znalazł się w łóżku, mógł usłyszeć wszystkie odgłosy nocy.

Nie ustawało ani na chwilę cykanie świerszczy, w okapie komina gnieździły się dwie sowy, a po podłodze co i rusz przebiegały małe polne myszki. Gdzieś, z oddali, docierał co jakiś czas skowyt kojota lub może zdziczałego psa.

Obudziły go natrętne promienie słońca. Lekka bryza rozpędzała poranną mgłę znad tafli jeziora. Najpierw zafundował sobie szybką kąpiel w lodowatej wodzie, potem dobre śniadanie. Po posiłku zabrał się za rąbanie drzewa, co doprowadziło do obecnej sytuacji. W tym tempie, pomyślał z irytacją, nie ukończę książki przed Bożym Narodzeniem.

Okrążywszy wreszcie basen stanął nad leżącą na ręczniku kąpielowym dziewczyną. Była wysoka, ale nieco za szczupła. Twarz składała się niemal wyłącznie ze skóry i kości, a skóra miała żółtawy odcień. W myślach starał się postawić diagnozę. Żadnych śladów

krwi. Oddech miarowy, choć płytki. Trzeba sprawdzić, czy nie ma złamań.

Przykucnął obok niej i wprawnymi rękami przesuwając powoli po jej nogach. Następnie sprawdził żebra, klatkę piersiową i kręgi szyjne. Niczego niepokojącego nie zauważył. Dziewczyna poruszyła się, ale nie odzyskała przytomności. Z największą ostrożnością wsunął ręce pod jej plecy i kolana, po czym wstał, podnosząc ją do góry. Nie była zbyt ciężka, ważyła mniej niż pięćdziesiąt kilogramów.

Zdażył obrócić się w kierunku domu i uczynić pierwszy krok, gdy otworzyła jedno oko. Ciemne oko, prawie tak ciemne jak jej włosy. Na dalsze obserwacje nie starczyło mu już czasu.

- Do diabła! Może mi pan powiedzieć, co pan robi? - spytała ostro, niskim, modulowanym głosem.

-Ja? Właśnie... - zaczął się tłumaczyć, ale nagle zdał sobie sprawę, że nie bardzo wie, co powiedzieć. Tymczasem kobieta zaczęła z całej siły miotać się w jego ramionach. Pięścią okładała go po szyi i po plecach. Starając się uchylić przed następną porcją razów, potknął się o jej przebierające w powietrzu nogi. Chwilę później oboje wylądowali w zimnej wodzie basenu.

Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, iż powinien się od niej uwolnić i wypłynąć na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Niestety, jego towarzyszka miała zupełnie inne plany. Wpierw obiema rękami niczym mackami oplótła jego szyję, a następnie przytopiła go odpychając się od niego. Nie reagował, tylko spokojnie odczekał chwilę, nim wypłynął. Dziewczyna desperacko, choć bez większego powodzenia, próbowała dopłynąć pieskiem do brzegu.

Jake przedmuchiwał właśnie nos, gdy zauważył wybiegającą z budynku Faith. Dziewczynka krzyczała coś do niego. Dwoma spokojnymi uderzeniami ramion podpłynął do brzegu basenu i podniósł głowę w niemym pytaniu.

- Złap ją! Złap ją! - wrzeszczała niemal Faith. - Becky nie płynie!

Trwało chwilę, zanim dotarł do niego sens tej informacji. Najwyraźniej dziewczyna nie potrafiła pływać. Z całej siły odepchnął się od ścianki basenu i zanurkował, wypływając w pobliżu miejsca, gdzie widział ją po raz ostatni. Nikogo tam jednak teraz nie było.

- Tam... tam... - krzyczała tymczasem Faith, wskazując palcem najbardziej odległy kraniec basenu. Jake wziął głęboki oddech i raz jeszcze zanurkował. W zielonej poświacie wody widział przed sobą niewyraźnie parę szybko przebierających nóg.

Rzucił się w pogoń niczym rekin, nurkując głęboko i wynurzając się tuż przed dziewczyną. Powitanie było jednak mało serdeczne. Zamiast pozwolić mu się podholować do najbliższych schodków, Becky zaciekle się broniła. Od częstego przytapienia zaczęło mu już brakować tchu. Odpychając jej ręce zahaczył dwoma palcami o górę jej bikini. Staniczek pękł i odpłynął unosząc się na fali.

Jake gonił resztkami sił, a jego płuca gwałtownie domagały się powietrza. Z trudem wy dostał się na powierzchnię. Głowa dziewczyny była tuż nad nim. W jej ciemnych oczach widział zimną wściekłość. Westchnął w duchu i nie widząc innego wyjścia, uderzył ją w szczękę prawym prostym. Becky osunęła się w jego ramiona.

Dopiero teraz mógł się do niej zbliżyć. Przewrócił ją na plecy i spokojnie doholował do najbliższej drabinki.

Faith czekała już na niego i pomogła mu wyciągnąć nieprzytomną siostrę z wody. Jake raz jeszcze dokonał pobieżnych oględzin. Wciąż nic nie wskazywało na to, że coś jej dolega. Poza lekkim otarciem skóry w okolicach szczęki wszystko wydawało się w porządku.

Tymczasem dołączyli do nich Hope i Michael.

- Biłeś ją? - spytał chłopczyk. Całą buzię miał umorusaną lodami czekoladowymi.

- To się jej nie spodoba - oznajmiła uroczyście Hope. Jej starsza siostra wzruszyła ramionami.

- No cóż, jest już za późno, by się tym przejmować

- westchnęła. - Sądzę, iż najlepiej będzie, jeśli wniesie ją pan do domu.

Jake usłyszał nagle w swojej głowie cichutkie dzwoneczki alarmowe. W całej tej historii coś przestało mu się nagle podobać. Ktoś mnie tu robi w balona, pomyślał. Co się tutaj dzieje? Obrzucił szybkim spojrzeniem otaczające go dzieciaki, a potem spojrzał na leżącą u jego stóp ciemnowłosą dziewczynę. To miałyby być ich siostra? Wykluczone! Nie było między nimi najmniejszego podobieństwa.

Przykucnął i wsunął dłonie pod jej plecy i uda, po czym powoli wyprostował się, z trudem utrzymując równowagę. Dokładnie na wysokości jego ust sterczały wypięte dumnie do góry piersi nieprzytomnej dziewczyny. Wystarczająco blisko, by ich dotknąć...

- To jej się również nie spodoba - oznajmiła Faith.

- Nie powinien jej pan rozbierać. Michael, idź i przynieś górę od kostiumu Becky.

- Hej, przecież on jest za mały... - zaprotestował Jake, ale malec zdążył już ściągnąć swoje klapki i dał nura do wody. Pływał jak delfin, głównie pod wodą, łapiąc powietrze od czasu do czasu.

Jake spojrzał na dziewczynę, którą wciąż trzymał na rękach, a potem na malca, który zdążył odnaleźć to, czego szukał.

- Czyżbyście wszyscy umieli pływać? - spytał niemal oskarżycielskim tonem.

- Oczywiście - potwierdziła Faith. - Mama nauczyła nas pływać, zanim skończyliśmy trzy lata.

- Dlaczego więc Becky nie potrafi pływać?

- Przede wszystkim Becky nazywała się kiedyś Chase, a nie Latimore. Ma niezły temperament. Gdy wrzucił ją pan do basenu uznała widocznie, że chce nam pan zrobić krzywdę. To pewnie dlatego próbowała pana utopić!

- Niezła historyjka.

- No cóż. Mówiłam panu, że nazywa się Chase. Została adoptowana przez Latimore'ów.

- Dobra, starczy tego - warknął wściekle mężczyzna. - Nie chcę nic więcej wiedzieć. Prowadź! Musimy ją gdzieś położyć.

Gęsiego ruszyli w kierunku domu. Michael, Hope, Jake i Faith. Jake, który widział w swoim życiu wystarczająco dużo półnagich kobiet, czuł się dziwnie zażenowany. Starał się skoncentrować uwagę na pięknym budynku z grubo ciosanych bali, jego kominach,

czymkolwiek... Jego wzrok wciąż jednak wędrował do drgających lekko piersi dziewczyny. Był wściekły na siebie. Możesz gapić się wszędzie, gdzie chcesz, byle nie w dół, upominał się w duchu.

- Teraz tędy, na górę - powiedziała Faith, wskazując na proste, drewniane schody, a następnie prowadząc go do pokoju w końcu korytarza. Pomieszczenie tonęło w półmroku. Większość miejsca zajmowało mosiężne dwuosobowe łóżko. Faith odwinęła narzutę, a Jake z ulgą pozbył się wreszcie swego ciężaru. Okrył jeszcze tylko dziewczynę prześcieradłem, po czym z westchnieniem opadł na najbliższy fotel i zaczął masować sobie prawe przedramię. Pomyślał, że brak treningów zadziwiająco szybko daje znać o sobie.

Trójka młodych Latimore'ów stała po drugiej stronie łóżka, przyglądając mu się z powagą.

- Ręczniki - mruknął Jake. - Nie może tak leżeć cała przemoczona. I może wreszcie dowiem się, co jej właściwie dolega? Faith, czy Becky upadła? Co się tak naprawdę stało?

- Idziemy po ręczniki - oznajmiła dziewczynka.

- A potem muszę jeszcze wytrzeć Michaela do sucha.

- Dlaczego nie opuszcza mnie wrażenie, że coś tu nie gra? - spytał Jake, ale towarzystwo zdążyło się już ulotnić. Pokręcił głową i ponownie opadł na fotel. Ciemna piękność na łóżku poruszyła się, ale nie otworzyła oczu. Sięgnął ręką do kieszeni po papierosy, po to tylko, by przekonać się, że są całe przesiąknięte wodą. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że on również jest cały przemoczony. Dosłownie ociekał wodą. Ściągnął koszulę przez głowę i odrzucił ją na bok. Chwilę później zdjął także skórzane buty.

W drzwiach pojawiła się głowa Faith.

- Ręczniki - oznajmiła, wręczając mu całe naręczcie i odwróciła się, by wyjść.

- Hej! - krzyknął za nią Jake.

- Nie mam teraz czasu, muszę zająć się Michaeliem - odpowiedziała i zniknęła, nim zdążył choćby otworzyć usta. Niczym Alicja w Krainie Czarów, pomyślał Jake. Tyle, że ręczniki były jak najbardziej prawdziwe. Gdzieś, w oddali, usłyszał nagle odgłos silnika samochodowego. Odstłonił zasłonki, ale nic nie zobaczył. Sięgnął po ręcznik i zaczął machinalnie wycierać swoje krótkie, mokre włosy.

Pomyślał, że najpierw jednak powinien wytrzeć Becky. Przykłęknął na jedno kolano i odwinął prześcieradło. Dziewczyna poruszyła się i prawie natychmiast zwinęła się w kłębuszek. Jake sięgnął po dwa ręczniki i zaczął delikatnie wycierać ją od góry do dołu. Jakkolwiek by jednak nie wycierał, spód jej bikini wciąż ociekał wodą. Niezdarnie dotknął troczków łączących dwa skąpe skrawki materiału. Puściły bez najmniejszego oporu. Ściągnął z dziewczyny obie szmatki i przykrył ją ręcznikiem.

Teraz, bracie, trzymaj tylko ręce przy sobie, powtarzał w duchu. Nie było to łatwe, zwłaszcza gdy ręce przesuwwały się po zagłębieniu jej płaskiego brzucha i wspaniałych krągłościach piersi.

- To jej się również nie będzie podobać - usłyszał głos gdzieś w okolicy swego prawego łokcia. Faith stała obok, patrząc mu prosto w oczy. Szybko cofnął obie dłonie i dopiero wtedy zastanowił się, dlaczego właściwie to on miałby czuć się winny. Mała dziewczynka pokręciła głową, obesła łóżko z drugiej strony i zaczęła energicznie

wycierać siostrze włosy. Ktoś chce cię przechytryć, Jake, pomyślał. Postanowił przejść do ofensywy. Jeśli ta mak wiedźma potrafi tak cię załatwić, to co dopiero będzie, gdy obudzi się śpiąca królewna?

- Nie widzę żadnych siniaków ani zadrapań - rzucił oskarżycielskim tonem.

- Przecież nigdy nie twierdziłam, że pan je znajdzie. -Jak to... przecież...

- Jedyne, co powiedziałam - przerwała mu - to to, że ja, Hope i Michael nie potrafimy jej podnieść. Nie powiedziałam przecież, że n a l e ż y ją podnieść. P a n to powiedział. Wciąż zresztą nie mogę zrozumieć, po co pan ją podniósł i wrzucił do basenu. A później uderzył ją pan. Udał nam się ten dzień, nie powiem!

- Hej, poczekaj chwilkę, mała! Co ty takiego opowiadasz?

- Ja? Opowiadam? Przecież ja mam dopiero dziewięć lat. Co ja mogę panu opowiadać?

- Nie bądź taka mądra, ty mały Machiavelli. Twoje ciało ma może i dziewięć lat, ale twoja dusza... ma chyba z tysiąc. I nie zaprzeczaj, że jest inaczej! - Przygryzł wargi z bólu, tak nagle poczuł wszystkie mięśnie w nogach. Wiedział, że może mówić o wielkim szczęściu, iż jego nogi w ogóle znów pracują. Obecnie jednak potrzebował pilnie swych pastylek przeciwbólowych, a te zostały na dole, w chacie. Myślenie przychodziło mu teraz z największym trudem.

- Pan jest niezwykle nieuprzejmy - naskoczyło na niego tymczasem dziecko. - Jest więcej niż pewne, że pan się nie nadaje!

- Nie nadaję się do czego? - warknął, robiąc kilka kroków w kierunku małej jędry. Faith odskoczyła w bok, dokładnie w chwili, gdy leżąca na łóżku piękność zaczęła się poruszać. Wpierw wyprostowały się długie nogi, ściągając resztki prześcieradła. Następnie otworzyło się jedno oko, potem drugie. Ujrzał w nich bezgraniczne zdumienie.

- Mogę wiedzieć, co pan tutaj robi? Kim pan jest, do diabła? - Mówiła coraz głośniej, a narastająca złość powoli przyoblekała jej twarz w kolor purpury. - Faith?

- Ja nic nie wiem, Becky. On mieszka na dole, w tej chacie koło jeziora, no i wydawało nam się... a więc on tutaj przyszedł, podniósł cię i wrzucił do basenu, a potem uderzył cię w szczękę... - zrobiła krótką przerwę, by zaczerpnąć powietrza - a później ściągnął z ciebie wszystkie rzeczy, a teraz to nie wiem, co chce jeszcze zrobić. Wydaje mi się, że chce mnie zbić!

- Niech sobie lepiej wybije to z głowy - parsknęła Becky. Przeturlała się po łóżku i sięgnęła ręką do szuflady szafki nocnej. Dopiero wtedy, pozbawiona osłony prześcieradła, zauważyła, że jest zupełnie naga. Ściskając w garści jakiś przedmiot, jednym susem znalazła się ponownie w łóżku, złapała prześcieradło i owinęła nim po samą brodę.

- Mój Boże - wymamrotała - czy to też pańska sprawka?

- To znaczy co? - naskoczył Jake, który tracił powoli resztki cierpliwości. Miał chęć stłuc je obie na kwaśne jabłko.

- Czy to pan zdjął ze mnie ubranie? - zawołała Becky podniesionym tonem.

- Co mam pani powiedzieć? Tak, to ja zdjąłem z pani bikini, które trudno zresztą nazwać ubraniem. A może chciałaby się pani dowiedzieć, dlaczego to zrobiłem?

- Przypuszczam, że powody są całkiem jasne. Gwałt i przemoc zapewne.

- A niech to! - krzyknął, nie na żarty rozsierzdzony. - Myślałem, że potrzebuje pani pomocy. Ta... ten dziewięcioletni potworek oszukał mnie twierdząc, iż jest pani chora, a kiedy się tu znalazłem, okazuje się, że nic pani nie dolega... do diabła, czym pani we mnie mierzy?

Nie potrzebował wcale pytać. Trzymała oburącz ni mniej ni więcej tylko pistolet kaliber 38, wycelowany w okolice jego brzucha. Znał tę broń wystarczająco dobrze, by wiedzieć, iż jest niebezpieczna oraz że jej właścicielka nie ma zielonego pojęcia, jak się nią posługiwać. Wylot lufy zataczał małe kółeczka, a na spuście spoczywały palce wskazujące prawej i lewej ręki. Wzrok dziewczyny był rozbiegany, jak gdyby chciała zamknąć oczy, w chwili gdy będzie pociągała za spust.

Pomyślał cynicznie, że prawdopodobnie udałoby się jej go zabić. Nie naładowana broń i strzelcy amatorzy byli szczególnie niebezpieczni. Tym razem to on został wzięty na cel. Najwyższy czas, by coś z tym zrobić. Z korytarza dochodził teraz cienki głosik Michaela, usiłującego coś komuś wytłumaczyć. O Boże, westchnął w duchu Jake, ściągnęli posiłki. Ile ich tu jest, tych postrzelenców?

- To ona jest wszystkiemu winna! - ryknął najgłośniejszym głosem, jak tylko potrafił, wskazując palcem na Faith. Przez chwilę Becky zawahała się i odwróciła wzrok w kierunku siostry, która bez powodzenia starała

się ukryć za poduszką. Tyle wystarczyło. Jake napiął mięśnie i dał susa w kierunku łóżka, wybijając broń z rąk dziewczyny. Pistolet upadł za posłanie, znikając z pola widzenia. Faith wrzasnęła ze wszystkich sił. Mężczyzna złapał Becky za nadgarstki i desperacko usiłował bronić się, podczas gdy ona wierzgała nogami, kopiąc go, gdzie popadnie. W rezultacie tych zmagania z dziewczyny zsunęło się prześcieradło i spadło na podłogę.

- Pan - oznajmił radośnie stojący w drzwiach Michael. - Miły pan.

- To się jeszcze okaże, kochanie - odpowiedział ze śmiechem inny głos. - Kimkolwiek pan jest... - teraz w głosie słyhać było wyraźny chichot - wiem z doświadczenia, od lat obcując z tą rodziną, że za tymi wszystkimi zwariowanymi wydarzeniami prawdopodobnie kryje się jakieś logiczne wytłumaczenie. Proponuję więc, by zlązł pan... hm... zszedł pan z mojej córki i postarał się mnie nieco oświecić!

Jake odskoczył od Becky jak oparzony, ale dziewczyna ani myślała zaprzestać gryźć i kopać. Ponownie złapał ją za nadgarstki i z największym trudem stanął nogami na podłodze.

- Proszę o spokój, Becky - polecił delikatnie głos. Dziewczyna natychmiast uspokoiła się, złapała prześcieradło i opadła na łóżko, jak najdalej od Jake'a.

- Słucham więc, młody człowieku?

Jake odkaszlnął i odwrócił się. W drzwiach pokoju, obok Hope, stała czterdziestokilkuletnia, szczupła kobieta z burzą jasnych włosów na głowie, przetykanych tu i ówdzie na skroni kilkoma siwymi

paszami. Za jej plecami chował się Michael. Twarz nieznajomej wydawała się Jake'owi dziwnie znajoma, ale nie potrafił jej nigdzie umiejscowić.

- Czy to pani jest tą osobą, która pojechała do Bostonu na zaprzysiężenie u gubernatora? - Starał się wybadać nieco sytuację.

- To prawda. Niech pan próbuje dalej.

- A Mattie nie przyjechała tu z wami, ponieważ ma dopiero siedemnaście lat i studiuje na MIT, by zostać inżynierem?

- Ach, widzę, że jest pan już wprowadzony w sprawy rodziny.

Co dalej?

- Nie bardzo wiem, jak zacząć - westchnął. - Ja sam nie jestem w stanie tego pojąć. Kim pani jest?

- Jeśli ma to panu pomóc w opowiedzeniu mi całej historii... jestem Mary Kate Latimore, matka tych dzieci. A pan?

-Ja? Nazywam się Jake Meadows. Mieszkam na dole, w chacie nad jeziorem. Ta mała... - wskazał ręką na chowającą się wciąż w kącie Faith - ta mała przyszła do mnie i zadawała mi tuzin różnych pytań... w każdym razie odniosłem wrażenie, że Becky potrzebuje pomocy. Dlatego wdrapałem się tu z dziećmi na wzgórze i zastałem Becky leżącą na brzegu basenu.

- Spałam - wtrąciła Becky. - Po prostu spałam!

- No cóż, myślałem, że jest pani ranna, tak też pani zresztą wyglądała... więc...

- Piękne dzięki! To dlatego wrzucił mnie pan do basenu?

- Daj spokój, dziewczyno! - rozzłościł się nie na żarty. - Nie wrzuciłem pani do basenu. Zaczęła mnie pani okładać pięściami, potknąłem się i oboje wpadliśmy do wody.

-I wtedy po prostu podpłynął pan i znokautował mnie.

- Do licha, podpłynąłem, ponieważ pani siostra, ten diabeł wcielony, zaczęła wrzeszczeć, że pani nie pływie. Zrozumiałem z tego, że nie potrafi pani pływać. Ale gdy tylko się zbliżyłem, zaczęła pani ciągnąć mnie pod wodę, więc myślałem, że wpadła pani w panikę i... a niech to!

Podczas gdy uwaga wszystkich skupiona była na Jake'u, mały Michael spokojnie zbliżył się do łóżka i dostrzegł leżącą pod nim broń.

- Becky! - huknął ze wszystkich sił. - Niedobra Becky, schowała mój pistolet.

Nim Jake zdążył zareagować, mały siedział już w rozkroku na podłodze, trzymając broń w obu rączkach.

- Niech nikt się nie rusza - powiedział cicho Jacke. Wiedział, że wystarczy moment nieuwagi i to cholerne świństwo wypali.

Dlaczego jednak matka chłopca i jego siostry nie wydają się tym przejmować? Co tu jest grane?

- Niedobra Becky - mruknął chłopiec i wsunął lufę pistoletu do buzi. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, odgryzł ją.

- Nie jedz zbyt wiele czekolady, młody człowieku, jeśli nie chcesz, by znowu bolał cię brzusek - ostrzegła go matka. Malec z żalem popatrzył na swój pistolet, po czym wstał i podał go mamie.

Kątem oka Jake dostrzegł, że Becky robi się czerwona jak piwonia. Powoli odwrócił się do niej i wbił w nią wzrok.

- Rzekoma choroba, rekord olimpijski w pływaniu, pistolet z czekolady... co jeszcze? W co ja się wpackowałem?

- Miły pan - mruknął Michael zza fałd matczynej spódnicy.

- Moja mama jest sędzią sądu najwyższego i panu pokaże! - spróbowała raz jeszcze Faith.

- Proszę o spokój! - ucięła ostrym głosem pani Latimore. Faith natychmiast zamilkła.

- Czy pan sugeruje, panie Meadows, że moja córka Faith rozminęła się nieco z prawdą, a pan sam jest niewinnym obserwatorem?

- Doprawdy, sam już nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. No dalej, niech mnie pani zakuje w kajdanki.

- Tak się dzieje tylko na filmach - odparła sędzina. W kącikach jej ust pojawił się znowu uśmiech. - Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przeniesiemy się teraz do kuchni i napijemy mocnej, gorącej kawy.

Godzinę później, udobruchany Jake postanowił ruszyć w drogę powrotną. Wychodząc, zatrzymał się na chwilę na werandzie. Michael, Faith i Hope. Chudzina, która twierdziła, że jest ich matką. Zapierająca dech Becky i nieobecna Mattie... Zachichotał, pełen sympatii i współczucia dla biedaka, który musiał z nimi wytrzymać. Zszedł z werandy i w tym samym momencie omal nie wyskoczył ze skóry. Z pobliskich krzaków dobiegł go przerażający gwizd, któremu towarzyszył przenikliwy syk.

- Tutaj! - zawołała wydająca z siebie te dźwięki osoba. Rozejrzał się wokół, ale nikogo nie zauważył.- Tutaj - usłyszał ponownie, tyle że nieco głośniejsze. Zrobił dalsze kilka kroków do przodu.

- O nie, tylko nie to! - westchnął, gdy wreszcie dostrzegł swoją rozmówczynię.

- Tak, to ja - odparła Becky oficjalnym tonem. Wstała z ziemi, otrzepując sobie spodnie. - Chciałam się panu wytłumaczyć.

- Pani matka już mi wszystko wyjaśniła. Nie sądzę...

- Mama jest zbyt zajęta, nie wie co się tutaj dzieje, a ja nie chcę, by opuścił nas pan, zachowując o nas błędne wyobrażenie - oznajmiła to tak, jak gdyby żegnali się na zawsze.

Na myśl o tym uśmiechnął się lekko.

- Proszę się nie śmiać - zareagowała Becky poważnym tonem. - Nie należy pan wprowadzić do moich ulubieńców, ale muszę się panu z czegoś wytłumaczyć. Nabijanie się ze mnie z pewnością nie ułatwi mi zadania.

Jake starał się zachować powagę, widząc jej pełną determinacji minę i zarumienione z przejęcia policzki.

- Dobrze więc. O co chodzi?

- O Faith - oznajmiła Becky grobowym głosem - Zawsze bardzo kochałam moją małą siostrzyczkę, ale przyznaję, że czasem mam z nią krzyż pański.

- Miałem okazję to zauważyć. I co dalej? - spytał, z trudem powstrzymując śmiech. Dziewczyna westchnęła ciężko.

- Musi pan wiedzieć, iż Faith zawsze była niepoprawną romantyczką. Teraz wiele czasu spędza z naszą gosposią, Alice

Gimble, która ma podobne usposobienie. Karmi ona dzieciaka całym tym osiemnastowiecznym chłamem, a Faith w to wszystko naprawdę wierzy. Widzi pan... problem polega na tym... mam już dwadzieścia siedem lat...

- To sympatyczny wiek.

- No cóż... ma pan pewnie rację... - odparła zaciskając ze zdenerwowania dłoń. - Musi pan jednak na to spojrzeć z punktu widzenia Faith. Ona uważa, że małżeństwo jest jedynym prawdziwym celem w życiu kobiety. Wiem, że to nonsens, ale ona tak właśnie myśli. Uważa też, że sama nie będzie mogła wyjść za mąż, zanim ja i Mattie tego nie uczynimy.

- A więc Faith uważa panią za zawalidrogę. Pani nie podziela jej opinii w sprawie małżeństwa?

Becky potrzebowała chwili zastanowienia, by odpowiedzieć.

- Myślę, że są kobiety, którym to odpowiada. Spójrzmy na przykład na mamę i tatę. Ja sama prawdopodobnie potrafiłabym zrezygnować z kariery, gdybym spotkała takiego mężczyznę jak nasz tata!

- A tymczasem?

-A tymczasem - nie życzę sobie, by moja siostra sterowała moim życiem. Jestem w stanie sama się tym zająć.

- Wydaje mi się, że nie zna pani zbyt wielu mężczyzn?

- Nie to miałam na myśli. - Zupełnie nie wiedziała, jak mu to wytłumaczyć. Studia medyczne nie należą do najłatwiejszych, a ona, jedna z nielicznych kobiet w Nowej Anglii, które zdecydowały się studiować medycynę, nigdy nie była prymusem. W nawale pracy

czasu na przyjemności pozostawało naprawdę niewiele. W tym czasie widywała oczywiście mężczyzn, ale najczęściej leżeli oni na stole operacyjnym pod skalpelem chirurga i nie bardzo byli w stanie umawiać się na randki. - Nie mam teraz czasu na takie sprawy - powiedziała smutno, rezygnując mimo wszystko z wyjaśnień.

Niewiele myśląc, Jake przyciągnął ją do siebie i delikatnie pocałował w usta. Zaprotestowała gwałtownie, próbując odepchnąć go od siebie. Jake uśmiechnął się tylko i przycisnął ją jeszcze mocniej. Poczł nagle, jak rozchylają się usta dziewczyny. Odczytał to jako zachętę i zaczął całować ją jeszcze śmieiej, zadowolony, że dołączy nową ofiarę do długiej listy swych podbojów.

Zanim zorientował się, jak bardzo się pomylił, było już za późno. Becky wbiła swe śnieżnobiałe zęby w jego dolną wargę, z której momentalnie popłynęła krew.

- Do diabła - zawołał zaskoczony, odpychając ją od siebie. - Nie musiała mnie pani gryźć!

- Właśnie, że musiałam! - odpowiedziała zimno.

- Nie trzeba było mnie całować! Chciałam tylko przeprosić pana w imieniu siostry. Nie musiał pan tak na mnie napadać!

- Nie zgadzam się z panią - wymamrotał Jake, tamując krew wyjętą z kieszeni chusteczką. - Trudno pani n i e atakować. Proszę tylko spojrzeć! Co najmniej przez tydzień będę miał spuchnięte usta.

- Wystarczy przyłożyć coś zimnego - poradziła z mściwą satysfakcją - albo possać kilka kostek lodu.

-Oczywiście... przyjmuję przeprosiny – mruknął - mam jedynie nadzieję, że nigdy nie zasłużę sobie na więcej. Do widzenia, panno Becky... bo to by było na tyle, prawda?

-Ja... - szukała odpowiedniego słowa, nie chcąc rozstać się z nim w ten sposób, ale i nie chcąc zachęcać go do niczego. - Przykro mi... z powodu całego tego zamieszania. Do widzenia.

Gdy doszedł do zakrętu, obejrzał się. W zapadającym zmroku ujrzał, stojącą wciąż w tym samym miejscu, sylwetkę dziewczyny.

- Co za dzień! - mruknął do siebie po powrocie do chaty, opadając na łóżko polowe. Zamknął oczy i wygodnie się wyciągnął. Obraz uroczej buzi Becky Latimore prześladował go przez całą noc.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rankiem następnego dnia rodzina Latimore'ów siadła wspólnie do śniadania, po czym rozpoczęto pakowanie.

- Jesteś pewna, kochanie, że chcesz zostać? Będziesz tutaj bardzo samotna - spytała najstarszą córkę Mary Kate. - Jest tyle rzeczy, którymi mogłabyś się zająć w Eastboro. Lato na wsi jest długie i spokojne.

- No wiesz, mam, twoje wyobrażenia o spokojnym lecie różnią się nieco od moich. Nie martw się, na pewno nie będę się tu nudzić.

- Mimo wszystko. Tak naprawdę, to nic nie wiemy o tym panu Meadowsie i trochę boję się pozostawić cię tu samą. Może gdyby towarzyszył ci ktoś z rodziny... To, że zostawiam ci jeepa, nie oznacza wcale, że będziesz zupełnie bezpieczna.

- Mam jeszcze radio - zauważyła, śmiejąc się w duchu, Becky. - Posłuchaj, mam. Ukończyłam jedną z najlepszych szkół w kraju. Wróciłam właśnie z rocznego pobytu w Czadzie, gdzie pracowałam w szpitalu polowym położonym dokładnie między dwiema walczącymi armiami. A kiedy skończą się wakacje, znów wyjadę do pracy do jakiegoś szpitala. A poza tym, przecież powiedziałaś mi o życiu wszystko, co trzeba.

- Tak - roześmiała się Mary Kate. - Ale to było zanim poślubiłam pana Latimore'a. Od tego czasu wiele się nauczyłam!

- Mimo wszystko chciałabym zostać, mam.

- Ale powinnaś mieć kogoś do towarzystwa!

- Niech no pomyślę przez chwilę... może Faith?
- Słucham...? Faith?! To tak jakby ślepiec prowadził ślepcę.
- Dlaczego nie? Mattie przebywa w letniej szkole, a Hope i Michael mają jechać na lato do Henry'ego. Trzeba się więc tylko pozbyć Faith, a ona może zostać ze mną.
- Pozbyć? A to dlaczego? - Mary Kate uśmiechała się wprawdzie, ale obrzuciła córkę uważnym spojrzeniem.
- Zastanów się. Pomyśl o tych wszystkich pięknych senioritach w Peru i twoim biednym, samotnym mężu. No co, nie chciałabyś pojechać do niego?
- Wygląda mi to na jakiś spisek!
- Co? Może powiesz, że nie chcesz pojechać do taty?
- Nic takiego nie powiedziałam - zaprzeczyła Mary Kate. - Wiesz doskonale, że niczego bardziej nie pragnę. Ale jak ty dasz sobie radę z Faith? Będziesz musiała pilnować jej dniem i nocą.
- Nic nie rozumiesz, mamo. Ona uważa, że jest czterdzieści lat starsza ode mnie. To ona będzie pilnować mnie. Mówię ci, to całkiem dobry pomysł.
- Owszem, podoba mi się pomysł z wyjazdem do ojca, ale martwię się o ciebie. Potrzebujesz wypoczynku!
- Odpocznę, odpocznę. A dla was mógłby to być drugi miesiąc miodowy! Pamiętaj, że to ja jestem lekarzem. Masz leżeć w łóżku i się byczyć.
- Też masz pomysły! - zachichotała Mary Kate. - Po ostatnim takim byczeniu się przyszedł na świat Michael!

Rozmawiając z córką, cały czas pakowała ubrania do torby podróżnej. Gdy skończyła, podeszła do drzwi i krzyknęła tak, że słyhać ją było w całym domu:

-Pospieszcie się, dziewczęta. Helikopter będzie tu za dwadzieścia minut, a wiecie, co ojciec sądzi o ludziach, którzy kaza czekać na siebie jego helikopterom!

Wśród pokrzykiwań i śmiechów ruszyli w dół prowadzącą nad jezioro ścieżką, nazywaną przez dzieci indiańskim szlakiem. Jake Meadows stał przed swoją chatą w chwili, gdy ją mijali. Przerwał na chwilę pracę, by im pomachać.

- Wyjeżdżacie? - spytał czysto retorycznie. Becky cała się sprężyła. Do diabła z tym facetem, pomyślała. Przez całą noc z jego powodu nie mogę zmrużyć oka, a on cieszy się, że wyjeżdżamy! Chce mieć teren wyłącznie dla siebie!

Becky i Michael szli w środku kolumny, Faith zamykała pochód.

- Pan, do widzenia - zawołał chłopczyk.

- Do widzenia, Michael. Do widzenia, Becky - odpowiedział Jake, śmiejąc się bezczelnie do dziewczyny. Becky obrzuciła go pełnym pogardy spojrzeniem, ale nie na wiele to się zdało. Był na to odporny. Posłał jej uśmiech od ucha do ucha, odsłaniając mocne, białe zęby, wyraźnie odbijające się od jego spalonej słońcem twarzy. Skinęła mu chłodno głową i wzięła Michaela za rękę. Poczekaj tylko, jak będziemy tędy wracać, pogroziła mu w duchu.

- Miły pan - powiedział Michael, a ponieważ Becky nie zareagowała, zaczął powtarzać to zdanie jak papużka. Potrząsnęła jego rączką lekko zniecierpliwiona.

- Przestań wreszcie - zażądała i był to chyba pierwszy prawdziwy protest, z jakim Michael spotkał się z jej strony. Stał pośrodku ścieżki, a łzy potoczyły się wartkim strumieniem. Opadł pupą na ziemię i odmówił pójścia dalej. Nagle Becky usłyszała odgłos zbliżającego się helikoptera, który nadlatywał z północy i kierował się w stronę jedyne w okolicy lądowiska, jakim było jezioro. Becky wiedziała, że przegrała. Postawiła na ziemi bagaż, wzięła małego braciszka na ręce i przytuliła go do siebie.

- No już... masz rację, miły pan - wyszeptała, ale jeden rzut oka w stronę drewnianej chaty upewnił ją, że Jake słyszał każde jej słowo i nieźle się bawił. – Już dobrze, maleńki - przemawiała do wciąż zanoszącego się płaczem Michaela - to miły pan, naprawdę bardzo miły pan.

Płacz ustał równie nagle, jak się zaczął. Ale gdy usiłowała postawić go na ziemię, malec nie chciał o tym słyszeć i jeszcze mocniej zacisnął rączki wokół jej szyi.

- Kochać Becky - wymamrotał jej gdzieś w okolicy karku.

- Becky także kocha Michaela - odpowiedziała. Helikopter zdążył już wylądować i Becky mogła dostrzec, jak jeden z członków załogi pomaga wnosić bagaż na pokład. Przycisnęła chłopca mocniej, kładąc sobie jego główkę na ramieniu i poklepując go uspokajająco po plecach. Do tego jednak potrzebne jej były obie ręce.

- Pozwoli pani, że pomogę - usłyszała podszyty śmiechem głos Jake'a. Pomyślała, że pewnie nie może się już doczekać, aż wyjadą i dlatego gotów jest nawet nieść walizki. Nie mogła jednak odmówić.

Widziała matkę, która poganiała ją, stojąc w otwartych drzwiach helikoptera.

- Dziękuję - przyjęła niezbyt chętnie jego pomoc, a on złapał walizkę i wskazał ręką, by szła przodem.

Pilot nie wyłączył silnika maszyny i łopaty wirnika obracały się wolno w pozycji jałowej. Hałas był ogłuszający. Meadows wręczył walizkę stojącemu w drzwiach helikoptera mężczyźnie, po czym odwrócił się, by odebrać od Becky Michaela. Kiedy podał go matce znów się odwrócił, by pomóc Becky.

Becky roześmiała mu się w nos, zrobiła kilka kroków w tył, trzymając Faith za rękę. Pilot zasunął potężne drzwi maszyny.

- Hej, zapomniałeś... - zawołał za nim Jake Meadows, ale jego słowa utonęły w ogłuszającym ryku silników. Skulony podbiegł kilkanaście metrów w stronę Becky, a potem odwrócił się, by obserwować odlot helikoptera, póki ten nie zniknął za wierzchołkami wschodniego masywu.

- Czy to oznacza, że wy dwie polecicie późniejszym lotem?

- Można to i tak nazwać - odpowiedziała Becky słodziutko.

Faith, która natychmiast ruszyła ścieżką pod górę, zniknęła im już z pola widzenia.

- Czy jest szansa, że dowiem się, kiedy to nastąpi?

- Tego dokładnie jeszcze nie wiem. Zależy to od wielu czynników. Na przykład od tego, kiedy tata wraca z Ameryki Południowej i kiedy Mattie kończy letnią szkołę. A także od tego, jak szybko nam się znudzi siedzenie w tutejszych lasach. A dlaczego pan pyta?

- Sam nie wiem. Po prostu... no cóż, jak na mój gust wprowadzacie w moje życie za wiele zamieszania! - Uśmiechnął się przepraszająco.

Nagle Becky uznała, że idący obok niej mężczyzna nie jest wcale taki zły i że jego obecność zaczyna sprawiać jej przyjemność.

- Rozumiem to aż za dobrze. Zaczniemy więc od początku. Był sobie tata i miał córkę, to Mattie. Była też mama, która miała pasierbicę, czyli mnie. Miała też pasierba, ale Henry jest dziesięć lat starszy od mamy, więc na ogół go nie liczymy. Czy na razie wszystko jest jasne?

- Na razie tak, dziękuję - odparł śmiejąc się. - Co się potem stało?

- Potem mama i tatko pobrali się i urodziło im się troje własnych dzieci.

- Już wiem - przerwał jej - to Faith, Hope i Michael. Założę się, że Michael był niespodzianką!

- Nie da się ukryć, że tak, ale wszyscy bardzo się z tego ucieszyliśmy. Przecież ktoś musi przekazać dalej nazwisko. Mama miała zresztą kłopoty z donoszeniem go. Musiała spędzić cztery miesiące w łóżku, zanim się urodził.

- Czyli teraz jedyne, co pozostało do zrobienia, to wydać was, dziewczyny, za mąż!

Becky odwróciła się do niego ze ściśniętą gniewem twarzą.

- Mówiłam już panu wcześniej, że to bzdury. A poza tym, to nie pański interes.

Przyspieszyła kroku, wspinając się ścieżką biegnącą tuż obok jego domku.

- Hej, czy nie zasłużyłem sobie chociaż na małe „do widzenia”?

Nie wiedząc, o co mu tym razem chodzi, przystanęła i odwróciła głowę. Wyglądał, jakby mówił poważnie, ale nie była pewna. Powoli cofnęła się do miejsca, w którym stał i wyciągnęła dłoń.

- Nie podaję ręki dziewczynom - powiedział z pełną powagą - dziewczyny należy całować na pożegnanie.

Becky zmartwiała. Chciała odwrócić się i uciec, ale nie mogła zrobić ani kroku, jakby zahipnotyzowana jego spojrzeniem. Poczowała, jak objął ją ramionami i ciepłe usta dotknęły lekko jej czoła, a potem rozchylnych warg. Ogarnęła ją nieznana dotąd słodycz, ale rozsądek nakazywał zignorować to uczucie. Odepchnęła go z całej siły i wymierzyła siarczysty policzek. Ocierając usta wierzchem dłoni, syknęła:

- Mówiłam przecież, że sobie tego nie życzę!

- Tak, pamiętam. Do widzenia, Becky.

Dziewczyna odwróciła się i zaczęła biec pod górę, jakby goniło ją stado wilków.

Była prawie dziewiąta, zanim Becky udało się przygotować Faith do spania i zapakować ją do łóżka. Kolejne piętnaście minut zajęło czytanie książeczki, nim mała zasnęła. Becky przez chwilę jeszcze przyglądała się śpiącemu dziecku, rozrzuconym na poduszce złotym lokom. Nagle zrozumiała, na czym polega jej własny problem.

- Chcę tego wszystkiego, co ma mama - szepnęła głośno do siebie - miłości, domu, dzieci. - Cichutko zeszała na dół. Frontowe

drzwi były otwarte. Drugie drzwi, obciążone gęstą siatką, chroniły dom przed inwazją komarów i innych owadów. Wciąż było ciepło, a powietrze pełne najróżniejszych zapachów. Miała wielką ochotę przejść się.

Nie musiała martwić się z powodu dziecka. Faith, gdy raz już zasnęła, nie zbudziłby nawet wystrzał armatni, poza tym dom był całkowicie przystosowany do potrzeb dziecka. Wystarczyło tylko włączyć elektroniczny system ostrzegania, który przekazywał każdy najmniejszy dźwięk z pokoju Faith. Zainstalowany na zewnątrz domu specjalny wzmacniacz pozwalał słyszeć wszystko w promieniu kilku kilometrów.

Becky natarła się obficie płynem przeciwko owadom. Doświadczenie wyniesione z pobytu w Afryce, kiedy to zawarła bliższą znajomość z komarem z gatunku *Anopheles*, nauczyło ją szanować nawet najmniejsze ze stworzeń.

Wyszła na werandę i zamknęła za sobą obite siatką drzwi. Zebrała spódnice prostej bawełnianej sukienki i przycupnęła na najwyższym stopniu schodów. Spojrzała w roziskrzone gwiazdami niebo. Znad wschodniego pasma gór pozdrawiała ją pucołowata twarz księżycy.

Od strony jeziora dobiegały słowicze trele, przerywane od czasu do czasu kilkoma głośnymi pluskami. Pomyślała, że jest to jedno z nielicznych już czystych i nieskażonych miejsc w tym kraju. Tylko jak długo takim pozostanie? Powoli zaczęła schodzić w dół, w stronę jeziora. Tym razem wybrała inną drogę, kończącą się na małej piaszczystej plaży. Fale uderzały rytmicznie w pale niewielkiego,

drewnianego pomostu, przy którym kołysały się spokojnie trzy łodzie. Pewnie dwie nasze i jedna jego, pomyślała.

Na końcu pomostu dostrzegła jakąś ciemną plamę. Zaciekawilo ją, co to takiego. Wahala się przez chwile, ale ciekawosc zwyciezyla. Cichutko, na palcach weszla na deski.

Przez moment swiatlo ksiiezycyca zalalo cala uspiona doline, ale juz chwile pozniej zastlonila go klebiasta chmura. Becky mimo to posuwala sie dalej, starannie wybierajac miejsca, gdzie docieralo choc troche swiatla. Nagle potknela sie o wystajaca z pomostu deske. Poleciala do przodu, wyciagajac rece przed siebie, by oslabic sie upadku. Dlonie jej spoczely niespodziewanie na czyims cieplym ciele. Zdazyła jeszcze wrzasnac, zanim ona i to „cos” przed nia zwalili sie z pomostu i wpadli do wody. Parskajac Becky wynurzyla sie z wody i ponownie wrzasnela. Wiedziala, ze gdzieś w tych lasach sa niedzwiedzie. Nie za wiele, nie za duze, ale sa. Tylko, ze ten niedzwiedz potrafil mowic!

- No i po co, do diabla, pani to zrobila?

Nie bylo zadnych watpliwosci, ze byl wsciekly. Glosno przeklinajac, usilowal wyplatac sie z wlasnych sieci, a raczej zytek wędkarskich, czego jedynym skutkiem bylo to, ze wbil sobie glęboko w dlon jeden z haczyków. Becky trzesla sie ze zdenerwowania i zimna. Zupelnie nie wiedziala, jak sie zachowac.

Jake Meadows musial zdać sobie sprawe, ze krzyczenie na nia nic nie pomoze. Wzruszyl ramionami.

- To znowu pani, Becky?

Wiedziala, ze pytanie bylo czysto retoryczne.

- Wbił pan sobie haczyk w rękę - stwierdziła sucho, rezygnując z wszelkiego tłumaczenia się.

- Niemożliwe. Naprawdę? - spytał z drwiną w głosie.

- Do licha, jak to się mogło stać? - ciągnął niewzruszenie dalej.

Nagle krzyknął z pasją - Mój Boże, kobieto, ile razy zbliża się pani do mnie, mam z panią same kłopoty! Słyszysz pani? Kłopoty! Nie mogłaby pani wreszcie zejść mi z oczu i pójść sobie na przykład na jakąś inną plażę?

- Może pan sobie darować te złośliwości - mruknęła Becky, z trudem powstrzymując napływające do oczu łzy. - Jak pan doskonale wie, to jedyna plaża w okolicy.

- Będę się zachowywał tak, jak mi się podoba! - warknął w odpowiedzi Jake. - To, że mieszkamy na tej samej planecie nie oznacza, że muszę zacząć nosić czerwone światło ostrzegawcze na plecach. A teraz, wybaczy pani, ale muszę dotrzeć do miasteczka i znaleźć doktora, który wyjmie mi to świństwo z dłoni.

- Domyślam się, że nie zechce pan skorzystać z mojej pomocy?

- Ma pani całkowitą rację. Nie zechcę. Zanim sobie swoją rękę - co powiedziawszy chwycił wędkę i, brodząc w sięgającej mu do pasa wodzie, skierował się do brzegu.

Becky odwróciła się, chcąc zrobić to samo.

- Niech mi pani zrobi przysługę! - Staął raptownie. - Niech pani zostanie w wodzie, póki nie oddalę się przynajmniej na kilkadziesiąt metrów. Chcę jeszcze trochę pożyć!

Becky poczuła, jak łzy ściekają jej po policzku. Z największym trudem opanowała drżenie głosu.

- W porządku, ale proszę pamiętać, że oferowałam pomoc.
- Dobrze, dobrze, będę pamiętał - mruknął - pewnie będę pamiętał aż do sądnego dnia. Zobaczy pani, jeszcze moje praprawnuki będą opowiadały tę historię swoim dzieciom.

Mrucząc pod nosem, powlókł się dalej w stronę plaży. Becky odczekała chwilę, póki nie zniknął za zakrętem i wolno podążyła za nim. Ganiła się w duchu, że pozwoliła mu odejść. To, że nie życzył sobie jej pomocy, nie oznaczało jeszcze, że nie będzie jej potrzebował!

Staneła na chwilę, aby posłuchać odgłosów z domu.

- Dzięki Bogu, że chociaż Faith śpi - westchnęła. Najchętniej pozostałaby jeszcze na plaży, ale gdzieś w zakamarkach jej mózgu tliła się obawa, czy Jake nie będzie jednak potrzebował jej pomocy. Powoli ruszyła ścieżką pod górę. Mężczyzna stał obok swego domku z lampą naftową w ręku. Właśnie zdążył odciąć żyłkę od haczyka, a teraz próbował uruchomić jedną ręką starą, zdezelowaną ciężarówkę. Bezskutecznie zresztą.

- Może pomogę panu z tą ciężarówką - zaproponowała mając nadzieję, że go tym nie rozżłości. Myliła się jednak.

- Dlaczego pani po prostu nie pójdzie do domu? - huknął na nią.
- Niech mi pani da wreszcie spokój!

- Ale... wydaje mi się...

Jake Meadows odstawił lampę i ruszył w jej stronę. Becky zamarła z przerażenia. Chcąc odwrócić jego uwagę mruknęła:

- Pańska dłoń nadal krwawi. Trzeba szybko wyjąć ten haczyk.

- Co pani powie? Zrobię to, jak tylko pani zniknie z pola widzenia. Dwukrotnie prosiłem już, by pani sobie poszła. Czy to nie wystarczy?

- Dobrze... już idę, ale gdyby pan jednak potrzebował pomocy, proszę przyjść do mnie do domu - powiedziała wzruszając ramionami i odwróciła się, by odejść.

- Po moim trupie! - rzucił za nią.

- Kto wie, jest to całkiem prawdopodobne - odkrzyknęła. - Niech pan pomyśli o posocznicy!

Jake chciał coś odpowiedzieć, ale właśnie umieszczone na domu Latimore'ów wzmocniacze obwieściły, że Faith się obudziła. Jej początkowo ciche kwilenie dość szybko przerodziło się w głośny płacz, słyszalny teraz w całej okolicy.

- Becky? Becky!

Becky pędem ruszyła w stronę domu. Tylko na moment zatrzymała się przy drzwiach wejściowych, by wyłączyć głośniki. Cisza, która nagle zapadła, zdawała się aż dzwonić w uszach. Becky wbiegła schodami na piętro i wpadła do pokoju Faith. Dziewczynka leżała w nogach łóżka zagrzebana w płataninie kocy i poduszek.

- Cicho, cicho, już jestem - uspokajała dziecko, tuląc je do siebie.

- Becky - jęknęła mała. - Śniło mi się coś okropnego.

- Dobrze już, dobrze. Teraz jest już wszystko w porządku.

- Becky, jesteś cała mokra!

Becky przez chwilę szukała właściwych słów.

- Zeszłam nad jezioro, by spotkać się z panem Meadowsem i oboje wpadliśmy do wody.

- Ale to zabawne! - zachichotała Faith.

- Nie wiem, co w tym takiego zabawnego - zareagowała sztywno Becky. - A teraz postaraj się znowu zasnąć. Może skończą się wreszcie nasze koszmary.

Jej mała siostrzyczka uśmiechnęła się promiennie i dała susa pod koldrę.

Becky odczekała jeszcze chwilę, póki mała nie zasnęła i zeszła na dół. Ciszę przerwało głośne pukanie do drzwi.

- No i kogo my tutaj mamy? - mruknęła pod nosem, sięgając ręką do klamki. Rozmyśliła się jednak i zawołała przez zamknięte drzwi:

- Kto tam?

- Ale śmieszne - dobiegł zza drzwi opryskliwy głos Jake'a. - A kogo się pani spodziewała?

- Musiałam się upewnić - odpowiedziała spokojnie Becky, otwierając drzwi. Jake Meadows wszedł do środka.

- Potrzebuję pomocy - mruknął.

- Niemożliwe? O ile pamiętam, obiecywał pan sobie...

- Dobrze już, dobrze. Zmieniłem zdanie. Może byłem zanadto zapalczywy. Przepraszam. Nie udało mi się uruchomić ciężarówki. Czy mogę skorzystać z pani jeepa?

- Tak, oczywiście, ale prowadząc jedną ręką nie zajedzie pan daleko.

- Nie mam innego wyjścia - jęknął. Pot wystąpił mu na czoło. Becky podeszła do niego, ujęła zranioną dłoń i przystawiła ją do światła. Haczyk tkwił w niej bardzo głęboko, a z otworów rany sączyła się cienka strużka krwi.

- Coś panu zaproponuję, panie Meadows. Może po prostu skontaktuję się z najbliższym lekarzem i wtedy zobaczymy, co dalej?

- Na samą myśl o pani pomysłach cierpie mi skóra - powiedział ostrożnie.

- Proszę usiąść przy stole - poleciła. W okamgnieniu zniknęła cała jej nieśmiałość i nieporadność. - Zaraz wracam - oznajmiła opuszczając pokój i pobiegła na górę. Chwilę później była już z powrotem.

- Chciał pan najbliższego doktora - stwierdziła, podstawiając mu pod nos swą torbę lekarską i dyplomy z uczelni. Jake nie potrafił ukryć zdziwienia.

- Dyplom Akademii przy szpitalu Johna Hopkinsa? To pani jest lekarzem?

- Tak się składa - westchnęła. - A teraz może... Miała właśnie zamiar spytać czy nie jest uczulony na środki znieczulające, gdy Jake, osuwając się wolno, jak na zwolnionym filmie, opadł z wyciągniętymi rękami głową na stół.

- No, no, jeśli to o czymś nie świadczy - mruknęła Becky, otwierając torbę i wyjmując z niej potrzebny sprzęt lekarski. - Jest chyba trochę za duży, by mdleć z powodu zwykłego haczyka. Co by dopiero powiedział na widok tego... - Roześmiała się sięgając po igłę.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nigdy nie widziałam gorszego pacjenta - oznajmiła Becky, badając rękę Jake'a cztery dni później. - Tyle hałasu o mały haczyk! Jeden haczyk i aż sześć szwów.

- Łatwo pani mówić, bo to nie pani ręka - mruknął Jake.

- Przynajmniej mógłby mnie pan pochwalić za dobrą pracę. Do tej pory nie usłyszałam nawet słowa podzięk.

- Chciałem się wpieryw zapoznać z wysokością rachunku - odciął się mężczyzna. - Umie pani nieźle cerować. A jak z robieniem na drutach?

- Tego nie uczono nas na studiach medycznych. Ale owszem, umiem szyć, dziergać na drutach, a także szydełkować. Rachunku zaś nie będzie. Potraktuję to jako wprawkę do chirurgii.

- Więc rachunku nie będzie - powiedział Jake, przyglądając się jej uważnie, czym wprawił dziewczynę w niemałe zakłopotanie. W ogóle w ciągu ostatnich czterech dni zachowywał się nieco dziwnie. Jak na kogoś, kto przyjechał nad jezioro Mohawk, by szukać samotności, składał jej zaskakująco regularne wizyty.

Wszystko to peszyło Becky. Niczego bardziej nie pragnęła, jak wymazać z pamięci człowieka, który wniósł do jej życia tyle zamieszania. Ale jak mogło się to udać, skoro uparł się codziennie ją odwiedzać? Nie miała zielonego pojęcia, co to wszystko znaczy.

- Jak to się stało, że potrafi pani zrobić tyle rzeczy w domu? Piecze pani sama chleb, gotuje zupy, a wszystko to smakuje

wyśmienicie. Nie znam innych lekarzy, którzy byliby w tych sprawach tacy biegli.

- Bo też nie zna pan innych lekarzy, którzy wyszli-by ze szkoły mojej matki - roześmiała się Becky, zmieniając mu opatrunek.

- Ma pani na myśli tę miłą małą kobietkę, którą poznałem kilka dni temu? Bez przesady, ona nie skrzywdziłaby nawet muchy...

- Niech pan się nie da zwieść pozorom. Mama jest twardą kobietą. To ona nauczyła mnie wszystkiego, o czym dziewczyna powinna wiedzieć.

W odpowiedzi Jake obdarzył ją promiennym uśmiechem.

- No cóż. Naprawdę dziękuję. Odwaliała pani kawał niezłej roboty i naprawdę doceniam to. A może tak zapomnielibyśmy oboje o tym, co było, i zaczęlibyśmy wszystko od początku, co pani na to?

Pomysł był całkiem niezły. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem i musiała przyznać, że jest chyba wart jej... przyjaźni? Odkaszlęła.

- No dobrze - powiedziała wyciągając dłoń, która natychmiast zniknęła w jego dłoni - jestem Rebecca Latimore, ale przyjaciele mówią do mnie Becky.

- Meadows. Jake Meadows.

- Hej - zawołała ze śmiechem - uważaj na moje ręce. Są zbyt cenne, by je zgnieść.

Jake zaczerwienił się i niechętnie puścił jej dłoń.

- Wiesz, mam nadzieję zostać niedługo chirurgiem - ciągnęła dalej dziewczyna - choć sama nie wiem, czy podołam całej tej dodatkowej nauce.

Zanim Jake zdążył coś odpowiedzieć, trzasnęły drzwi wejściowe i do kuchni wpadła Faith z miotającą się małą żabą w ręku. Becky westchnęła.

- Ostrożnie, kochanie, bo przestraszysz to małe stworzenie na śmierć.

- Ależ skąd - odpowiedziała dziewczynka. - Przecież lubię zwierzęta.

- Twoja siostra ma rację - ostrzegł ją Jake. - Wystarczy, że ściśniesz za mocno i zabijesz ją.

Wyciągnął rękę a Faith bez większego oporu podała mu swój skarb.

- Nic się nie stało twojej żabce - oświadczył Jake po pobieżnych oględzinach zwierzątka. - Może odniesiesz ją po prostu w to samo miejsce, skąd ją wzięłaś? A potem popłyniemy na ryby.

Nic mi o tym nie wiadomo, że mamy płynąć na ryby - chciała już zaproponować Becky. Ku własnemu zdumieniu powiedziała jednak:

- Właściwie dlaczego nie? Może być wspaniale. Nie mieliśmy zresztą od dawna ryby na obiad.

- Ale ja nie chcę z wami płynąć - sprzeciwiła się dziewczynka. - Nienawidzę tego. To takie głupie. Jak chcecie, to płyncie sami, ja zostaję posłuchać moich płyt. Przynajmniej będę mogła rozkręcić adapter na pełny regulator.

- Jesteś pewna, że nie chcesz płynąć z nami?

- Jestem - odpowiedziała głośno Faith.

Schodzący w dół, do przystani, Becky i Jake stanowili dziwną parę. Prowadziła Becky, trzymając koszyk z jedzeniem w jednej ręce i

wędkę na ramieniu. Tuż za nią, uginając się pod ciężarem wioseł, wędek i puszek z przynętą, podążał Jake.

Po drodze Becky po raz kolejny zadawała sobie pytanie, co też mogło jej przyjść do głowy, by wybrać się z tym nieznanym na ryby. Nie miała najmniejszego pojęcia, kim jest, czym się zajmuje i jakim cudem się tu znalazł. Wbrew temu, czego do tej pory doświadczyła z jego strony, wiedziała, że jej się podoba.

Łodzie uwiązane były na samym krańcu przystani. Becky, która dotarła do nich pierwsza, odstawiła swój bagaż na ziemię i ostrożnie weszła na pokład płaskodennej łodzi. Kątem oka widziała, jak Jake powoli schodził ze wzgórza gwizdząc wesoło. Postanowiła skorzystać z nadarzającej się tego dnia okazji i dowiedzieć się wreszcie, kim jest Jake Meadows.

Zajęta własnymi myślami nieopatrznie stanęła w wypełnionym mętną wodą dnie łódki, mocząc nogawki spodni i płócienne tenisówki. Zła, wyciągnęła ze schowka na rufie stare naczynie do wylewania wody i chcąc nie chcąc zabrała się do roboty. Jake, widząc co się święci, zwolnił jeszcze bardziej, tak że zanim dotarł na przystań, było już prawie po wszystkim.

Becky ze złości zacisnęła mocno usta. Praca wprawdzie nie była ciężka, ale uważała, że to raczej zadanie dla mężczyzny. Nagle roześmiała się. Becky Latimore, co ty wygadujesz? Co by tata na to powiedział? - pomyślała w duchu. Zawsze powtarzał swoim dorosłym córkom: „Nie ma czegoś takiego, jak praca dla mężczyzn i praca dla kobiet. Jest tylko dzielenie się pracą. A jeśli kiedyś spotkacie kogoś, z

kim gotowe będziecie dzielić absolutnie wszystko, to moje śliczne, będzie to miłość".

Becky nie miałyby nic przeciwko temu, by dzielić niektóre rzeczy ze wskakującym właśnie na pokład Jake'em. Zaczepnęła głęboko powietrza, by uspokoić nerwy. Zachodni wietrzyk mącił lekko fale kryształowo czystej wody i plątał długie, czarne włosy dziewczyny. Poza dochodzącymi z pobliskich zarośli trelami pary ptaszków panowała absolutna cisza.

Jake śmiejąc się podniósł do góry ręce, w których trzymał parę wiosel.

- Będzie ci raczej trudno wiosłować z tego miejsca - stwierdził.
 - Wiosłować?
 - Oczywiście. Rozumiesz chyba, co to słowo znaczy? Myślałaś, że to ja będę wiosłował? Co by na to powiedziała moja lekarka?
 - Wiedziałam, że w całej tej wyprawie musi tkwić jakiś haczyk - fuknęła Becky. - Powinnam jak najwięcej odpoczywać. Po to przecież tu przyjechałam.
 - A może siądziemy obok siebie i każde z nas weźmie po jednym wiosle? - zaproponował, obrzucając ją niewinnym spojrzeniem.
- Oboje doskonale wiedzieli, że ławeczka jest na to zbyt wąska, aby dwie osoby mogły się obok siebie. Co za człowiek! Prawdziwy wilk w owczej skórze.
- A więc?
 - Trudno. Będę wiosłować - westchnęła siadając.
 - Zakładam, że umiesz to robić? - spytał złośliwie.

- Wyobraź sobie, że tak! - odparła z przekąsem Becky. - Może byś tak wreszcie usiadł?

Jake śmiejąc się od ucha do ucha usiadł na swoim miejscu, skrzyżował nogi i dał zdrową ręką sygnał do odjazdu. Becky tylko wzruszyła ramionami. Nie było sensu zwracać na to uwagi i denerwować się. Szybko włożyła wiosła w dulki i spokojnie usiadła.

- O co chodzi? Na co jeszcze czekamy?

- W naszej rodzinie obowiązuje zasada, że nikt nie wypływa łodzią bez kamizelki ratunkowej - oznajmiła słodziutkim głosem.

- No wiesz, przecież to tylko niewielkie jezioro, a nie ocean! - zaprotestował.

Becky była jednak niewzruszona.

Jake'owi nie pozostało nic innego, jak schylić się i wydostać spod ławki dwie pomarańczowe kamizelki, które z niemałym trudem założyli na siebie. Potem odwiązał linkę i odepchnął łódź od pomostu.

- Dokąd właściwie płyniemy? - spytała Becky.

- Na północ - odparł, wskazując ręką kierunek. - Jest tam taka mała wysepka zwana Trzy Sosny. Ryby najlepiej biorą na jej południowym cyplu.

- Ależ to...

- Tylko jakiś kilometr stąd. To co, ruszamy? Dopłynięcie do wyspy zajęło im ponad godzinę, a kolejne pół godziny znalezienie miejsca, które by mu odpowiadało. Jake rzucił małą kotwicę, po czym spytał siedzącą bez ruchu dziewczynę:

- A ty co, nie łowisz?

- Masz tylko robaki - mruknęła.

- Oczywiście. Nic na to nie poradzę, że ryby lubią robaki. Nie powiesz chyba, że pani doktor brzydzi się robaków?

- Nie o to chodzi - zaczęła się bronić Becky. - Ja się ich nie brzydzę, tylko... po prostu nie cierpię nabijać ich na haczyk. A poza tym... - urwała nagle. Nie miała wcale zamiaru opowiadać mu całej reszty. Spojrzała na swe pokryte bąblami dłonie i westchnęła w duchu.

Jake tymczasem założył przynętę na obie wędki i zarzucił je do wody. Becky chciała mu coś powiedzieć, ale syknął na nią:

- Bądź cicho, bo spłoszysz ryby.

Typowo męska odzywka, pomyślała sięgając do torby na ramieniu. Nie znalazła w niej jednak niczego, co ulżyłoby jej cierpieniu. Następnym razem będę lepiej przygotowana - pomyślała, ale zaraz zganiła się w duchu za takie myśli. Jakim następnym razem? To był zdecydowanie pierwszy i ostatni raz. Miała tego faceta po dziurki w nosie. I to ma być pisarz! Pewnie pisze książki pornograficzne albo takie przeładowane seksem i okrucieństwem. Ale to też wymaga pewnego wysiłku intelektualnego. Może go przeceniam. Może po prostu pisze ogłoszenia czy coś w tym rodzaju.

- Jakieś kłopoty, Becky?

- Skądże znowu. Bo i kogo to obchodzi, że jestem zmęczona, mam bąble na dłoniach i chce mi się pić. Dlaczego miałabym mieć kłopoty?

- Bąble? No cóż, zdarza się. Czy to dlatego od jakiegoś kwadransa mówisz sama do siebie?

- Wcale nie mówiłam do siebie - urażona, wyprostowała plecy i dumnie uniosła głowę do góry. Dwie minuty później wrodzone

poczucie humoru wzięło jednak górę. Lekkie drganie kącików ust szybko przerodziło się w głośny, niepohamowany chichot.

- Hej, uspokój się wreszcie! Naprawdę wypłosisz wszystkie ryby!

- No i co z tego? - prychnęła Becky, obserwując jednak uważnie spławik swojej wędki, wokół którego zaczęło się nareszcie coś dziać. Nagle spławik całkowicie zniknął pod wodą, a wędka wygięła się w ostry łuk. Becky złapała swymi poranionymi dłońmi za jej grubszy koniec i ścisnęła ją ze wszystkich sił kolanami.

- Dobra dziewczynka, tak trzymaj. Nie pozwól jej uciec w trzcinę. Zaczynaj teraz powoli wybierać linkę kołowrotkiem. Właśnie tak. Dobrze... dobrze... - podpowiadał cicho Jake.

- Dłużej już nie wytrzymam - westchnęła Becky. - Strasznie mnie bolą ręce.

Jednym susem Jake znalazł się za nią na ławce i otaczając ją od tyłu ramionami, z policzkiem przytulonym do policzka dziewczyny, usiłował zapanować nad rozszalałym wędziskiem. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe, ale nic nie mogła na to poradzić. Kątem oka raz po raz zerknęła na twarz przytulonego do niej mężczyzny. Z twarzy tej zniknęły nagle wszelkie oznaki zmęczenia. Rozpogodziła się i promieniała radością jak u małego chłopczyka. Nagle walcząca ryba podплыnęła zbyt blisko do burty. Jeden ruch podbierakiem wystarczył, by unieruchomić ją w siatce. Chwilę później, bezbronna, szamotała się na dnie łodzi.

- O mój Boże! - jęknęła Becky. Jednym ruchem podkurczyła nogi i oparła je o ławkę. Życie i śmierć; nieraz miała z tym do

czynienia, ale nigdy nie mogła znieść widoku węży i miotających się ryb.

Jake roześmiał się głośno. Jedną ręką sięgnął po rybę, drugą wyjął jej z pyska haczyk.

- Ale pstrąg! Piękna sztuka. Półtora kilo, może nawet dwa. To dopiero będzie uczta! - Odłożył rybę z powrotem na dno łodzi i sięgnął po kolejną przynętę.

- Ja... mam już dosyć wędkowania... - powiedziała Becky. - Jestem zmęczona i... bołą mnie dłonie i...

- W porządku - przerwał jej Jake. - Płynmy więc do brzegu. Zobaczymy, czy uda nam się znaleźć coś, co ulży twoim cierpieniom.

Mówiąc to przecisnął się obok niej na dziób i wybrał z wody kotwicę, zahaczając ją na burcie. Chodził z lekko rozstawionymi nogami, najwyraźniej przyzwyczajony do przebywania na wodzie. Każdy jego ruch był niezbędny i celowy. A może jednak pisze bardzo dobre książki? Może. Jeszcze jedno pytanie, na które nie ma odpowiedzi w podręczniku anatomii. Pokręciła głową i ostrożnie sięgnęła po wiosła.

- Zostaw, proszę - powstrzymał ją Jake. - Z takimi bąblami nie możesz dalej wiosłować.

- A niby jak sobie wyobrażasz powrót do domu? - prychnęła Becky.

- Dobrze, już dobrze - roześmiał się Jake. - Wszyscy mówią, że jesteś taką miłą dziewczyną. Dlaczego nie potrafisz być miła również dla mnie?

Zdjął jedno wiosło z dulki i położył je na dnie łodzi. Z drugim w ręku przeszedł na rufę i zamocował je w niewielkim nacięciu na tylnej części burty. Poruszył wiosłem lekko wypróbując je.

- To się nazywa wiosłowanie na śrubkę - oznajmił wesoło. - Nie uwierzysz, ale wiele lat temu byłem w tym mistrzem mojej szkoły.

- Naturalnie, że ci wierzę. To było, zanim jeszcze wynaleziono kajak, czy nie tak?

Urażony spojrzał na nią.

- Nie wiem dlaczego, ale wciąż mam wrażenie, że mnie nie lubisz. A co z naszym zawartym w kuchni rozejmem?

- W świetle dziennym sprawy wyglądają nieco inaczej - mruknęła. - Poza tym wtedy jeszcze nie wiedziałam, że będziesz mnie zmuszał do wiosłowania.

Zaprzątnięta swoimi myślami dopiero po chwili zauważyła, iż zdążyli opłynąć ostry cypel wyspy i zbliżali się do małej piaszczystej zatoczki.

- Wszyscy wysiadać! - zawołał Jake. Becky spojrzała przed siebie i skrzywiła usta.

- Dlaczego nie opuszcza mnie wrażenie, że uczestniczę w dziewczęcym rejsie „Titanica”? - spytała markotnie. Rozejrzała się wokół. Wysepka była mała. Właściwie był to porośnięty sosnami pagórek.

- Wysiadasz wreszcie, czy nie?

Becky niechętnie uniosła się z miejsca i od razu upadła, gdy łódź niebezpiecznie zakołysała się. Niewiele myśląc, przeczołgała się na

kolanach na dziób, a następnie, potykając się, wygramoliła się na brzeg.

- Spróbuj tylko odezwać się, a oberwiesz! - ostrzegła. Jake zignorował wyzwanie. Spokojnie zaczął wyładowywać z łodzi ich rzeczy.

- Na górze jest małe zadaszenie - oznajmił. - Zaniosę tam to wszystko. W jednym z koszyków jest, zdaje się, jedzenie? Jeśli nie, to wrócę po rybę.

- W koszyku jest jedzenie - potwierdziła Becky. - A o rybie lepiej zapomnij. Nie będę gotowała ryby w takich warunkach!

- Co do tego nie ma wątpliwości - odparł Jake. Schylił się i podniósł z ziemi garść liści i igliwia. - Spójrz, jakie to wszystko jest suche. Rozpalić tu ognisko to tak, jakbyś chciała sprawdzić zapalką, czy masz bak pełen benzyny. Nie ma mowy o ognisku!

- Nie ma więc też mowy o rybie - oznajmiła Becky. Jake w odpowiedzi jedynie uśmiechnął się i zaczął wspinać się pod górkę.

Becky, która liczyła na pomoc z jego strony, rozzłościła się nie na żarty. Do diabła z tym facetem, pomyślała. Z trudem wstała z ziemi i po otrzepaniu się z listowia, ruszyła za Jake'em w głąb lasu.

„Zadaszenie”, jak to określił Jake, okazało się małym szałasem. Trzy mocne ściany pokryte dziurawym dachem, a przed otwartą na wschód pustą ścianą kamienne palenisko. W powietrzu czuć było zapach starych ognisk.

Z przyjemnością wdychała świeże, pachnące żywicą powietrze, rozglądając się uważnie dookoła. W pewnej chwili wzrok jej spoczął na Jake'u. Starła się porównać go do jedynej mężczyzny, którego

naprawdę znała, swego ojczyma. Masywny, ale ani tak wysoki, ani tak umięśniony jak tata. Można by go wręcz nazwać chudym. Sama skóra i kości. Ale to jeszcze o niczym nie świadczy, uświadomiła sobie. Ja też jestem dużo wyższa od Mary Kate! On i ja moglibyśmy...

Przerwała nagle swe rozmyślania, zaniepokojona kierunkiem, jaki przybrały.

- W wiadrze za szafasem jest deszczówka - powiedział Jake. - To pewnie najczystsza i najbardziej anty-septyczna woda w okolicy. Obok leży kostka mydła. Idź, umyj ręce, a ja wyjmę jedzenie.

- Słuchaj, to ja jestem lekarzem - mruknęła Becky, ale usłuchała.

Gdy wróciła, Jake leżał wyciągnięty w trawie, łapczywie pochłaniając kanapki, które przygotowywała rano w takim pośpiechu, i popijał lemoniadę. Nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Po chwili wahania Becky zdecydowała się usiąść i sięgnęła po swoją część jedzenia.

Powietrze było przyjemnie rześkie. Delikatny wietrzyk igrał jej włosami, a nozdrza wypełniał odurzający zapach sosen. Becky poczuła, jak ogarnia ją słodka niemoc. Wokół panowała niespotykana cisza i spokój. Położyła się na plecach, by obserwować wierzchołki drzew, sięgające hen, wysoko, aż do pierzastych chmur. Nie zauważyła nawet, kiedy jej głowa spoczęła na jego kolanach. Uczyniła gwałtowny ruch, by się podnieść.

- Nie rób tego - powiedział Jake łagodnie. - Odpręż się.

Nie wiedzieć czemu, posłuchała go. Dłoń mężczyzny delikatnie muskała jej włosy. Było cicho i ciepło, czas jakby nagle stanął, nie

istniało nic poza tu i teraz. Zapadła w lekką drzemkę. Przebudził ją dopiero głos Jake'a.

- A więc skończyłaś medycynę?

- Tak - odparła. - Było ciężko, ale udało się.

- Musiałaś być bardzo młoda, gdy trafiłaś na studia.

- Bo ja wiem? W trzy lata skończyłam kurs wstępny medycyny i w wieku dwudziestu jeden lat trafiłam do Akademii przy szpitalu Johna Hopkinsa.

- Czyli dyplom zrobiłaś mając dwadzieścia pięć lat. I co dalej?

- Musiałam zrobić specjalizację z interny. Marzyło mi się jednak coś innego niż zwyczajowe przepychanki na uczelni. Uzyskałam zgodę na zrobienie specjalizacji w szpitalu polowym w Czadzie, założonym przez Amerykańskie Towarzystwo Przyjaciół Czadu.

- To musiało być niezwykle interesujące.

- Z medycznego punktu widzenia, owszem. Najpierw był głód, później rebelia, a następnie inwazja Libii. Dziewięć miesięcy istnego horroru! Aż wreszcie... - urwała, zła z powodu własnego gadulstwa. Jeszcze chwila, pomyślała, a opowiesz mu historię swego życia, którą odnajdziesz później w jednym z jego podejrzanych bestsellerów.

- Tak? I co było dalej?

- Przecież ciebie to wcale nie interesuje.

- Skądże znowu! Opowiadaj dalej.

- Później dostaliśmy się pomiędzy wojska rządowe a rebeliantów i skończyły nam się zapasy lekarstw. A ja, jak idiotka, zapomniałam zażyć atabryny i złapałam malarię. Nie dały mi rady bomby, artyleria i temu podobne. Rozłożył mnie jeden cholerny komar. W rezultacie

odesłali mnie do domu. Ot, taka jest historia mego życia.

Zadowolony? Nie waż się tylko wykorzystywać tego w swoich książkach!

- Dobrze, już dobrze - roześmiał się Jake. - Brakuje mi tylko zakończenia. Ale o tym porozmawiamy kiedy indziej.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Tak też myślałem. A teraz zamknij oczy i śpij - rozkazał, delikatnie głaszcząc palcem jej powieki.

Chwilę później już spała.

Przez jakiś czas Jake przyglądał się śpiącej dziewczynie, okręcając sobie wokół palca jej cudownie jedwabiste włosy. Niemożliwe, pomyślał w duchu, nie tylko piękna, ale jeszcze inteligentna. Co za rzadko spotykana kombinacja! Ciekawe, czy jej dzieci będą podobne do Michaela?

Oparł się wygodnie o pień drzewa, popuścił wodze fantazji i zapadł w swój własny, dziki świat snów.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Słońce powoli chowało się za wierzchołkami gór. Powiało chłodem. Becky zadrżała i zmusiła się, by otworzyć oczy. Obróciła głowę. Jake spał oparty o pień drzewa z puklem jej włosów okręconym wokół dłoni. Na jego odprężonej twarzy błąkał się delikatny uśmiech. Tak rozluźniony, bez zmarszczonych brwi, wyglądał dużo młodziej i dużo bardziej przystępnie niż zazwyczaj. Nie mogła uwolnić swoich włosów nie budząc go, postanowiła więc poczekać jeszcze chwilę. Powróciła do poprzedniej pozycji, wygodnie moszcząc głowę na jego kolanach. Próbowała zebrać myśli.

Nie mogła dłużej od tego uciekać. Człowiek ten rozbudził w niej już zbyt wiele emocji, a ona nawet nie wiedziała dlaczego. Z pewnością nie był specjalnie przystojny, ale nie był też brzydki. Mimo arogancji był mężczyzną zasługującym na szacunek. Otóż to. To słowo mówiło o wszystkim. Być może kiedyś Jake zmieni się na tyle, że będzie mogła go... będą mogli dzielić z sobą pewne sprawy? Ciekawe, co powiedziałby tata, gdyby znał jej myśli? „Czy lubisz go na tyle, by dzielić z nim szczoteczkę do zębów? Jeśli tak, to jest to miłość”. Natychmiast jednak pomyślała trzeźwo, że to wszystko nie może być prawdą.

Zerknęła na znikające za horyzontem słońce. Mój Boże, pomyślała, zupełnie zapomnieliśmy o Faith! Nie chciało jej się jeszcze wstawać, ale rozsądek i poczucie odpowiedzialności zwyciężyły.

Dotknęła jego twardego, muskularnego ramienia. Potrząsnęła nim lekko. Gwałtowny ból przeszył jej pokryte pęcherzami dłonie, ale Jake poruszył się.

W przeciwieństwie do niej obudził się natychmiast.

- Musimy wracać - oświadczyła. - Faith ma dopiero dziewięć lat. I tak zbyt długo zostawiliśmy ją samą. Będzie się denerwowała.

- No pewnie! - mruknął - dopiero dziewięć lat? Raczej czterdzieści! Jest dużo bardziej dojrzała niż ty.

- Przestań opowiadać takie rzeczy. Wiedz o tym, że bardzo kocham moją siostrę!

- Zdążyłem zauważyć. Masz zaiste wielkie serce, prawda, maleńka? Nie znalazłoby się tam trochę miejsca dla mnie?

- Jakim cudem? - spytała z gorzkim uśmiechem. - Przecież w ogóle nic o tobie nie wiem. Poza tym, że coś piszesz. Ale nawet nie wiem co.

- No dobrze - westchnął. - Jeśli informacje na mój temat mają być przepustką do twojego serca... Co chcesz o mnie wiedzieć?

Od tak wielu dni miała na końcu języka to jedno pytanie, że wymknęło jej się szybciej, niż zdążyła pojąć, co robi.

- Jesteś żonaty?

- Ja? Nie. Życie, jakie do tej pory prowadziłem, nie pozwalało mi na to.

- A jakie to było życie?

- W jednostkach wojskowych - oznajmił, jakby to wszystko tłumaczyło.

Becky wzruszyła ramionami. Nic jej to nie mówiło.

- Mój ojciec był zawodowym oficerem - wyjaśnił Jake. Nie patrzył na nią, tylko gdzieś daleko, przed siebie. - Moja matka, dwie siostry i ja musieliśmy towarzyszyć mu w podróżach po całym świecie. Dwa lata tu, trzy lata tam... Wszędzie nowi przyjaciele, ale tylko do czasu kolejnej przeprowadzki.

- To brzmi całkiem interesująco. Musiałeś zwiedzić kawał świata. Założę się, że byliście sobie bardzo bliscy?

- Tak - odparł, wciąż nie patrząc na nią. - Do czasu, aż ojciec zginął w jakiejś wojnie.

Becky wstrzymała oddech. Nie wiedziała, co powiedzieć. Jake popatrzył na nią i położył dłoń na ramieniu dziewczyny.

- Nie jestem bezpańskim kotem. Nie potrzebuję współczucia.

- Toteż wcale ci tego nie proponuję - warknęła.

- I co było dalej?

- W wojsku trudno się wzbogacić. Gdyby nie ubezpieczenie i emerytura ojca, nie wiem, jak matka i dziewczęta dałyby sobie radę. Ja natomiast zaraz po college'u poszedłem w ślady ojca.

- Wstąpiłeś do wojska?

- Tak. Mają tam niezłe programy nauczania. Opłacili też moje studia. Wydawało mi się, że z wojnami już koniec. Ale my wszędzie się pchamy. W rezultacie wylądowałem w Bejrucie.

- Mój Boże! Nie byłeś chyba w ambasadzie, kiedy wyleciała w powietrze?

- Owszem, byłem - oznajmił krótko. - Należałem do szczęśliwców, którzy przeżyli. Dali mi urlop zdrowotny więc przyjechałem tutaj, by napisać książkę.

- O Bejrucie?

- W pewnym sensie, tak.

- A potem wracasz do wojska?

- Nie. Z tym już koniec. Gdy tylko skończy mi się urlop, poproszę o zwolnienie ze służby. Masz coś przeciwko wojsku?

- Nie - odpowiedziała miękko. - Raczej nie. Mój prawdziwy ojciec też był zawodowym wojskowym. Niestety nie pamiętam go. Mama wychowywała mnie sama, do czasu, gdy ponownie wyszła za mąż.

- Czyli to nie moja służba w wojsku jest powodem, dla którego jesteś do mnie uprzedzona?

-Ja... ja wcale nie jestem do ciebie uprzedzona - wyjąkała Becky.

- Ja... no, może odrobinę. Wiesz, przeżyłam okropny szok, wtedy gdy wrzuciłeś mnie śpiącą do basenu.

- Ale mogłabyś mi wreszcie wybaczyć?

- Być może. - Uśmiechnęła się, a w policzkach pojawiły się urocze dołeczki. - Czas leczy rany, jak powiadają. Jeśli jeszcze zaczniesz się do mnie nieco milej odnosić...

- Przynajmniej wiem teraz, na czym stoję. - Roześmiał się i sięgnął po jej dłoń. Becky gwałtownie odskoczyła. - Chciałem jedynie obejrzeć twoje pęcherze - zaproponował - nie mam zamiaru cię gwałcić ani mordować.

- Ja... - Becky nie mogła wykrztusić z siebie sensownego słowa. Zamiast tego wyciągnęła ręce przed siebie, pokazując wypełnione jasną cieczą pęcherze.

- Cóż, wygląda na to, że przydałby nam się lekarz.

- Podłożył swoje ręce pod jej dłonie i uważnie im się przyjrzał. Becky dygotała na całym ciele, choć bynajmniej nie z bólu. - Myślę, że będę mógł coś na to poradzić - stwierdził.

- Nie! Tylko przypadkiem ich nie przekłuwaj!

- Tyle to i ja wiem! - odparł. - Gdzie jest ta twoja śmieszna torba lekarska?

- Nie wzięłam jej z sobą - musiała przyznać Becky. - Przecież to miała być tylko mała przejażdżka!

- Wiem - odparł - ale musimy osłonić czymś twoje dłonie, byś przypadkowo nie rozwalila pęcherzy. - Zanim zdążyła zaproponować ściągnął z siebie koszulę, a następnie biały bawełniany podkoszulek. - To będzie wystarczająco miękkie - powiedział, drąc go na strzępy.

- Mój Boże! - zawołała Becky, wlepiając oczy w jego tors. Był posiekany dziesiątkami blizn, odchodzących od środka piersi we wszystkich możliwych kierunkach. Część z nich wciąż jeszcze była czerwona, świeża.

- Przez dwadzieścia cztery godziny leżałem zagrzebany w ruinach budynku. Kosztowało ich niemało wysiłku, by złożyć mnie z powrotem - wyjaśnił. - Teraz nie przeszkadzaj i podaj dłonie. - Z resztek bawełnianego podkoszulka przygotował małą poduszeczkę, którą ułożył na wewnętrznej stronie jej prawej dłoni, po czym niezwykle fachowo ją zabandażował. Następnie zrobił to samo z drugą dłonią. Skończywszy, odszedł dwa kroki do tyłu, by móc lepiej podziwiać wyniki swojej pracy.

- Niezła robota - pochwalił się - możesz mi pogratulować.

-Tak, to prawda - odparła Becky sprawdzając bandaż. Szumiało jej w głowie. Dziwiła się, jakim cudem pisarz potrafi tak fachowo założyć opatrunek. Być może przeszedł jakieś paramedyczne przeszkolenie. - Dziękuję - mruknęła wreszcie, wciąż pochłonięta swoimi myślami.

- Co za wylewne podziękowanie! - roześmiał się Jake. - Znam lepsze sposoby na wyrażanie swojej wdzięczności. A może mały całus?

- No pewnie! - prychnęła Becky - i jeszcze czego?

- No wiesz... Może to faktycznie nieco wygórowana cena, ale pomyśl o inflacji... Nie uważasz, że warto spróbować? - Stał przed nią uśmiechając się od ucha do ucha, a widok ten rozdzierał jej serce.

- Czy ja wiem? - odparła niezdecydowanie. Powoli zbliżyła się do niego, położyła ręce na jego ramionach i delikatnie pocałowała w usta. - Zadowolony?

- Skądże znowu! - zawołał, wesoło mrużąc oczy. Objął Becky obiema rękami i przytulił mocno do siebie. Początkowo sztywna jak kijek po krótkiej chwili rozluźniła się i mocniej wtuliła w jego ramiona. Jake uniósł jej brodę nieco do góry i ustami dotknął jej ust.

Becky jak zahipnotyzowana całkowicie poddała się jego delikatnym pieszczotom. Nigdy dotąd nie doznała tak oszłamiających emocji. Jej ciało reagowało na każde, najmniejsze nawet dotknięcie ust Jake'a. Wzdłuż jej pleców przeszło rozkoszne mrowienie. Rosnąca fala namiętności usunęła na bok wszelki rozsądek. Gotowa była teraz spełnić każde jego żądanie. Ale wszystko skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Jake odsunął ją od siebie

i odwrócił głowę. Becky nie wiedziała, co o tym sądzić. Starła wziąć się w garść. Nie potrafiła jedynie opanować drżenia kolan.

- Słyszałaś?

-Co?

- Ten hałas.

- To tylko samolot - mruknęła, opierając się o najbliższe drzewo.

Teraz drżał już tylko jej głos. Przeklinała siebie w duchu za brak charakteru. Tak, jakby nie miała już dość innych zmartwień.

- Co ty powiesz? - spytał ironicznie Jake. - Tylko ciekawe, skąd się tutaj wziął? - Szybko wdrapał się na szczyt wzgórza, skąd przez wąski wycinek w lesie rozciągał się widok na okolicę. - To Cessna z pontonami - zawołał, zbiegając pędem z góry. - Szybko, do łodzi! - krzyknął, pomagając jej wstać. Złapał ją za rękę i pociągnął za sobą na dół. Zanim jeszcze zdążyła usiąść, zepchnął łódkę z piaszczystego brzegu, przeciągnął ją na głębszą wodę i dopiero wtedy wskoczył na rufę, kierując łódź w stronę domu.

Przez całą drogę nie odezwali się do siebie ani jednym słowem. Becky nie widziała powodu, by wpadać w euforię z powodu jakiegoś głupiego samolotu. Siedziała tyłem do dziobu i przyglądała się Jake'owi, a właściwie wspaniałej pracy jego mięśni. Blizny na jego piersi tańczyły makabrycznego walca, ale on nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Becky przyglądała się im fachowym okiem. Zastanawiała się, co musiał czuć, gdy leżał przez cały dzień przysypany gruzem. Czy dowiedziałyby się w ogóle o jego przeżyciach, gdyby przypadkiem nie zobaczyła tych obrażeń?

Jake wywijał wiosłem ze wszystkich sił, nieustannie śledząc biało-niebieską awionetkę, która raz jeszcze zatoczyła koło nad jeziorem, po czym spokojnie zaczęła schodzić do lądowania.

Maszyna była prywatna. Po wylądowaniu gwałtownie wytracała prędkość i kierowała się wolno w stronę przystani. Nagle otworzyły się drzwi kabiny. Stojący na pomoście mężczyzna zaczął odbierać od kogoś walizki. Gdy w drzwiach pojawiła się kolejna osoba, Becky wyteńczyła wzrok. Przed oczami mignęła jej jakaś pomarańczowa część garderoby, co wskazywało raczej na kobietę.

- Ach, jak mnie bolą plecy - jęknął Jake z tyłu. Becky odwróciła się. W jego oczach dojrzała jednak nie tyle ból, co niechęć.

- Ktoś, kogo się nie spodziewałeś?

- No właśnie - parsknął. - Szczerze mówiąc, myślałem, że to moja matka. Zapowiadała, że może wpadnie do mnie na kilka dni, ale...

- Ale to nie ona?

- Niestety. - Wzruszył ramionami, jak gdyby akceptując to, co nieuniknione. - Becky - powiedział cicho - potrzebuję twojej pomocy.

- Mojej pomocy?

- Ta harpia, która właśnie wysiadła z samolotu, oznacza same kłopoty. Co byś powiedziała na to, by przez kilka dni odgrywać rolę mojej dziewczyny?

- Kto? Ja? Nie jestem dobrą aktorką!

- Szkoda. Mogłaby być z tego niezła zabawa, jeśli nie coś więcej.

Słowa te rozdzwoniły jej się w uszach. Kto tu jest większym durniem, on czy ona? Wcale nie miałyby nic przeciwko temu, by poudawać jego dziewczynę, ale była zbyt dumna, by to przyznać. Zastanawiała się, co miał na myśli, mówiąc, że mogliby mieć niezły ubaw? Kto? On i ona? On i nieznajoma? Wszyscy troje? Nie miała najmniejszego zamiaru odgrywać roli przysłowiowego piątego koła u wozu. Co to to nie!

- Żałuję, że nie potrafię czytać z twoich ust - westchnął Jake. - Co za dziwna i zwariowana z ciebie kobieta, Rebecca.

- Nie myśl sobie tylko, że możesz mnie wychowywać - warknęła - lubię siebie taką, jaka jestem.

- Nie miałaś dotąd zbyt wiele do czynienia z mężczyznami, no nie? Mam na myśli w college'u i na uczelni?

Ponownie odwróciła się do niego.

- Studia wymagały ode mnie dużego wysiłku - poinformowała go, uśmiechając się gorzko.

- Tak, wiem - powiedział poważnie, ze zrozumieniem w głosie. - To Mattie jest tą bystrą w waszej rodzinie. Ta, która studiuje na MIT. A co robi biedna, mała Becky? Kończy szkołę średnią w wieku ilu, szesnastu lat? College w wieku dwudziestu, a studia medyczne w wieku dwudziestu pięciu lat. To całkiem niezłe osiągnięcie, moja maleńka.

- Nie nazywaj mnie tak! - wybuchnęła. - Mam metr osiemdziesiąt. Jestem wysoka! - W głębi duszy cieszyła się jednak z jego komplementów.

Jake roześmiał się.

- Nazywam cię maleńką, bo taką mam ochotę. I przestań wreszcie opowiadać, że tylko Mattie jest inteligentna. W końcu obie odziedziczyłyście po kimś nieco rozumu.

- Co ty wiesz na ten temat? - spytała, z trudem powstrzymując łzy. - Jesteśmy siostrami tylko z powodu adopcji. Pewnie, że i mnie udało się coś osiągnąć. Ale możliwe to było tylko dzięki niesłychanemu wysiłkowi i ogromnej pracy. Dzień w dzień musiałam ślęczeć nad książkami. Często aż do późnych godzin nocnych. Gdy jechałam do domu na wakacje, brałam z sobą książki, by i tam się uczyć. A Mattie? Oczywiście, ona także ciężko pracuje, ale jej wystarczy zajrzeć do podręcznika, by wszystko zapamiętać. Ma fotograficzną pamięć.

- Więc Mattie ma cudowną pamięć. Sam chciałbym ją mieć. Ale przecież ciebie też stać na wiele. Uwierz wreszcie we własne siły! - Wyczerpawszy temat Jake powrócił do wiosłowania.

Minęło co najmniej dziesięć minut, zanim zbliżyli się do przystani. W tym czasie mężczyzna, który przedtem zajmował się bagażem, wyciągnął z samolotu długi bosak i obrócił maszynę w drugą stronę. Następnie wskoczył do środka, zawyły silniki, a samolot podpłynął wolno w stronę jeziora. Teraz pilot dodał mocy silnikom i chwilę później mała Cessna zniknęła im z pola widzenia. Czekająca na przystani kobieta nerwowo przechadzała się po molo, aż wreszcie siadła na stercie swoich walizek i zapaliła papierosa.

Kiedy byli niecałe sto metrów od brzegu, Jake potwierdził najgorsze obawy Becky.

- Spójrz tylko na nią - powiedział Jake z czymś na kształt podziwu w głosie. - Oto Mavis Pell, gwiazda towarzystwa w Albany. Nie wierzę własnym oczom... Żartowałem, zapraszając ją tu, do lasu. Nigdy bym się nie spodziewał, że jednak przyjedzie. A niech to! Szkoda, że to nie moja matka.

- Maminsynek? - nie mogła się powstrzymać Becky.

- Może troszeczkę - przyznał Jake robiąc minę. - By zrozumieć, musiałabyś ją poznać. Moja matka jest... nie wiem, jak to powiedzieć... kipi życiem, rozsadza ją energia. Jest tak samo postrzelona jak ty, gdy... No tak, ja i moja niewyparzona gęba. Weź, złap się za linę!

Do przystani pozostało tylko kilka metrów, a ich łódź parła szybko przed siebie. Becky wstała i przeszła na dziób.

Z dużą wprawą rozwiązała supeł i zdjęła linę z małej kotwiczki. Kiedy Jake w ostatniej chwili skręcił w bok, przytulając się do nabrzeża, zarzuciła cumę na najbliższy palik. Jake wyskoczył z łodzi, zanim ta jeszcze się zatrzymała. Scenie, jaka się potem rozegrała, Becky przyglądała się z otwartymi ustami. Co za nagła przemiana, podziwiała, z opryskliwego wędkarza w szarmanckiego kawalera!

- Mavis! - wołał Jake. - Co za miła niespodzianka! Mała blondyneczka, zapominając przez chwilę o pretensjonalnym zachowaniu, rzuciła się w jego ramiona.

- Ach, Jake, nie widzieliśmy się od tak dawna! Becky zastanawiała się, co taka kobieta jak Mavis

Pell porabia tak daleko od wszelkiej cywilizacji. Przyglądała się jej wartej co najmniej trzysta dolarów sukience i z rozbawieniem

myślała o chwili, gdy Mavis ujrzy wewnątrz jednoizbowej chaty Jake'a. Tylko dlaczego nagle poczuła wzbierającą w niej zazdrość o człowieka, którego przecież niespecjalnie lubiła?

Szybko przywołała się do porządku i zabrała do rozładowywania łodzi. Nie miała chęci przyglądać się całującej się parze.

- Do diabła z nimi! - mruzczała, wyrzucając na pomost sprzęt wędkarski. Z dna łodzi spoglądał na nią szklanym wzrokiem ostatni pasażer, martwy pstrąg. Ty też możesz iść do diabła, pomyślała. Nie zwracając uwagi na tulącą się wciąż do siebie parę, ruszyła w stronę domu. W połowie drogi natknęła się na schodzącą w dół Faith.

- Słyszałam samolot, ale siedziałam właśnie w wannie. Dzieje się coś ciekawego?

- Bynajmniej - odpowiedziała Becky z niesmakiem.

- Właśnie przyleciała jego dziewczyna.

- Co takiego? Jest tutaj? - Oczy Faith zaświeciły się.

- Założę się, że to jakaś słynna gwiazda filmowa lub coś takiego.

- Prawdopodobnie. Są na dole, na przystani. - Becky westchnęła.

- Wyświadczysz mi przysługę? Zostawiłam na dole swoje rzeczy. Nie przyniosłabyś części z nich na górę? Ja w tym czasie zajmę się swoimi bąblami.

- Pewnie że tak! Chcę zobaczyć królową kina. Dzięki, Becky!

- A to za co? - spytała zdziwiona Becky, ale Faith już pędziła na dół, jakby ją ktoś gonił. - Tu mi kaktus wyrośnie, jeśli to jest gwiazda filmowa - prychnęła, ale szybko przywołała się do porządku.

Weszła do kuchni i zapaliła gaz pod czajnikiem. Kończyła właśnie drugą filiżankę kawy, gdy usłyszała zbliżające się głosy. Nie

chciało jej się ruszyć z miejsca. Myślała, że przybysze wejdą głównymi drzwiami, więc gdy usłyszała otwierające się nagle za jej plecami drzwi na patio, podskoczyła na krześle, rozlewając kawę na podłogę.

- No i popatrz, popatrz, co zrobiłaś! - wrzasnęła.

- Kto? Ja? - Faith jak zwykle była w wyśmienitym humorze. -

Wprawdzie ja tego nie zrobiłam, ale mogę zetrzeć. - Otworzyła szafkę pod zlewozmywakiem i wyjęła stamtąd ścierkę do zmywania podłóg. Tymczasem Jake i jego gość weszli do kuchni. Jake cały tonął w uśmiechach.

- Becky, chciałbym przedstawić ci moją starą znajomą, Mavis Pell.

Becky była zbyt dobrze wychowana, by okazać nieznajomej swoją niechęć. Z trudem zdobyła się na uśmiech i wyciągnęła rękę na powitanie. Miała nadzieję, że nikt nie zauważy, jak bardzo jest roztrzęsiona.

- Witam panią nad Lake Mohawk.

Mavis Pell podała jej delikatnie swą dłoń i natychmiast puściła.

- Cała przyjemność po mojej stronie - mruknęła pod nosem.

Ewidentnie kłamała, ale Becky nie dbała o to. Przyjrzała się bliżej pannie Pell. Metr sześćdziesiąt lub coś koło tego, oszacowała, poprawiając sobie humor. Piękne blond włosy, prawdopodobnie naturalny blond, sądząc po braku odrostów. Oczywiście niebieskie oczy. Świetna figura, podkreślona jeszcze tam, gdzie amerykańscy mężczyźni lubią to najbardziej. Do diabła! Pewnie jeszcze gra na organach i śpiewa w chórze kościelnym.

- Posprzątałam już ten bałagan - poinformowała Faith. - Wiesz, Becky, byłam dzisiaj w chacie pana Meadowsa i wiesz, co pomyślałam?

Becky chciała odkrzyknąć jej „nie, nie wiem i nie chcę wiedzieć”, ale spytała tylko:

- Nie, nie wiem, ale domyślam się, że masz zamiar mi powiedzieć?

- Ale jesteś zabawna - roześmiała się mała - no nie, Jake?

- Nie sądzę, bym powinien wypowiadać się na ten temat - odparł Jake.

- A więc poszliśmy do chaty Jake'a, a ta, jak wiesz, ma tylko jedno pomieszczenie. Są tam dwa miejsca do spania; jedno Jake'a, a drugie załadowane jego książkami. Wiesz, Mavis przyjechała pomóc mu z książką i dlatego to zrobiłam. - Faith wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się najśliczniej, jak potrafiła.

- To znaczy, co takiego zrobiłaś, kochanie? - wydobyła z siebie z trudem Becky. Na szczęście w pokoju obok odezwał się aparat nadawczo-odbiorczy i chrapliwy głos wywołującego ich częstotliwość operatora.

- To do nas! - pisnęła Faith. - Ja odbiorę! - Pędem rzuciła się do drzwi, zatrzymując się w nich tylko tak długo, by rzucić mimochodem przez ramię: - Dlatego zaprosiłam pannę Pell, żeby z nami zamieszkała. - Zanim Becky była w stanie zaprotestować drzwi zamknęły się z hukiem.

W kuchni zapadła niezręczna cisza. Jake Meadows i jego nowa pomocnica stanęli bliżej siebie. Jake objął opiekuńczym gestem ramiona dziewczyny. Oboje czekali na reakcję Becky.

Becky zwilżyła językiem suche wargi i szybko schowała drżące ręce za siebie.

- Tak - powiedziała wolno. - Oczywiście jest pani tu mile widziana. - Szybko odwróciła się, by ukryć napływające do oczu łzy.

- To dla mnie ogromna pomoc. Mavis będzie w pobliżu, a jednocześnie tak będzie najwygodniej... - Jake paplał dalej, ale niewiele z tego docierało do roztrzęsionej Becky. Dopiero gdy w pomieszczeniu ponownie zapadła cisza, zmusiła się, by unieść głowę.

- No cóż, w każdym razie będziecie mieli do siebie blisko - oświadczyła cicho. - Chcecie, bym poszła z wami po bagaże?

- Nie ma takiej potrzeby - odparł Jake. - Wszystko już przynieśliśmy.

- Wszystko?

- Nawet tę cholerną rybę!

- No nic... ja... Panno Pell, chodźmy, wskażę pani pokój. Pewnie jest pani zmęczona po podróży.

- Zajmę się walizkami - zaproponował Jake. Tylko blondynka nie miała nic do powiedzenia.

Becky westchnęła i gestem wskazała schody. O co tutaj chodzi? - pomyślała. - Ta laleczka wypowiedziała do tej pory nie więcej niż trzy słowa.

- Umieszczę panią w pokoju mamy - powiedziała, otwierając drzwi do sypialni. Mavis weszła tuż za nią i natychmiast zaczęła

dokonywać lustracji. Przetarła palcem po dawno nie odkurzanym biurku, wyjrzała przez okno, aż wreszcie sprawdziła stan materaca na łóżku. Jedyne jednak, co miała do powiedzenia to: „A gdzie jest Łazienka?”

- Tam - odpowiedziała Becky, wskazując drzwi na przeciwległej ścianie. Mavis wstała z łóżka i rozkosznie się przeciągnęła. Becky, która wiedziała, że takie gierki przeznaczone są wyłącznie dla mężczyzn, zdziwiła się, że Mavis marnuje na nią tyle energii. Omyliła się jednak. Mavis doskonale wiedziała co robi. W drzwiach pokoju, objuczony walizkami, stał Jake i wyraźnie był pod wrażeniem tego, co zobaczył. Dopiero wtedy Mavis dokonała inspekcji łazienki. Becky czuła się jak właściciel zajazdu.

Zatrzeszczały schody i Faith wsadziła głowę do pokoju.

- Tata! - wrzasnęła. - To tatuś! Chce z tobą rozmawiać. Becky, pospiesz się!

- No, no. Dowódca wzywa? - spytał Jake, uśmiechając się od ucha do ucha... Mavis wychodziła właśnie z łazienki, wycierając czubki palców w ręcznik gościnny.

- Jest być może troszeczkę za... ale, oczywiście, nie ma sprawy, kochanie - oznajmiła panna Pell, biorąc Jake'a zaborczym gestem pod ramię. - Byłam zresztą psychicznie przygotowana na brak wygód. Ale czego to ja dla ciebie nie zrobię?! - Jake ścisnął jej dłoń i spojrzał na nią z uwielbieniem.

- Becky! - Z dołu doszedł ich ponownie głos Faith. - Tata mówi, byś zaraz przyszła...

-Już idę... idę... - odkrzyknęła Becky, ruszając w stronę drzwi.

Jake podążył za nią.

- Jesteś naprawdę wspaniała - szepnął jej do ucha.

- Co ty powiesz? - odparła sztywno.

- Becky! - wrzasnęła ponownie Faith. - Tata mówi... lepiej się pośpiesz!

- To wszystko moja wina! - mruzczała Becky pod nosem, gdy zbiegała pędem na dół po dwa stopnie naraz. - Po co ja się na to wszystko godziłam?

- Co mówisz? - spytała Faith, uważnie przyglądając się starszej siostrze. Nigdy jeszcze nie widziała jej tak roztrzęsionej. - Wyglądasz, jakby ci coś dolegało!

- Tak? Więc i ty bawisz się w lekarza? - warknęła Becky i natychmiast tego pożałowała. - Przepraszam cię, nie wiem, co we mnie wstąpiło. Pójdź, proszę, na górę i sprawdź, czy Jej Wysokość czegoś nie potrzebuje.

- Dobrze, ale ty lepiej pośpiesz się.

Becky pobiegła dalej, nie zapominając o zamknięciu za sobą drzwi do jadalni. Siadła w rogu przy malutkim stoliku, podniosła mikrofon do ust i wcisnęła przycisk z napisem „mówić”.

- Becky, kochanie - usłyszała przepełniony miłością głos. Tylko dwa słowa, którymi jednak zdjął jej z pleców ogromny ciężar. Liczyło się tylko to, że była najstarszą córką człowieka, którego ramiona były wystarczająco szerokie, by pomieścić wszystkie jej kłopoty i kłopoty pozostałych członków rodziny.

- Ach, tatku - krzyknęła do mikrofonu. - Żebyś wiedział, jaka ja jestem głupia!

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Pod koniec drugiego tygodnia Becky straciła wreszcie cierpliwość. Któregoś ranka, pochylona nad wystygłą kawą, po raz dwudziesty zastanawiała się, jak w grzeczny sposób pozbyć się intruza z domu. Od samego początku pobyt Mavis Pell w jej domu wydawał się taki nieuchronny. Najpierw Faith zaprosiła Mavis, by z nimi zamieszkała, nie pozostawiając Becky pola do manewru. A potem była jeszcze ta rozmowa z ojcem przez aparat radiowy.

Po zwyczajowej wymianie zdań dwojga kochających się ludzi i wielu uspokajających słowach jej ojciec powiedział:

- Skoro u was jest wszystko w porządku, to ja zamierzam porwać waszą matkę na Bermudy. Mama wraca do pracy dopiero w październiku i pewnie od razu zacznie wypruwać z siebie żyły. Czyli jak? Dacie tam sobie sami radę? A co z tym człowiekiem, o którym wspominała mi mama?

Becky najchętniej poprosiłaby ojca, aby przyjechał i jak najszybciej ją stąd zabrał, ale zbyt dobrze pamiętała rozjaśnioną twarz matki, gdy ta wyobraziła sobie urlop bez dzieci. Postarała się, by jej głos zabrzmiał wesoło:

- Masz na myśli pana Meadowsa? Wszystko w porządku. Zranił sobie rękę haczykiem na ryby, a ja zszylałam mu ranę. Po tym nastąpiło między nami coś w rodzaju zawieszenia broni. Michael bardzo go polubił. Tak samo Faith, choć z pewnymi zastrzeżeniami.

- Słuchaj, malutka, nie zapominaj, że rozmawiasz ze swoim ojcem, a nie z jakimś sąsiadem zza płotu. Nie próbuj mnie oszukiwać. O co naprawdę chodzi?

- Ależ naprawdę, oboje bardzo go lubią!

- Wiesz doskonale, że Michael stosuje bardzo osobliwe kryteria oceny ludzi. Mów wreszcie, dziewczyno!

- Ja... - Nagle wybuchnęła płaczem. - To najbardziej arogancki i uparty człowiek, jakiego znam. No, może trochę przesadzam, ale nie za bardzo. Nie znoszę go! Możesz w to uwierzyć?

- Nie za bardzo, ale mów dalej.

- A więc... przyprowadził z sobą tę dziewczynę, Mavis Pell. A Faith zaprosiła ją, by z nami zamieszkała. Gdybym mogła, wyrwałabym Mavis wszystkie włosy z głowy albo zepchnęła ją ze schodów, albo zrobiła jeszcze coś innego. Nie masz pojęcia, co ja przeżywam!

- Wiem, wiem - roześmiał się. - Miałem podobne kłopoty z twoją mamą, ale nie zrażałem się niczym i teraz jestem z tego bardzo zadowolony.

- Ach, tatku - westchnęła Becky - chciałabym być tak szczęśliwa jak ty i mama. Nie martw się, damy sobie radę. Wiesz co, tatusiu?

- Co takiego, kochanie?

- Chcę ci podziękować za całą miłość, jaką mnie obdarzasz... choć przecież nie jestem twoim własnym dzieckiem. - Przez chwilę w eterze zapanowała cisza.

- Wiesz, Becky, chcę żebyś coś wiedziała. Wszystkie nasze dzieci po prostu się zjawily. Bardzo je kochamy, z pewnością wiesz o

tym, ale one po prostu się pojawiły. Ciebie natomiast, Rebecca, ciebie wybraliśmy! A to duża różnica. Jesteś naszą pierwszą miłością, nie zapominaj o tym! A teraz, skoro uważasz, że dasz sobie radę, zamierzam zabrać twoją matkę na wycieczkę, o której mówiłem. Mama musi trochę odpocząć. Pod moją nieobecność będzie czuwał nad wami pan Riley.

- Wspaniale! Wujek Charlie!

- No właśnie. Wy dwoje, zdaje się, zawsze mieliście się ku sobie? - Becky słyszała śmiech w głosie ojca.

- Pewnie! I to już od czasu, gdy ty i mama pojechaliście w podróż poślubną. Poskarżyłam się wtedy wujkowi Charliemu, że m n i e nikt nie zechce poślubić, gdyż jestem taka wielka i niezdarna. Na to on odpowiedział, bardzo poważnie zresztą, że jeśli nie wyjdę za mąż przed trzydziestym piątym rokiem życia, to on mnie poślubi! Wyobraź sobie, tato, moje pierwsze oświadczyzny! Jedyne zresztą do tej pory.

- Masz szczęście, maleńka. Ten twój wujek wprowadzie cały czas odgraża się, że chce odejść na emeryturę, ale na razie jeszcze pracuje i będziesz mogła kontaktować się z nim przez radio. A teraz zmykaj i daj tej Mavis Jakiejśtam nieźle popalić!

Dwa tygodnie później Becky miała jednak dosyć. „Co ta baba właściwie sobie wyobraża?”, wściekała się w duchu, wymachując dzbankiem do kawy.

- Zostało jeszcze trochę kawy? - Faith wślizgnęła się do kuchni cicho jak myszka. Ubrana w cienką nocną koszulkę i futrzane

domowe pantofelki wyglądała ślicznie i bardzo dziewczęco. Wrażenie psuły jedynie rozczochrane włosy i grymas wokół dzieciennych ust.

- Nie, nic już nie ma. Ale odkąd ty pijasz kawę? Przecież zawsze prosisz o mleko lub sok pomarańczowy.

- Wiem - westchnęła Faith - ale dziś potrzebuję kawy. To przecież środek pobudzający, no nie?

- Dobrze, już dobrze - roześmiała się Becky. - Zaraz ci zrobię filiżankę świeżej kawy. Skąd dzisiaj ten ponury nastrój?

- Na pewno nie z winy pogody, co? - odpowiedziała Faith głosem pełnym nadziei i podeszła do okna. Słońce stało już wysoko nad górami. Zapowiadał się kolejny pogodny dzień. - Dawno nie padało. Co najmniej z miesiąc.

- Raczej trzy miesiące. W radiu mówią, że to największa susza w tym stuleciu. Ale to nie o pogodzie chciałaś chyba rozmawiać?

- Nie, oczywiście, że nie - odburknęła Faith, co zdarzało jej się niezwykle rzadko. Becky obeszła stół i położyła dłoń na jej ramieniu.

- Powiedz mi, co cię gnębi - zachęciła ją.

- Nienawidzę być służącą we własnym domu - powiedziało dziecko. - Czy ta kobieta jest normalna? Śpi do dziesiątej rano, albo i dłużej, musi mieć śniadanie podane do łóżka, a rzeczy codziennie wyprane. Sama jednak palcem nie kiwnie. Nawet nie je tego, co jedzą normalni ludzie.

- Świetnie powiedziane - mruknęła Becky - sama nie potrafiłabym tego lepiej ująć. Ale z dniem dzisiejszym wypowiadamy jej wojnę.

- Wojnę? Jaką wojnę?

- Kobiety z rodziny Latimore'ów buntują się wreszcie. Biegnij i przygotuj się... spędzimy cały dzień na jeziorze. Ja tymczasem zrobię szybko parę kanapek. Tym razem, gdy zegar wybije dziesiątą, nasz Kopciuszek odkryje, że znalazł się w pustym domu. No już, pospiesz się i wynośmy się stąd.

Wzięły z przystani kajak i popłynęły prosto przed siebie. Spędziły całe przedpołudnie na wodzie, ciesząc się swoją obecnością. Na Wyspie Trzech Sosen urządziły sobie piknik, po czym spokojnie ruszyły w stronę domu.

Wesoło paplając, około drugiej po południu przybiły do brzegu, po czym, wciąż pochłonięte rozmową, zaczęły wspinać się pod górkę w stronę domu. Jake Meadows rąbał drzewo przed swoją chatą.

- Co ty wyprawiasz? - zaprotestowała Becky przystając. Jake otarł pot z czoła i przysiadł na pieńku.

- Kogo to ja widzę w moich skromnych progach...

- Lekarza, który przyszedł z wizytą do pacjenta. Pokaż mi twoją rękę!

Jake wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale usłuchał. Wyciągnął dłoń i pokazał ją Becky, która zmarszczyła nos, widząc podarty i brudny bandaż. Zdjęła opatrunek i przyjrzała się zablizniającej się ranie. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, ale kto to słyszał, by chorą ręką rąbać drzewo?

- Wygląda już całkiem dobrze, ale nie powinieneś jej jeszcze nadwerężyć siekierą - oświadczyła swym najbardziej profesjonalnym tonem. - Chodź z nami na górę, to założę ci świeży opatrunek.

- A kto porąbie za mnie drzewo na opał? O drugiej nad ranem bywa tu całkiem zimno.

- Powinieneś zatrudnić do tego pannę Pell - zasugerowała Becky słodziutkim głosem. - Ona ma wiele wolnego czasu.

Jake spojrzał na nią zdziwiony.

- Z przykrością stwierdzam, że chyba nie lubisz Mavis.

Becky policzyła do dziesięciu. Gdyby nie była boso, kopnęłaby go z pewnością w goleń. Ona miałaby nie lubić Mavis? To naprawdę zbyt delikatnie powiedziane!

- Znowu coś mówisz sama do siebie - roześmiał się Jake.

- Chodź, idziemy do domu. - Faith złapała rękę siostry i próbowała pociągnąć ją za sobą.

- Poczekaj chwileczkę - powiedziała Becky - mam panu Meadowsowi jeszcze coś do powiedzenia.

Faith spróbowała ponownie, ale również bez powodzenia. Odwróciła się przez ramię i powiedziała do Jake'a:

- Wie pan, bardzo mnie pan rozczarował. - W jej głosie było więcej dostojeństwa, niż ktokolwiek mógł się spodziewać po dziewięcioletniej dziewczynce.

-Ja?

- Tak, pan. Chodź już, Becky.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Becky uparła się jednak, by zostać. Faith wzruszyła ramionami i sama ruszyła w drogę.

- No, no, ale mi się dostało! To jakieś nieporozumienie. Wszystko jej później wyjaśnię.

- Nie liczyłabym na to - oznajmiła Becky. - W nagrodę muszę jej upiec szarlotkę! Ona jest po mojej stronie! Ty natomiast masz nie rąbać drzewa tą ręką. A tak a propos, jak się miewa panna Pell?

- Panna Pell nie czuje się zbyt dobrze - odparł Jake. - To było bardzo nieczyste zagranie, Becky.

- Naprawdę? Zrobienie sobie samej śniadania? A może szok, że musi wstać z łóżka, by je zjeść?

- Prawdziwa z ciebie kobieta! Sarkazm i zazdrość, wszystko ładnie opakowane. Ty chyba naprawdę jej nie lubisz!?

- Nie muszę jej lubić - parsknęła Becky. - Jest gościem w moim domu, bo zaprosiła ją moja siostra. Traktuje nasz dom jak hotel. A tak przy okazji, czym panna Pell się zajmuje? Czy gdzieś pracuje?

- Pracuje? Powinnaś wiedzieć, że pan Gideon Pell jest właścicielem ogromnych połaci ziemi w Albany.

- Tak po prostu? Czyli kochany tatusiek opiekuje się swą maleńką córeczką.

- Przestań, Becky! Nie ma jej winy w tym, że urodziła się bogata. Tylko dlatego, że ty pochodzisz z niezamożnej rodziny... ale chwileczkę. Helikopter, jeep, Latimore. Czy twój ojciec to t e n Latimore? Największe w Stanach Zjednoczonych przedsiębiorstwo budowlane?

- Owszem, to ten - przyznała z zaciśniętymi zębami. - Z tą drobną różnicą, że my zawsze musieliśmy pracować. Zawsze. Mój tata zarobił wszystkie swoje pieniądze ciężką pracą, a nie siedząc na...

- Ależ, Becky, uważaj na słowa!

- Co ty tam wiesz, panie Meadows. No to co porabia teraz nasza panna Bogata?

- Jeśli już musisz wiedzieć, to... pomaga mi w pracy nad książką.

- To ona umie pisać na maszynie?

- No nie... ale bardzo się stara.

- Powinieneś zatrudnić maszynistkę z prawdziwego zdarzenia.

Nie wyglądasz na kogoś, kto potrzebuje pałętających się wokół pomocników.

- To najmiłsza rzecz, jaką usłyszałem od ciebie od kilku dni - roześmiał się Jake. - Prawdę mówiąc, jestem już przy ostatnim rozdziale, a panna Pell poszła niedawno na górę odpocząć przed obiadem. Co macie dziś na obiad?

- Kotlety cielece i gotowane ziemniaki. A także groszek.

- Brzmi nieźle. Faith, zdaje się, nie jada groszku?

- Niczego, co jest zielone. Uważa, że w zielonych warzywach są robaki. A ty, co masz dziś na obiad?

- Robaki. Nie jestem zbyt dobrym kucharzem. No to się załatwiła! Tak głupio wpadła we własne sidła. Nie pozostało jej jednak nic innego, jak spytać:

- Może zjadłbyś więc z nami obiad?

- Ty to masz dobre serduszko - powiedział Jake, śmiejąc się głośno. Podszedł do niej tak blisko, że aż bała się oddychać. Chciała się cofnąć, ale nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Jedną ręką objął jej drżące plecy, drugą wpiern muskał włosy, potem dotknął jej podbródka i uniósł go do góry. Jego głębokie, ciemne oczy paraliżowały ją. Nagle przycisnął ją mocniej do siebie i pochylił

głowę, by ją pocałować. Becky, drżąc na całym ciele, zamknęła oczy... ale nic się nie stało.

Uchyliła nieco jedną powiekę. Jake jak gdyby tylko na to czekał. Jego usta ciepłe, słodkie i wilgotne spoczęły na jej ustach. Ledwie ich dotykały, a przecież czuła je aż nazbyt wyraźnie. Poddała się niemal natychmiast. Pragnęła, by to się nigdy nie skończyło. Stała na palcach i przycisnęła się całym ciałem do niego. Chciała więcej, cokolwiek by to było. A wszystko zaczęło się od zwykłego pocałunku. Nagle Jake złapał ją za ramiona i odepchnął lekko od siebie.

Pokręciła głową, a włosy opadły jej na twarz i oczy tworząc kruczoczną maskę.

- Nic z tego - powiedział cicho, odgarniając jej kosmyki z oczu. - Biedna Becky! Tyle lat studiowałaś w niemal całkowitym odizolowaniu od świata, ale to się skończyło. Świat, w którym teraz żyjesz jest jak najbardziej rzeczywisty. Co o tym sądzisz?

Becky pochyliła głowę. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- Co o tym sądzę? Nie wiem, o czym mówisz. - Wyrwała się z jego objęć i ruszyła pędem pod górę, słysząc za sobą cichy śmiech mężczyzny.

Wdrapawszy się na wzgórze zastała Faith i Mavis nad basenem. Wyglądały, jakby jedna miała zamiar utopić drugą w łyżce wody.

- Mogłybyśmy zjeść dziś obiad nieco wcześniej niż zazwyczaj? - spytała Mavis słodziutkim tonem. Becky uznała, że nie ma co przeciągać struny. Bądź co bądź ta kobieta była jej gościem. Skinęła głową.

- Czy odpowiada ci piąta?

- Tak, oczywiście.

Becky wskoczyła na chwilę do basenu, by zmyć z siebie kurz przedpołudnia, po czym udała się do kuchni. Wkrótce dołączyła do niej Faith.

- Postaw dodatkowe nakrycie na stole - poprosiła Becky - pan Meadows zje dziś z nami obiad.

- A to ci dopiero niespodzianka - roześmiała się Faith.

O czwartej trzydzieści Mavis wróciła z basenu. Spojrzała na zegarek i pędem pobiegła do swojego pokoju na górę.

- Czyżby chciała nas uraczyć jakąś wystrzałową kreacją? - spytała Faith scenicznym szeptem.

- Prawdopodobnie - odparła Becky. - Wiesz, w zasadzie mam już wszystko przygotowane. Może pobiegiesz teraz i weźmiesz szybki prysznic? Nie zaszkodziłoby też, gdybyś się przebrała. Wiesz, jaką wagę mama przywiązuje do tych rzeczy.

- No dobrze - westchnęła Faith. - Spójrz lepiej kto się zbliża! - Becky zerknęła przez okno. Jake Meadows wyglądał wręcz zabójczo w ciemnych spodniach, białym smokingu, białej koszuli i muszce.

- No dobra, Faith, pospiesz się - powiedziała, odsuwając się od okna. Jej siostrzyczka uśmiechnęła się szelmowsko i pognęła do pokoju. Jake otworzył kuchenne drzwi i wszedł bez pukania.

- Ładnie tu pachnie - oświadczył - nawet bardzo ładnie.

- Ach, to całkiem proste danie. Nic takiego. - Becky podjęła przekazaną jej przez Jake'a gałązkę oliwną.

- Nie doceniasz siebie. Mogę w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję. Wszystko jest już prawie gotowe. Faith poszła na górę przebrać się. Ja też przeproszę cię na chwilę i zrobię to samo. W jadalni jest barek. Częstuj się, jeśli chcesz.

- Z pewnością to zrobię. Wiesz, bardzo mi się podobała... nasza rozmowa dziś po południu. Musimy to kiedyś powtórzyć.

- Z całą pewnością nie - odparła Becky lodowatym tonem.

- Brr! - Jake objął się ramionami, jakby mu było zimno. - Co za nagła zmiana klimatu. Co się stało?

Becky nie zaszczyciła go nawet odpowiedzią, tylko odwróciła się i wyszła z pomieszczenia. W swoim pokoju usiadła ciężko na łóżku. Nie wiedziała, czy ma śmiać się, czy płakać. Mały zegar na ścianie wybił za kwadrans piątą. Nie miała już czasu na prysznic. Szybko rozebrała się, zmieniła bieliznę i wsunęła przez głowę swoją ulubioną sukienkę w kolorze kości słoniowej. Zerknęła do lustra. Na głowie miała jeden wielki bałagan. Sięgnęła po szczotkę do włosów, ale w tej właśnie chwili z kuchni dobiegł ją dzwonek minutnika.

- O Boże - westchnęła. - Mam do wyboru: wyglądać jak strach na wróble lub przypalić jedzenie. Wygrało jedzenie. Złapała szczotkę do ręki i pognała na dół.

W jadalni Faith zajęta była nakrywaniem do stołu, a w kuchni Jake wyciągał mięso z piekarnika. Wyglądał, jakby czynność ta nie była mu obca.

-Podoba mi się - skomentował, odstawiając na podstawkę ostatni półmisek.

- Co? Mięso?

- Nie. Ty. - Zanim się obejrzała, podszedł do niej i wziął ją za ramiona. - Z przyjemnością bym cię schrupał - oznajmił.

- Trzymaj ręce przy sobie! - parsknęła Becky. - Co ty sobie właściwie wyobrażasz?

- Masz cudownie zmienne poczucie humoru - roześmiał się. - Bardzo to sobie cenię w kobietach. Ale nie posuwaj się za daleko, bo nie będziesz w stanie docenić innych przyjemności w życiu.

- Niby jakich? - spytała Becky i natychmiast tego pożałowała.

- Takich jak to - odparł Jake, przyciągając ją do siebie. Przez chwilę próbowała mu się opierać, ale zaniechała tego, gdy tylko znalazła się w jego ramionach. Jej podświadomość wprawdzie stale wysyłała ostrzeżenia, ale jej ciało nie chciało ich w ogóle słuchać. Objęła ramionami jego szyję i podała mu usta do pocałunku. Zamknęła oczy i pozwoliła ponieść się emocjom. Nawet nie usłyszeli, jak otworzyły się drzwi i stanęła w nich Faith.

- Przepraszam, nie miałam zamiaru wam przeszkadzać - oznajmiła chichocząc i szybko zamknęła drzwi.

Gdy tylko padły pierwsze słowa, Jake usiłował odsunąć Becky od siebie, ale nie bardzo mu się to udało. Jego usta długo jeszcze nie chciały się oderwać od jej ust.

Stali naprzeciw siebie i oddychali ciężko. Włosy opadły Becky na twarz, zasłaniając zdradliwe rumieńce. Dziewczyna, niepewna swych nóg, wzrokiem odszukała najbliższe krzesło i oparła się o nie.

- Panie Meadows - wybuchnęła. - Proszę wreszcie przestać mnie napastować! Jeśli panna Pell nie potrafi zaspokoić pańskich potrzeb, proszę ściągnąć sobie kogoś innego!

- Dlaczego miałbym to robić, skoro mam ciebie? Szybko zerknęła w jego stronę. Wyglądało, jakby mówił poważnie.

- O to właśnie chodzi! Wcale mnie nie masz. Nie jestem niczyją własnością. A już na pewno nie twoją. Teraz zaś, bądź tak miły i idź do jadalni, a ja zajmę się obiadem. Faith będzie pewnie żądała wyjaśnień. Równie dobrze ty możesz się tym zająć.

- Tak jest, proszę pani - powiedział Jake z wymuszoną powagą, uklonił się sztywno i wyszedł z kuchni.

Mrucząc coś pod nosem, Becky wzięła się za odcedzanie warzyw i wykładanie ich na półmiski. Całą złość wyładowała jednak na ziemniakach, trzęsąc nimi i ugniatając je tak, że straciły cały swój kształt i wygląd. Gdy wszystko było wreszcie gotowe do podania, weszła Faith.

- Pojawiła się wreszcie nasza ślicznotka. Pije teraz z Jake'em koktajl - oznajmiła drwiąco.

- Od tej chwili jest to dla nas pan Meadows - upomniała ją Becky i natychmiast tego pożałowała. Nie musiała przecież odgrywać się na Faith.

- Pewnie. Dopiero co widziałam, jaki z niego pan Meadows - odparła dziewczynka nie zrażona. - Kilka minut dłużej i nie wiem, co bym zrobiła.

- Nie bądź taka przemądrzała! - nie potrafiła się opanować Becky. - A co takiego niby chciałaś zrobić?

- Zastanawiałam się, co będzie lepsze - odparła Faith, przysiadając na końcu stołu - wezwać tatę przez radio czy wziąć z góry strzelbę i załatwić sprawę raz na zawsze! - Kończąc ostatnie

zdanie wybuchnęła niepoohamowanym śmiechem i długo nie mogła się uspokoić.

- Widzę, że przynajmniej ty dobrze się bawisz. Dla mnie nie ma w tym nic śmiesznego - oznajmiła sztywno Becky.

- Dobrze widziałam, jak bardzo ci się to nie podobało!

- I na co ten sarkazm? Weź lepiej warzywa i ziemniaki i zanieś je do jadalni. - Faith wreszcie uważnie przyjrzała się swojej siostrze i dostrzegła w jej oczach ból i upokorzenie. Bez słowa złapała za salaterki i wyszła z nimi z kuchni.

Becky ułożyła kotlety na półmisku i przelała do sosjerki sos jabłkowy. Zanim skończyła, zdążyła nieco ochłonać. Gdy weszła do jadalni, wszyscy już na nią czekali.

Atmosfera podczas posiłku była ciężka i napięta, a konwersacja prawie żadna. Na domiar złego, Faith zachowywała się przez cały czas jak małe, rozkapryszone dziecko.

Uroczy obiad. Już dawno się tak dobrze nie bawiłam - oświadczyła Mavis po posiłku, wstając z krzesła, które odsunął jej Jake. - Niestety, idziemy z Jake'em na przyjęcie i musimy was opuścić. Szkoda, tak dobrze nam się rozmawiało! Uważam, że dzieci poniżej piętnastego roku życia powinny jadać osobno.

Absolutnie się z tobą nie zgadzam - prychnęła Becky - trzeba po prostu wykazać odrobinę wyrozumiałości. Nigdy tego nie stosujecie w waszej rodzinie?

- Nie ma takiej potrzeby. Na szczęście jestem jedynaczką - co powiedziawszy, Mavis pomachała im dwoma paluszkami, odwróciła

się na pięcie i wyszła. Jake uśmiechnął się szeroko do sióstr i ruszył za nią.

- To tylko potwierdza wszystko, co powiedziałam Hope - odezwała się Faith, gdy Becky sprzątała ze stołu.

- A co takiego jej powiedziałaś?

- Powiedziałam jej, że Jake, to znaczy pan Meadows, nie nadaje się.

- Nie nadaje się do czego, Faith?

- Nie nadaje się na kandydata na twojego męża - odparła z ciężkim westchnieniem dziewięciolatka.

- Kochanie, nie musisz czekać na mnie, byś mogła wyjść za mąż. Jeśli o mnie chodzi, możesz to zrobić w każdej chwili. Nie uważasz jednak, iż jesteś na to nieco za młoda?

- Nie, wcale tak nie uważam - oświadczyło dziecko.

- I nie zmieniaj tematu. Wszyscy, z którymi rozmawiałam, mówili, że jesteś na najlepszej drodze, by zostać starą panną. Ale powiedziałam Jake'owi... panu Meadowsowi... że nic z tego nie będzie, bo ty wolisz zostać starą panną, niż poślubić takiego faceta jak on!

- Co takiego?

- Tak, powiedziałam mu to następnego dnia po tym, jak wrzucił cię do basenu. Rozzłościł mnie, bo nie wolno mu było tego robić.

- Ty... ty naprawdę naopowiadałaś mu o mnie takich rzeczy?

- Pewnie. Powiedziałam mu, że go nie potrzebujemy, bo masz całe mnóstwo chłopaków, a poza tym i tak nie chcesz wychodzić za mąż. A co w tym złego?

Tego było już naprawdę za wiele! Becky opadła z jękiem na krzesło, odsunęła talerze i oparła czoło o krawędź stołu.

- Becky? Czy powiedziałam coś nie tak?

- Nie, nie. Nic nie szkodzi. - Uniosła głowę i garstką otarła kilka łez. - Nic takiego się nie stało, maleńka. Chodź, sprzątniemy szybko te talerze, a zobaczysz, że humory od razu nam się poprawią.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Becky zajęta była właśnie rozwałkowywaniem ciasta, gdy usłyszała jego kroki przed domem. Zapukał do kuchennych drzwi i nie wszedł, zanim nie poprosiła go do środka. Wyglądał na niezdecydowanego, tak jakby nie był pewien, jak zostanie przyjęty.

- Cóż my tutaj widzimy - powiedział na powitanie. - Zeszłego wieczora bardzo mi smakowało twoje ciasto.

Becky zerknęła w jego stronę i czym prędzej powróciła do swoich zajęć.

-Twoja... koleżanka... nie zaszczyciła nas dziś swoją obecnością. Powiedziała coś na temat bólu głowy, zażyła cztery aspiryny i powróciła do łóżka.

- Wcale jej się nie dziwię - odparł współczująco Jake. - To była okropna noc. Zrobiliśmy kawał drogi, aż do Pittsfield, ale zanim tam dotarliśmy wszystko było już pozamykane.

- Czego... czego chcesz? - szepnęła Becky.

- Tak naprawdę, to nie wiem. Może tego? - Pochylił się i pocałował ją w sam czubek nosa.

Becky była mile zaskoczona jego delikatnością. Stał jednak stanowczo zbyt blisko.

- Pobrudzisz się mąką - ostrzegła go, sięgając po pierwszy z brzegu pretekst. Nie przejął się tym specjalnie. W tej samej chwili oboje usłyszeli odgłos kroków na schodach. Widziała, jak rozbłyśły mu oczy. Zanim zdążyła go spytać, o co tutaj chodzi, Jake szybko

przytulił ją do siebie i złożył na jej ustach ciepły, wilgotny pocałunek. Becky protestowała tylko przez chwilę, po czym zaniechała wszelkiego oporu, poddając się żarowi ogarniających ją emocji. W gruncie rzeczy wcale nie chciała z nim walczyć. Jej ręce drżały i nie wiedziała, co z nimi zrobić. Wreszcie, po krótkim wahaniu, położyła je na jego karku, pozostawiając mu ślady mąki we włosach. Zajęci sobą nie zauważyli, jak otworzyły się drzwi i stanęła w nich Mavis Pell.

- Co tu się, do diabła, dzieje?! - krzyknęła ze złością i niemal podbiegła do zajętej sobą pary. Zarówno Becky, jak i Jake nie zwracali na nią uwagi. Mavis z całej siły potrząsnęła Jake'a za rękę. Dopiero wtedy dotarło do nich, że nie są sami. Oderwali się od siebie, z trudem łapiąc oddech. - Co się tu, do diabła, dzieje? - powtórzyła Mavis.

- To chyba widać - odparł Jake. Becky zauważyła z zadowoleniem, że nie tylko ona z trudem dochodzi do siebie. W głosie Jake'a słyszeć było lekkie drżenie, a na czole wystąpiły kropelki potu. - Przecież widzisz, że całuję kucharkę. To znaczy całowałem, póki ty się nie pojawiłaś. Czy nikt ci nigdy nie powiedział, że nie masz zupełnie wyczucia czasu?

Mavis zagryzła wargę i postanowiła spuścić nieco z tonu.

- Lubisz, skarbie, skosztować wszystkiego po trochu, co? Chcesz, bym wyszła i kaszlnęła, zanim znów wejdem?

„Całuję kucharkę?” Słowa te wstrząsnęły Becky do głębi i boleśnie ją zraniły.

- To nie będzie potrzebne - oznajmiła chłodno.

- Jeśli to jedna z tych modnych gier, to dziękuję, nie wezmę w niej udziału. Nie lubię tłoku.

- To nie była żadna gra - powiedział Jake miękko.

- Wpadłaś po uszy, moja droga - oznajmiła Mavis równocześnie.

- Być może oboje macie rację - rzuciła bezbarwnym głosem Becky. - Ale teraz byłabym wdzięczna, gdybyście oboje opuścili moją kuchnię. I to im prędzej, tym lepiej!

- Jasno i wyraźnie powiedziane - stwierdziła Mavis, kładąc dłoń na ramieniu Jake'a. - Chodź, idziemy.

Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść. Tak to się chyba mówi?

Jake niecierpliwym gestem strząsnął jej rękę.

- Nigdzie nie idę. Przyszedłem pomóc, bo najwyraźniej nikt inny się do tego nie pali. Becky, w czym mogę pomóc?

- W niczym. Wszystko już zostało zrobione... a poza tym... - Ścisnęła dłonie w pięści i zaczęła nimi walić w jego klatkę piersiową.

- Powiedziałam ci przecież... - krzyczała - powiedziałam ci przecież wtedy, na łódce, że nie będę...

- Pójdę chyba na patio - wtrąciła się Mavis.

- Tam z pewnością będzie dużo chłodniej. - Becky zastygła z pięściami w górze i z otwartymi ustami przyglądała się drugiej kobiecie, która zmierzała w kierunku basenu.

- Co takiego powiedziałaś mi na łodzi? - spytał Jake, ujmując jej zaciśnięte piąstki w swoje dłonie i ściskając je aż do bólu.

- Powiedziałam ci, że nie będę odgrywała roli przynęty. Nie będę! Słyszysz, co mówię? Nie będę!

- Becky, to nie była zabawa - powiedział Jake spokojnie.

Delikatnie opuścił jej dłonie w dół i puścił je. Tak bardzo chciałaby mu wierzyć!

Stał oparty o lodówkę, obserwując wewnętrzną walkę, jaką ze sobą toczyła. Ponownie zaoferował gałązkę oliwną.

- Mogę ci pomóc w przygotowaniu kolacji?

-Ja... nie... Będzie dziś pizza. Muszę ją tylko włożyć do piekarnika.

- Uwielbiam pizzę. Szczególnie taką domowej roboty.

Becky z wdzięcznością skorzystała z nadarzającej się okazji.

- Zostaniesz... zostaniesz na kolacji?

- Pewnie, skoro mnie zapraszasz. - Roześmiał się Jake, ruszając w jej stronę.

Becky drgnęła i cofnęła się dwa kroki do tyłu.

- Dobrze - powiedział cicho Jake. - Pójdę teraz na patio, ale nie zapominaj, że po kolacji mamy ze sobą do pogadania.

Z ubrudzonymi mąką rękami, wetkniętymi w kieszenie fartuszka, patrzyła za nim, gdy wychodził z kuchni tylnymi drzwiami. Zastanawiała się, co takiego mógł mieć na myśli, ale żadna rozsądna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy.

Po kolacji, gdy przyszedł do kuchni, by zaoferować pomoc w sprzątaniu, wygoniła go argumentując, że ma już Faith do pomocy a on dużo bardziej się przyda do zabawiania Mavis.

Uśluhał, ale w kącikach jego ust błąkał się mały uśmieszek, który jeszcze bardziej rozstroił Becky.

-Ja pozmywam - zwróciła się do siostry - a ty poustawiaj talerze na suszarce.

- Wiesz przecież, co powiedziała by na to mama - odparła Faith, sięgając po suchą ściereczkę. - Popatrz, on poczyną sobie całkiem śmiało. Jak sądzisz, czy lubi dzieci?

Becky przerwała na chwilę robotę, by wyrzeć przez okno. Jake popisywał się właśnie skokami do wody z małej trampoliny. Był w tym naprawdę dobry. Mavis, rozparta jak królowa na łóżku ogrodowym, przyglądała się mu z podziwem.

- Tak, ładna z nich para - stwierdziła Becky, ale ton wypowiedzi zadawał kłam jej słowom. Faith uważnie przyjrzała się siostrze. Uśmiechnęła się.

-A ty się z czego śmiejesz? - spytała Becky, powracając do swoich talerzy. Z doświadczenia wiedziała, iż dziewczynka powstrzymała się właśnie od komentarza. - A więc?

Uśmiešek przerodził się w głośny chichot.

- Czy wiesz, Becky, że zrobił się z ciebie straszny ponurak? Gdzie się podziało twoje poczucie humoru?

- Co ty powiesz, moja panno? Praca lekarza pochłania bardzo wiele czasu. Lekarz musi się stale doksztalać. Nie ma czasu na wygłupy.

- Skoro jesteś taka mądra, to dlaczego po raz trzeci myjesz ten sam talerz? Wiesz, że on cię lubi?

Becky omal nie upuściła talerza, gdy gwałtownie odwróciła się, by pokryć zmieszanie.

- Bardzo w to wątpię. Ale co ty na ten temat możesz wiedzieć?

- Jak to co? - spytała wesoło Faith. - Przecież to widać. Zresztą ty też go lubisz!

- Oczywiście, że go lubię - odparła Becky z przekąsem. - A już najbardziej upieczonego na rożnie i ułożonego na wielkim półmisku z jabłkiem w ryjku. - Dziewczęta roześmiały się, po czym szybko dokończyły sprzątanie kuchni i, trzymając się za ręce, wyszły tylnymi drzwiami na dwór.

- Spójrz - szepnęła Faith. - Jej jedynym celem w życiu jest leżeć i błyszczeć.

- Tak to już jest - uśmiechnęła się Becky. - Jeśli już nie dane ci jest być kobietą pracującą, to zrób wszystko, by być kobietą podziwianą.

Roześmiane weszły na patio i skierowały się w stronę trzech leżaków, dość znacznie oddalonych od miejsca, w którym przebywali Mavis i Jake. Faith opadła na jeden z nich, wydając z siebie głębokie westchnienie.

Ledwie zdążyły usiąść, Jake wstał ze swego fotela i ruszył w ich kierunku.

Becky z mieszaniną grozy i podziwu przyglądała się jego niczym nie osłoniętym plecom, klatce piersiowej i udom, które pokrywała gęsta siatka blizn. Nie mogła przy tym nie zauważyć, jak świetnie jest zbudowany. Pomyślała, że stanowiliby razem piękną parę. Natychmiast stanął jej przed oczami ich ostatni, namiętny pocałunek.

Jake usiadł na fotelu obok i wyciągnął do niej rękę. Becky zamarła, a serce zaczęło jej bić w szalonym tempie. Wiedziała, że dzieje się coś dziwnego. Czyżby to właśnie była miłość?

Pozostawiona sama sobie Mavis nie mogła zdecydować się, co robić. Wszystkie trzy leżaki po drugiej stronie basenu były zajęte. Jednakże działo się tam coś, czego zupełnie nie mogła pojąć. Czyżby Jake Meadows nagle zaczął jej unikać? Szósty zmysł podpowiadał jej, że trzeba to natychmiast sprawdzić. Wstała, dokładnie wygładziła zmiętą nieco spódniczkę i wolno ruszyła w stronę pozostałych.

- Co za sielski obrazek! - W jej zazwyczaj opanowanym, wymodulowanym głosie przebijały nutki hysterii.

-Klasa robotnicza odpoczywa - odparła Becky leniwie. Zmierzchało i panujący już lekki półmrok skrywał ślady zadowolenia w kącikach jej ust.

Mavis, stanąwszy tuż przed fotelem Jake'a, przyjęła starannie wystudiowaną pozę. Oparła rękę na biodrze, przerzucając ciężar ciała na jedną nogę i wypinając piersi do przodu. Ćwiczyła to przed lustrem wystarczająco często, by być pewną powodzenia. Tymczasem Jake nawet na nią nie spojrzał. Zacisnęła zęby.

Becky przyglądała się Mavis spod oka, obserwując jak wiatr igra z suknią dziewczyny, uwydatniając jej ponętne kształty. Popatrzyła na swoje sprane, wytarte dzinsy i jęknęła w duchu. Nawet Faith miała dość rozsądku, by ubrać się w ładną sukienkę. Okruchy myśli szalały w jej głowie niczym ogień. Jego ręka, sukienka Mavis, jej własne sprane spodnie, uśmiech na jego twarzy... Nawet w zapadającym zmroku mogła dostrzec ten uśmiech. Ręka!

Użyła obu rąk, by obrócić jego dłoń wewnętrzną stroną do góry. Cienka blizna wciąż jeszcze odróżniała się czerwienią od reszty ciała. Coraz trudniej było coś dostrzec. Uniosła jego dłoń jeszcze wyżej. Jake zaśmiał się i przysunął się do niej. Jego dłoń, wnętrzem do góry, była już tak blisko jej oczu, że nie sposób było cokolwiek zobaczyć. Becky pochyliła się i pocałowała czerwony pasek skóry, a potem przytuliła jego dłoń do policzka.

Mavis aż się zachłysnęła. Powiedziała coś, ale Becky nic z tego nie zrozumiała. Wtulała policzek w dłoń mężczyzny, rozkoszując się emanującym z niej ciepłem.

Mavis znów coś powiedziała, ale widząc, że nikt nie zwraca na nią uwagi, ruszyła pędem w stronę domu. Dwie minuty później w oknach jej sypialni rozbłysło światło.

- Chce mi się spać - oznajmiła Faith cichutko, obserwując ze swego miejsca wschodzącą twarz księżyca. Przez dłuższą chwilę panowała niezmacona cisza. - Pójdę chyba na górę. Jeszcze chwila, a komary zjedzą nas żywcem. Idziesz, Rebecca?

Becky nie odpowiedziała. Z przytuloną do policzka dłonią Jake'a trwała w magicznym półśnie, marząc o śmiechu i miłości, dzieciach, domu i wszelkich możliwych cudach, jakie tylko mogą się przytrafić kobiecie i mężczyźnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Słońce zaglądało przez okno i pozdrawiało budzącą się ze snu Becky. Dziewczyna siadła na łóżku radosna jak skowronek. Czowała się niezmiernie szczęśliwa.

Wzięła letni prysznic, a następnie włożyła szybko najlepsze spodnie i jedwabną koszulkę. Z pantoflami w dłoni, cała radosna, zbiegła ze schodów i weszła do kuchni. Przy kuchennym stole siedziała Mavis Pell.

- Dzień dobry - powitała ją Becky i podeszła do okna, by odsunąć zasłony. - Spójrz, co za pogoda! Ani jednej chmurki!

- No to co? Taka sama pogoda była wczoraj i przedwczoraj.

- Skoro tak mówisz, pewnie masz rację - odparła Becky, sięgając po dzbanek do kawy. Nie była w nastroju do kłótni. - Widzę, że wcześniej dzisiaj wstałaś...

- Dobrze zauważyłaś - odpowiedziała Mavis z odcieniem goryczy w głosie. - Jest szansa na szybką kawę?

- Wątpię. Parzenie jej zajmie jakieś dwadzieścia minut. Chyba że chcesz kawę rozpuszczalną?

- Mój Boże, oczywiście, że tak. Cokolwiek, byle szybko.

W czasie przygotowywania kawy Becky zastanawiała się, co Mavis robi w kuchni o tak wczesnej porze? Czyżby ona i Jake znów się pokłócili? Wiedziała, że spotkali się tej nocy. Słyszała, jak Mavis koło północy wymknęła się z domu i zeszła na dół do chaty Jake'a. Czyżby...? Ofuknęła się w duchu za takie myśli. Raptem jeden

pocałunek, trochę trzymania się za ręce, a ona gotowa jest robić sobie jakieś nadzieje.

Musiałyby być jednak ślepa, by nie zauważyć zmiany, jaka zaszła w jej gościu. Przede wszystkim w ubraniu. Jedną z wielu eleganckich sukienek zastąpiły tym razem krótkie spodenki i zgniłozielona koszulka. Widząc to, Becky była więcej niż pewna, że Mavis i Jake spotkali się ostatniej nocy. Postanowiła dowiedzieć się czegoś więcej.

- Wychodzisz gdzieś dzisiaj? - spytała.

Mavis objęła kubek z kawą dłońmi, tak jakby musiała je rozgrzać. Jej twarz wyrażała mieszane uczucia.

- Tak - mruknęła. - Wybieramy się na jagody. Możesz to sobie wyobrazić? Ja, Mavis Pell, wstaję skoro świt, by iść z facetem na jagody? Już samo to zasługuje na wzmiankę w lokalnej prasie Albany!

Becky nie przestawała pracować. Coraz lepiej sobie radziła z ukrywaniem bólu i rozżalenia. A więc potwierdziły się jej przypuszczenia. Może nawet spędzili z sobą noc? Co najmniej pogodzili się, a ona po raz kolejny wyszła na durnia. Jake, trzeba przyznać, nie miał sobie równych. Wpierw czarował ją trzymaniem za rączki i pocałunkami, po czym raz dwa powrócił w gościnne ramiona panienci z towarzystwa.

- Kochasz go? - Padło zaskakujące pytanie. Becky stanęła jak wryta pośrodku kuchni z patelnią w ręku.

- Co, słucham? Kogo?

- Wiesz o kim mówię. Jake'a. Becky z trudem przełknęła ślinę.

- Ja miałabym go kochać? Skąd ci to przyszło do głowy? Nie znoszę tego faceta. Nie mogę pojąć, jakim cudem jego książki mają powodzenie. Zawsze mi się wydawało, że książka jest w pewnym sensie odzwierciedleniem autora.

- Jego książki mają powodzenie nawet całkiem niezłe - zachichotała Mavis i pociągnęła kolejny łyk kawy - tyle że wśród dość wąskiego kręgu czytelników.

- Wiedziałam! - parsknęła Becky, zajęta wkładaniem kromek chleba do opiekacza. - Masz na myśli pornografię!

- To najtrafniejsze określenie, jakie dotąd słyszałam - roześmiała się Mavis. - Pornografia! No cóż, faktycznie, nie brak tam nagich ciał. Kiedyś próbowałam nawet przeczytać jedną z jego książek, ale z trudem dobrnęłam do dziesiątej strony. Ci jednak, którzy przeczytali je do końca, uważają, iż są świetne!

- On też tak uważa - mruknęła Becky.

- Słuchaj, ty chyba naprawdę go nie lubisz. - Świadomość tego faktu najwyraźniej przywróciła Mavis dobry humor. - Wiesz, ubiegłej nocy, wydawało mi się... no wiesz... to całe trzymanie się za rączki... - urwała w pół zdania, gdyż Becky wydała z siebie jakiś dziwny dźwięk.

-Jego ręka - wykrztusiła - niedawno musiałam się zająć jego ręką, a teraz tylko sprawdzałam, jak się goi rana.

- Ach, wciąż zapominam, że przecież jesteś lekarzem. Zupełnie nie wyglądasz na lekarza.

Zanim Becky zdążyła odpowiedzieć, do kuchni wpadła Faith.

- Robisz może śniadanie, Becky? - spytała rozespana i usiadła przy stole.

- A na co masz chęć?

- Na naleśniki z syropem klonowym.

- Nie wiem, czy mam wszystkie potrzebne składniki - odparła Becky, zastanawiając się, czy starczy jej mąki. Ostatnio zużyła sporo do pieczenia ciasta. Zerknęła do szafki kuchennej i ujrzała, że zarówno mąka, jak i duża butelka syropu klonowego stoją na najwyższej półce. Próbowała sięgnąć po nie, ale nie dała rady. Podskoczyła, ale i tym razem się nie udało. Nagle ktoś objął ją w talii i ostrożnie odsunął na bok.

- Co znowu... - zaprotestowała.

- Paczka mąki i butelka syropu - oznajmił nonszalancko Jake Meadows, zdejmując produkty z półki i stawiając je na stół. Becky nerwowo otarła dłonie w poły fartucha.

- Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj - stwierdziła Becky.

Wzięła mąkę i podeszła z nią do kuchenki.

- Ładny dziś dzień - oznajmił Jake wszem i wobec.

- Mavis, jesteś gotowa na naszą wycieczkę?

- Oczywiście - odparła dziewczyna. - Po co właściwie idziemy na te jagody i co, do diabła, zrobimy z nimi potem? Zakładając oczywiście, że je znajdziemy.

- Ależ są, są. Ten bagnisty teren na południowym krańcu jeziora zazwyczaj obfituje w jagody.

- Są również przy Elder Creek - wtrąciła Becky.

- No dobrze. Przyniesiemy kosze pełne jagód i co wtedy - denerwowała się Mavis, bezskutecznie starając się wybić Jake'owi ten pomysł z głowy.

- Jeśli chcecie, mogę wam potem upiec placek z jagodami - zaproponowała Becky. - Teraz powinnam jechać do miasteczka. Kończą się zapasy żywności.

- Sama widzisz, Mavis. To rozprasza chyba wszystkie twoje wątpliwości? No to jak? Ruszamy? A może ty, Faith, wybrałabyś się z nami?

Twarz dziewczynki zachmurzyła się. Zerknęła w stronę siostry, dając jej oczami do zrozumienia, że nie ma na to ochoty. Becky natychmiast przyszła jej z pomocą.

- Faith nie powinna chyba...

- A gdybym ci zaproponował, byś do nas również dołączyła?

- Nic z tego - oświadczyła Becky. - Mam całą masę roboty. Poza tym mówiłam już, że wybieram się do Stockbridge po zakupy.

- Po prostu tchórzysz - naigrawał się z niej Jake.

- Spójrz co za dzień! Słońce, dobre towarzystwo. Czy Faith może pójść z nami?

- Nie. Lepiej nie. Chcę wziąć ją z sobą. To długa i nieprzyjemna droga.

Becky zeszła wraz z Faith do przystani, by pożegnać uczestników wyprawy. Mavis pobierała właśnie pierwszą lekcję obsługi łodzi. Z nieszczęśliwą miną przystąpiła do wylewania wody z dna łódki.

Dzień zapowiadał się wspaniale, bez jednej chmurki na niebie. Para ptaszków towarzyszyła jeepowi dziewcząt, gdy z trudem pokonywały wąską ścieżkę, która szumnie mieniła się drogą. Po krótkim wypoczynku ruszyły w dalszą drogę, gawędząc wesoło.

Wkrótce jednak wyboista droga uniemożliwiła dalszą konwersację. Po dojechaniu do Killdevil Gorge, jedyne przesmyku we wzgórzach Berkshire, którym Tiquonet River może się przecisnąć w dół, aż do stanu Nowy Jork, Becky nagle zjechała z drogi i zatrzymała samochód w cieniu sosen. Na twarzy jej malowało się zdumienie.

- Co się stało? - spytała Faith, odpinając pasy, po czym wysiadła z samochodu, by rozprostować nogi. Była wykończona. Trasa do wąwozu, w którym teraz się znajdowały, okazała się bardziej wyczerpująca, niż przypuszczały.

- Spójrz na drogę - powiedziała Becky cicho. Większą część przesmyku między skałami zajmowała rzeka. To, co pozostało z boku, było wąską ścieżką, mogącą z trudem pomieścić jeden samochód.

- Co się stało? Czyżby rzeka wezbrała?

- Nie bądź niemądra. Od prawie trzech miesięcy nie spadła w tym regionie ani kropla deszczu. Można chyba nawet mówić o suszy. Nie, to nie rzeka wezbrała. Myślę, że to ścieżka się obsuwa. Podejdz tu do mnie, tylko ostrożnie - Becky i Faith podeszły powoli do skraju drogi, gdzie szczególnie szybko przetaczały się spienione fale rzeki. - Złap mnie za rękę, Faith, tylko na litość boską, nie puść!

Dziewczynka zapała się z całej siły obcasami butów i uważnie obserwowała, jak jej starsza siostra ostrożnie zbliża się nad skraj

urwiska. Nagle ziemia zaczęła obsuwać się spod nóg Becky.

Dziewczyna gwałtownie odskoczyła do tyłu.

- A więc tak to wygląda! Chodź, nie mamy ani chwili do stracenia. Potrzebujemy tej żywności. - Wskoczyły do jeepa, po czym Becky poprowadziła pojazd tak blisko skały, aż było słychać szorowanie zderzaków o kamień. Na ostatnim odcinku gwałtownie dodała gazu, opuszczając pośpiesznie niebezpieczny obszar. Teraz, na otwartej przestrzeni Lebanon Valley nie groziło im już żadne niebezpieczeństwo.

- Becky, spójrz, tam, w górze! - jęknęła Faith i wskazała ręką na jedną ze stromych ścian skalnych. Jakieś trzydzieści metrów nad nimi szczególnie ostry odłamek skalny drgał w rytm pracy silnika samochodu. W tym samym czasie oderwało się od skały kilka innych, drobnych odłamków i poszybowało w dół, prosto na dróżkę, którą przed chwilą jechały.

- W porządku - oznajmiła Becky. - Ruszamy, ale nie do miasta tylko do najbliższego sklepu przy szosie.

Była prawie jedenasta, gdy łódź ze zmęczonymi zbieraczami jagód zbliżała się do brzegu. O sukcesie wyprawy świadczyły wypełnione leśnymi owocami łubianki. Mimo to zbieracze, a szczególnie jedno z nich, nie sprawiali wrażenia zadowolonych.

- Nie możesz się trochę pośpieszyć? - po raz nie wiadomo który wycodziła Mavis przez zęby.

- Nic z tego. Mój lekarz mi na to nie pozwala. Jeśli chodzi o wiosłowanie, to nie zna się na żartach.

- Nie przyjechałam taki kawał drogi, by wysłuchiwać zaleceń jakiejś prowincjonalnej lekarki.

- Popatrz - powiedział Jake, uciszając ją gestem dłoni - dziewczyny już wróciły, ale zdaje się, że coś jest nie tak. Przygotuj linę, za chwilę przybijamy.

Na pomoście panowała głucha cisza. Faith podeszła do łodzi i odebrała od Mavis linę cumowniczą. Bez słowa pokazała wysiadającemu z łodzi Jake'owi zaparkowanego na samym skraju ścieżki jeepa, w którym siedziała Becky. Jake szybkim krokiem ruszył w stronę pojazdu. Chwilę później widać było, jak oboje pochylają się nad rozpostartą na masce wozu mapą.

- Co się stało? - próbowała się dowiedzieć Mavis, ale Faith tylko pokręciła głową i pomogła jej wyjść z łodzi, którą następnie starannie przywiązała do kołka na nabrzeżu. Dopiero wtedy obie pospieszyły w kierunku samochodu.

- Nie wiem, dlaczego tak się dzieje. Cały front olbrzymiej ściany skalnej obsuwa się... co też mówię... obsunął się. Ledwie zdążyliśmy stamtąd odjechać, gdy wszystko się zawaliło - powiedziała Becky.

- Widziałaś to?

- Oczywiście. Trudno było nie zauważyć. Droga w wąwozie zasypana jest na wysokość kilkunastu metrów. Również co najmniej połowa szerokości rzeki jest zasypana.

- To może oznaczać - powiedział Jake wolno, zbierając myśli - że przez kilka dni będziemy odcięci od świata. Możemy jednak wezwać helikopter, na przykład ten, który przyleciał po twoją mamę.

- Owszem - odparła Becky ponuro - ale ten akurat poleciał do New Jersey, by nadzorować przebieg robót przy Garden State Parkway.

- To chyba nie jedyny helikopter w całym stanie Massachusetts - prychnęła Mavis. - Chcę się stąd wydostać!

- Życzę powodzenia - powiedziała Faith.

- Chwileczkę, słuchajcie - wtrącił się Jake. - Jest nam tutaj całkiem dobrze, a więc po co, do diabła, potrzebny nam w ogóle helikopter?

- Już ci to wyjaśniam - odezwała się Mavis. - Jeśli sądzisz, że takie jest moje wyobrażenie o mile spędzonym czasie, to zapewniam cię, że się mylisz. - Ostatnie słowa prawie wykrzyczała.

Becky i Faith szybko wymieniły spojrzenia i jak na komendę ruszyły w stronę mola, by zejść Mavis z drogi. Wojna na słowa towarzyszyła im jednak również tam, gdyż kłócąca się para natychmiast podążyła za nimi.

- To wszystko zresztą przez ciebie! - zaatakowała nagle Mavis Becky. - Przez ciebie i tę twoją głupią siostrę! - Becky aż podskoczyła. Nigdy nie tolerowała jakiegokolwiek krytyki swojej rodziny.

- Zostaw moją siostrę w spokoju - zażądała. - Jeśli chcesz się na kimś wyżyć, weź mnie, a nie wyladowuj się na młodszych!

- Dosyć tego! - wrzasnęła Mavis. - Gdzie jest to cholerne radio? Chcę natychmiast wezwać helikopter i wynieść się wreszcie z tej zapadłej dziury!

- Służę uprzejmie - oznajmiła Becky - ale nie spodziewaj się z naszej strony pomocy. Wiesz co, Mavis? Dopiero teraz widać, jaka jesteś wredna i niewiele warta!

Na to, co nastąpiło potem, nikt nie był przygotowany, a najmniej sama Becky. Z dzikim wrzaskiem i furią w oczach, Mavis rzuciła się na swoją rozmówczynię i z całej siły ją popchnęła.

Becky zatrzepotała rękami i z głośnym pluskiem wpadła do wody. Szybko wypłynęła na powierzchnię. Niespodziewanie dostrzegła zabawną stronę całego wydarzenia. Bądź co bądź miała za sobą sześciogodzinną, męczącą jazdę po zakurzonej drodze i potrzebowała kąpieli, a woda w jeziorze była ciepła.

Spokojnie już przewróciła się na plecy i kilkoma silnymi ruchami rąk oddaliła się od brzegu. Następnie zanurkowała.

Tylko dlatego, że była pod wodą, nie usłyszała wrzasku i ogromnego plusku, gdy chwilę po niej Mavis lądowała w jeziorze. Wynurzywszy się Becky zobaczyła tylko rozpryskującą się wodę i Faith, która aż zacierała ręce z zadowolenia. Jake, jak gdyby nigdy nic, gwizdząc przyglądał się latającym nad jeziorem ptakom.

Becky, nie chcąc ryzykować ponownego starcia z Mavis, błyskawicznie podплыnęła pięknym crawl'em do umocowanej na pomoście drabinki i zaczęła wychodzić z wody.

Gdzieś z tyłu słyszała drącą się wniebogłosy Mavis.

- Nie umiem pływać! Wyciągnijcie mnie stąd! Pomocy!

- Czemu po prostu nie wstaniesz? - poradziła jej Faith. - Przecież w tym miejscu woda nie ma nawet metra!

Jedyną odpowiedzią było parskanie i kilka wymamrotanych pod nosem niecenzuralnych słów. Wkrótce znad ostatniego szczebla drabinki wyłoniła się Mavis i ciężko dysząc opadła na deski pomostu. Dopiero teraz Jake, jakby wyrwany z letargu, podszedł do niej i pomógł jej wstać.

-Ty... ty mała wiedźmo! - zawyła Mavis, łypiąc wściekle okiem w stronę Faith. Zniknęło gdzieś dobre wychowanie i pańskie maniere.

- Ta mała diablica wrzuciła mnie do wody!

- Zrobiła dokładnie to, co ty zrobiłaś ze mną - odpowiedziała spokojnie Becky, wręczając Mavis jej torbę. - Masz, to chyba twoje.

Bez słowa podziękowania Mavis złapała swoją torbę i ruszyła w stronę Meadowsa.

- Chcę się stąd natychmiast wydostać! Słyszysz? -W jej głosie pobrzmiwały nutki hysterii. Becky, zdjeta nagle wyrzutami sumienia, sięgnęła do jeepa po koc i zarzuciła go na ramiona wciąż drżącej się kobiety. Następnie delikatnie poprowadziła ją w stronę plaży.

Przemoczona do suchej nitki Mavis opadła na kolana i łkając powtarzała w kółko: - Nie chcę iść z tobą, z nikim z was... wy... wy... mordercy!

Becky wzruszyła ramionami i patrząc na Jake'a, pokazała mu głową ścieżkę wiodącą do domu. Jake szybko pojął w czym rzecz. Owinął Mavis mocniej kocem, zarzucił ją sobie niczym worek na plecy, po czym wolno ruszył pod górę.

Nim dotarli na miejsce, Becky czekała już na nich w otwartych drzwiach domu. Zdążyła nawet uruchomić radio.

- Wezwij natychmiast helikopter! - zawołała Mavis piskliwym głosem.

- Musimy poczekać, aż nagrzej się radio - odpowiedziała cicho Becky. Doświadczenie podpowiadało jej, że Mavis znajduje się na krawędzi hysterii. Nagle radio zaczęło wydawać z siebie różne trzaski i dźwięki. Wreszcie odezwał się przerywany sygnał, którym Korporacja Latimore'a oznakowywała swój zakres fal. Becky wzięła głęboki oddech i ustawiła przełącznik w pozycji „mówić”.

- Tu Latimore. Wzywam stację kontrolną Latimore. Odbiór. - Odpowiedziała jej cisza. Raz jeszcze powtórzyła wezwanie. Tym razem odpowiedział jej zachrypnięty głos, z trudem przebijający się przez zakłócenia atmosferyczne.

- Tu stacja kontrolna Latimore. Proszę powtórzyć, kto wzywa?

-Tu Becky... Becky Latimore! - odpowiedziała natychmiast.

- Becky Latimore? - powtórzył spokojnie i bez emocji głos rozmówcy. - Pani ojca tu nie ma. - Nastąpiła krótka cisza na łączach, aż znowu odezwał się ten sam głos, tym razem dużo cieplej. - Ale pan Riley chciałby z panią rozmawiać.

Becky westchnęła z ulgą i opadła na najbliższe krzesło. Riley był jej równie drogi jak ojciec. To on zajmował się nią zawsze, gdy ojciec musiał gdzieś wyjechać. Działo się tak od chwili, gdy oboje, stojąc na schodach urzędu stanu cywilnego w Eastboro, obserwowali, jak mama i ojciec wyruszają w swą podróż poślubną.

- Becky? - Usłyszała zachrypnięty, obarczony piętnem lat głos. - Gdzie jesteś, dziewczyno?

- Wujku Charlie, jestem... a raczej jesteśmy nad Lake Mohawk.

- Nad Lake Mohawk? Słyszałem, że w tamtej okolicy coś się dzieje. Przeklęty komputer, diabła wart... Becky... poczekaj - najwyraźniej odwrócił się od mikrofonu i spytał kogoś obok - gdzie do diabła jest ta mapa? - Znow cisza aż wreszcie kolejne pytanie. - Becky, ile tam jest osób?

- Ja i Faith oraz jeszcze dwie inne osoby. Wujku Charlie, my...

- Becky! Masz tam jakiś pojazd? Wynoście się stamtąd jak najszybciej!

- Nie możemy! - krzyczała prawie w mikrofon Becky. - W każdym razie nie drogą lądową. Na wysokości Killdevil Gorge obsunęła się ściana skalna i droga jest zablokowana. Nie mógłbyś przysłać nam helikoptera?

Nastąpiła chwila ciszy, przerywana tylko trzaskami radia.

- Powiedziałaś, że nie możecie się wydostać samochodem?
Odbiór.

- Potwierdzam. Wąwóz jest zasypany po zejściu kamiennej lawiny. Nie sposób się tamtędy przedostać nawet pieszo. Czy będą jakieś problemy z wysłaniem helikoptera?

W odpowiedzi usłyszeli pełen bólu głos Riley'a.

- Rzecz w tym, moje dziecko, że na zachód od was płoną lasy. Pożar jest niezwykle silny i szybko przemieszcza się w waszą stronę. Ogień i dym praktycznie uniemożliwiają jakąkolwiek orientację w terenie. Cały nasz sprzęt latający oddaliśmy do dyspozycji powołanego przez gubernatora sztabu kryzysowego. Pozostał nam jeden stary helikopter, który poza pilotem może przyjąć na pokład tylko jedną osobę.

Becky zamarła i błędnym wzrokiem spojrzała na otaczającą ją grupkę osób. Wszystkie twarze, z wyjątkiem twarzy Jake'a, zdradzały napięcie. Prawie niedostrzegalnie kiwnął w jej kierunku głową. Nagły podmuch wiatru uderzył w ścianę budynku. Becky ponownie uniosła do ust mikrofon.

- Wujku Charlie? Przyślijcie go, proszę. Zbliża się wichura. Zabierze tyle osób ile może, a reszta będzie musiała sobie radzić sama.

- Zrozumiałem. Przyślemy wam pomoc tak szybko, jak tylko się da. Uważajcie na siebie. Według najświeższych doniesień, pożar zbliża się z ogromną prędkością w stronę waszej doliny. Płoną korony drzew, a wiatr się wzmaga! Bez odbioru.

Becky odstawiła mikrofon na blat biurka i zaczerpnęła głęboko powietrza. Napięcie spowodowało, że odczuwała bóle w klatce piersiowej. Od kolejnego uderzenia wiatru zadrżały szyby w oknach.

Mavis, z twarzą białą jak kreda, stała tuż obok Faith i bezgłośnie poruszała ustami. Oczy dziewczynki wyrażały duże skupienie. Dobrze zrozumiała, o czym była mowa, ale trzymała się dzielnie.

No i był jeszcze mężczyzna. Przez chwilę myśli Becky poszybowały gdzieś daleko. Znalazła wreszcie wspaniałego mężczyznę po to tylko, by go stracić przez jakąś głupią wichurę. Naprawdę szkoda. Mogliby mieć takie ładne dzieci! Uważnie przyjrzała się mu, starając się zapamiętać każdy szczegół jego twarzy.

Martwiła się przede wszystkim o Mavis. Becky wiedziała z doświadczenia, że niewiele brakuje, by ta Filigranowa kobietka całkowicie straciła panowanie nad sobą. Becky obawiała się, że

wystraszy tym Faith, która choć odważna, była przecież jeszcze dzieckiem. Jake obserwował je jak jastrząb, ale na razie nie interweniował.

Becky gorączkowo starała się przypomnieć sobie jakie leki zawiera jej torba lekarska. Wystarczyłoby valium, które oszołomiłoby Mavis i uczyniło ją posłuszną. Tylko że zupełnie nie mogła sobie przypomnieć, gdzie ostatni raz widziała swoją torbę. Tymczasem usta Mavis poruszały się coraz szybciej. Wiedziała, że pozostało jej najwyżej kilka sekund na podjęcie decyzji. Zerknęła spod oka na Jake'a, który wyszczerzył do niej zęby. Westchnęła z rezygnacją. Przecież zawsze marzyła o wypróbowaniu tego środka znieczulającego.

Zwinęła prawą rękę w pięść i uderzyła nią na próbę w otwartą dłoń drugiej ręki. Gdy tylko Mavis otworzyła usta do krzyku, Becky zamierzyła się i z całej siły uderzyła ją w drżącą szczękę. Krzyk przerodził się w pisk i Mavis łagodnie opadła w otwarte ramiona Jake'a, który troskliwie otulił ją w jeszcze jeden koc.

- Niezła robota, doktorku - powiedział, puszczając do niej oko.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Radio w domu letniskowym Latimore'ów w górach Berkshire było tylko drobną częścią dużo większego systemu. Znad Lake Mohawk wiadomości przekazywane były do pozbawionego nadzoru przekaźnika radiowego, znajdującego się w kamiennej budowli na szczycie Mount Becker, a stamtąd do jeszcze innego budynku na szczycie Mount Greylock, by trafić wreszcie do anteny odbiorczej na dachu budynku imienia Johna Hancocka. Następnie, za pomocą dziesiątków różnych kabli, informacja docierała do centrum operacyjnego Korporacji Latimore'a. Obowiązywał tu system dyżurów, a dwie młode kobiety miały za zadanie utrzymywanie łączności pomiędzy poszczególnymi oddziałami Korporacji. Gdy tylko skończyła się rozmowa Becky Latimore z Charlie Rileyem, na dużej, zajmującej całą ścianę mapie pojawiło się czerwone światełko. Przez moment szukało swego miejsca, by ostatecznie osiąść w pobliżu Lake Mohawk. W tej samej chwili zadzwonił cztery razy dzwonek. Pół tuzina obecnych na sali mężczyzn jak na komendę uniosło głowy.

- Co się dzieje? - spytał jeden z młodszych pracowników. -
Przecież nie wykonujemy żadnych prac tam, w górach. O co chodzi? -
Jedna z kobiet obsługujących konsolę zaczęła poszukiwać odpowiedzi na te pytania. W tym czasie czerwone kółeczko zostało otoczone zieloną obwódką. Wprawne palce szybko przebiegły po liście kodów i znalazły wyjaśnienie. Kolor zielony oznaczał duży pożar lasu. Nagle zaczęło migotać czerwone światełko. Tym razem

wszyscy już wiedzieli, iż ktoś z pracowników firmy jest w niebezpieczeństwie.

W pogrążonej w półmroku sali rozbłysło teraz światło epidiaskopu i oświetliło ścianę naprzeciwko mapy. Elektroniczna maszyna do pisania wypuła z siebie listę nazwisk: „personel firmy: Rebecca Latimore, Faith Latimore; pozostali: Mavis Pell, nieznana; Jake Meadows, nieznany”.

Ustał szum maszyny, zapadła cisza i wszyscy wbili wzrok w cztery nazwiska.

- A niech to szlag trafi! - zaklął ktoś cicho z tyłu. - Gdzie są nasze ciężarówki? W Northhampton? Ale w Lenox jest buldożer. - Dzięki komputerowi na ekranie pojawiły się nowe dane: „Droga lądowa nieprzejezdna. Lawina skalna przy Killdevil Gorge zablokowała jedyną drogę ucieczki”.

- Gdzie jest szef? - rzucił ktoś niecierpliwie. Odpowiedzi udzielił ponownie komputer. „Bermudy. Samolot dyrektorski uzupełnia właśnie paliwo podczas międzylądowania”. Komputer zastukotał jeszcze raz i zajął się wysyłaniem informacji w różnych kierunkach. Tymczasem w jednym z mrocznych rogów sali, odwrócony plecami do wszystkich, siedział samotnie siwowłosa mężczyzna z mikrofonem w rękę, wyrzucając z siebie ogromną ilość poleceń i okraszając je słowami powszechnie uznanymi za obraźliwe.

- Elmer! Nic mnie nie obchodzi, że dopiero co wylądowałeś! Masz natychmiast startować! Powiem ci, dokąd lecisz, jak będziesz już w powietrzu. Nie dyskutuj, tylko rób! Mówiłem ci, kto tam jest. Ruszyłeś się wreszcie? Co? Jesteś dopiero piętnaście metrów nad

ziemią? Człowieku, to myszołowy potrafią latać szybciej niż ten twój helikopter! Kieruj się na zachód. Nad Lake Mohawk. Mamy tam pożar, a dwójka dzieciaków szefa została odcięta od świata. Ile osób? Troje dorosłych i jedno dziecko. Jest wśród nich Becky. Tak, wiem, że nie możesz ich wszystkich zabrać, ale zrób co możesz. Elmer, jeśli to twoje pomarańczowe stare pudło nie ruszy wreszcie z miejsca, to osobiście wsadzę ci rękę głęboko w gardło i wyrwę to twoje parszywe serce. Tak! Powiedziałem Becky!

Ze wszystkich informacji, podsumowań i wydruków komputerowych ta rozmowa przyniosła najwięcej dobrego.

Ponownie zaszumiało radio i odezwał się cichy, lekko tylko drżący głos Becky:

- Wujku Charlie, jesteś tam? I co, czy on przyleci?

Starszy mężczyzna pospiesznie złapał za mikrofon.

- Przyleci, kochanie, przyleci. Jest w tej chwili gdzieś nad South Hadley. Powiada, że widzi już dym. Teraz musisz się tylko zastanowić, jak zmieścić w jednym małym helikopterze tylu ludzi.

- Nie wiem, wujku Charlie. Dym jest już wszędzie. Nie widać stąd nawet jeziora. Sądzę, że lada chwila stracimy budynek mieszczący generator prądu. Ja... Na linii rozległy się jakieś trzaski i zebrani usłyszeli w eterze głęboki, męski głos.

- Proszę się nie martwić. Zaopiekuję się nimi. Proszę powiedzieć pańskiemu pilotowi, by wylądował na samym środku jeziora, a następnie podpłynął do brzegu. Płomienie sięgają niemalże dachu domu. Musimy się stąd wynosić, zanim ogień odetnie nam drogę do jeziora. A teraz słuchajcie uważnie. Wsadzimy do helikoptera tyle

osób ile się da, a reszta poszuka schronienia w jeziorze. To nasze ostatnie połączenie. A propos, jeśli chcecie się trochę uspokoić, to proszę skontaktować się z Kwaterą Główną Gwardii Narodowej stanu Massachusetts i spytać ich o Jake'a Meadowsa.

Połączenie zostało nieodwołalnie przerwane, a w Centrum Operacyjnym zaległa martwa cisza. Charlie Riley powlókł się do jednego z okien i spojrzał przez nie błędnym wzrokiem. Pracował ponad piętnaście lat dla Korporacji Latimore'a, gdy Bruce Latimore zaczął zalecać się do Mary Kate. Pamiętał wszystko, jakby to było raptem wczoraj. Łza zakręciła mu się w oku. Nagle sekretarka zawołała go do telefonu. Podszedł do niej i sięgnął po słuchawkę.

- Generał-brygadier Wilson - powiedziała. Riley wzruszył ramionami. Dla pracowników potężnej Korporacji Latimore'a jednogwiazdkowi generałowie byli chlebem powszednim:

- Kim jest Jake Meadows? - warknął w słuchawkę. A potem słuchał i słuchał. Delikatnie odłożył słuchawkę, jak gdyby bał się ją stłuc. Wszyscy obecni wpatrywali się w niego milcząco. Założył ręce do tyłu, odchrząknął i ponownie podszedł do okna.

- Nic im nie będzie - rzucił przez ramię. Część ludzi odetchnęła. Zapanowało lekkie ożywienie.

Jake odłożył mikrofon na stół i wyłączył aparat. Becky stała sztywno obok niego i ze zdenerwowania przygryzała wargę.

- Wiesz, nie chodzi o mnie - wydusiła z siebie - ale o Faith. Mama i tata nie zasłużyli sobie na taki niepokój i ból. Chciałabym...

- Posłuchaj - powiedział, przyciskając ją mocno do siebie i unosząc jej brodę do góry. - Tamci mogą sobie to potwierdzić, ale ty

musisz uwierzyć mi na słowo, że cię z tego wyciągnę. Słyszysz?
Wyciągnę cię z tego.

Becky z trudem przełknęła ślinę. Cała niechęć do Jake'a gdzieś wyparowała. Teraz była nim absolutnie zafascynowana. W jego oczach pojawił się błysk, którego nigdy przedtem nie widziała. Coraz bardziej przypominał jej jakiegoś korsarza, a poza tym dał słowo.

- Dobrze - odpowiedziała cicho. - Powiedz mi, co mam robić?

- Wpierw musimy się zająć dzieckiem. Czy możesz mi powiedzieć jak najlepiej postępować z Faith?

- Daj jej coś do zrobienia. Coś, za co będzie odpowiedzialna. Wtedy na pewno da sobie radę. Osobiście, bardziej martwię się o Mavis. Nie mogę przecież znowu jej ogłuszyć. Ona potrzebuje środka uspokajającego, inaczej narobi nam niezłego bigosu. Najgorsze, że nie pamiętam, gdzie zostawiłam swoją torbę lekarską.

- W porządku. A czego potrzebuje Becky Latimore?

- O Boże! Sama nie wiem. Byłam już pod ostrzałem artyleryjskim w szpitalu w Czadzie, czasami trzy, cztery razy dziennie. Dopiero później powaliło mnie ukąszenie komara. Nie jestem chyba zbyt dobrym szefem, ale jestem całkiem niezłym pracownikiem.

- Co byś wobec tego powiedziała, gdybym to ja przepisał ci receptę? To, czego ci będzie trzeba przez najbliższe dwanaście godzin, to duża doza miłości i zaufania.

- A kto mi będzie to podawał?

- Ja, dziewczyno, ja - pochylił się lekko, tylko na tyle, by musnąć ustami wargi dziewczyny. Następnie odwrócił ją i poklepał

przyjacielsko po siedzeniu mówiąc: -Twoja torba jest na podłodze w kuchni. Idź, daj panie Pell jakiś środek, który pozwoli jej długo pospać.

Czuła się prawie tak, jak podczas swej pierwszej praktyki w szpitalu na oddziale nagłych wypadków. Uśmiechnęła się do niego i pobiegła w stronę kuchni. Tymczasem Jake zawołał Faith i gdy tylko mała podeszła, oznajmił jej poważnym tonem, niczym dorosłej osobie:

- Wiesz, pożar to bardzo poważna rzecz i nie każdy potrafi sobie z tym poradzić. Przez ostatnie kilka godzin twoja siostra miała całą masę problemów na głowie. Myślę więc, że nadszedł czas, abyśmy również my zabrali się do roboty. Zgadzasz się ze mną?

Dziewczynka spojrzała na niego niepewnie.

- Ja... ja sama trochę się boję ognia - wyjąkała.

- Ale na tobie i na mnie spoczywa duża odpowiedzialność - kontynuował Jake poważnie. - Do tej pory zajmowała się nami Becky, pora więc chyba, byśmy teraz my się nią zajęli, nie uważasz?

- No cóż... tak. - Kluczowym słowem było słowo „odpowiedzialność”. Jake uśmiechnął się w duchu. Wszystkie kobiety z rodziny Latimore'ów reagowały na to hasło jak strażak na dźwięk dzwonka alarmowego. Faith była teraz zdecydowana podjąć wyzwanie.

- W porządku. Za chwilę ruszamy w stronę jeziora. Idź teraz do Becky, weź ją za rękę i nie puszczaj, żeby nie wiem, co się działo. Zrozumiałaś?

- Pewnie. Mój brat Henry też cały czas to powtarza.

- I nic a nic się nie boisz?

- Boję się, ale dam sobie radę. Naprawdę.

- To dobrze. A teraz słuchaj uważnie. Ty i Becky ruszycie przodem. Ja pójdę za wami niosąc pannę Pell. Widzisz poły mojej koszuli? Jedną ręką będziesz trzymała się Becky, drugą mojej koszuli, dobrze?

- Tak jak na filmie? - Na bladej twarzączce dziecka pojawił się słaby uśmiech.

- Dokładnie tak, tyle że będzie bardziej gorąco. Gotowa?

- Tak jest, sir.

W tej samej chwili do pokoju wróciła Becky. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. W ten sposób Faith zwracała się czasami tylko do ojca.

Uśmiechając się pod nosem podeszła do kanapy, na której spoczywała nieprzytomna Mavis Pell. Dobra robota, pogratulowała sobie. Zwilżyła wacik alkoholem i szybko wykonała zastrzyk.

- Gotowe! - krzyknęła w stronę Jake'a, przywiązując Mavis kartkę do ręki, na której odnotowała datę oraz rodzaj i ilość podanego środka. Jake podszedł do niej natychmiast, patrząc, jak przepakowuje swoją torbę, po czym przerzucił sobie Mavis przez ramię i ruszył w kierunku drzwi.

- Idźcie przodem - polecił. - Zatrzymamy się przy mojej chacie i weźmiemy stamtąd linę. Idźcie pochylone, cały czas bacznie obserwując wierzchołki drzew. Jeśli doścignie nas dym, starajcie się znaleźć poniżej jego dolnej warstwy, nawet gdyby trzeba było się czołgać. Pamiętajcie tylko o jednym. Cały czas musimy się poruszać

naprzód. Jeśli przy brzegu będzie się palić igliwie, wejdźcie do wody tak daleko, jak tylko to będzie możliwe. Tylko nie potopcie się. Zrozumiałyście?

- Tak jest, sir - odpowiedziały obie jak na komendę. Jake roześmiał się i otworzył drzwi, puszczając dziewczyny przodem. Ruszyli, z małą Faith kurczowo uczeponą ręki Becky i koszuli Jake'a.

Wyszli na werandę. To, co zobaczyli, zaparło im dech w piersiach. Ogień rozprzestrzeniał się po koronach drzew, a podsycaly go jeszcze masy gorącego powietrza, wzbijającego w górę wszystko, co stało na drodze. Tam każda rzecz nieuchronnie wpadała w ogień i znikła na zawsze w jego płomieniach. Przez moment Becky zawahała się, popatrzyła milcząco na Jake'a, po czym zrobiła pierwszy krok do przodu. Jake wolną ręką delikatnie dotknął jej dłoni i milcząco ścisnął ją, potwierdzając istniejącą między nimi nie porozumienia.

- Dobry Boże - szepnęła dziewczyna. - Pozwól nam przetrwać do lepszych czasów.

Coraz trudniej było oddychać. Powietrze było nie tylko gorące, ale chyba nie było go zbyt wiele, mimo iż dym wisiał dość wysoko nad ich głowami. Becky powstrzymała jęk, zgarbiła się i ruszyła w drogę.

Tym razem nie trzeba było omijać krzaków i krzewów, które niegdyś znaczyły trasę, gdyż po prostu ich tam już nie było. Natomiast ziemię zalegały masy zwęglonych gałęzi i popiołu, co skutecznie utrudniało im szybkie poruszanie.

Ujrzawszy w dole jezioro zatrzymali się na chwilę. Ogień szalał w koronach drzew, pokrywających szczyty otaczającego ich masywu górskiego. Całą okolicę spowijał unoszący się jakieś piętnaście metrów nad wodą całun dymu. Becky zamarła. Nie wyobrażała sobie, jakim cudem helikopter miałby przebić się przez morze dymu i ognia, i jeszcze ich odnaleźć.

Faith musiała wyczuć jej niepokój, bo mocniej ścisnęła ją za rękę. Becky rzuciła jej przez ramię niepewny uśmiech. Twarzyczka Faith była blada i skupiona, ale nie widać było po niej strachu. Serce Becky przeppełniło się dumą. Nawet w takiej chwili była dumna z nazwiska Latimore.

Ruszyli dalej i zatrzymali się dopiero przed chatą Jake'a, który opuściwszy Mavis na ziemię, pędem rzucił się do środka. Po chwili wrócił ze zwojem lin przewieszonych przez ramię i ruszyli przed siebie.

Było im teraz dużo ciężiej. Płomienie zeszły już poniżej koron drzew i ogień zaczął obejmować pnie. Wraz z tym opadał coraz niżej dym. Zgięta niemal w pół Becky zebrała całą swoją odwagę i ruszyła naprzód. Mieli za sobą ponad dwie trzecie drogi. Co i rusz potykała się o jakieś przeszkody. Raz musiała nawet gwałtownie uskoczyć w bok, gdy z pobliskiego drzewa runęła na ziemię płonąca gałąź. Tylko obecność Jake'a pozwalała jej zachować samokontrolę, szczególnie wtedy, gdy słyszała cicho pochlipującą Faith.

Z zaskoczeniem przyjęła fakt, że pod warstwą dymu znajdowało się dość dużo powietrza. Ogień wprawdzie nie malał, ale temperatura powoli zaczęła spadać. Na tyle w każdym razie, że od czasu do czasu

mogli zaczerpnąć głębszy łyk powietrza. Otwierająca pochód Becky natychmiast przyspieszyła kroku. Od tego miejsca zresztą ścieżka była dużo szersza i bardziej piaszczysta, a niewielka ilość drzew wokół zmniejszyła niebezpieczeństwo, że coś zleci im na głowę.

- Jeszcze tylko kawałeczek... malutki kawałeczek... - mruzczała pod nosem. Nagle poczuła pod nogami wodę, cudowną, bezpieczną, błogosławioną wodę i roześmiała się szczęśliwa. Złapała Faith w pół i przycisnęła ją mocno do siebie.

- Udało nam się, maleńka, udało! - zawołała. Zaraz potem rzuciła się w stronę Jake'a, który z trudem wyprostowywał się po zdjęciu z ramienia zwoju lin i ułożeniu Mavis Pell w wodzie, tak że wystawała jej tylko głowa. Bez większego zastanowienia Becky zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego z całej siły, a on delikatnie objął ją ramionami. Pomimo całej grozy sytuacji, wśród niepewności i lęku, w jej sercu rodziło się nowe uczucie, które poskramiał tylko ogień. Zacisnęła ręce na jego szyi i przywarła do niego całym ciałem.

Nie wiadomo dlaczego w tej właśnie chwili Faith załamała się. Przykucnęła w wodzie i zaczęła płakać. Becky знаła ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest to wołanie o pomoc. Pocałowała Jake'a szybko w usta, a on puścił ją, pozwalając jej znów stanąć na własnych nogach. Następnie przykucnął obok Faith, by dodać jej trochę otuchy. Z minuty na minutę targane wiatrem chmury dymu opadały coraz niżej i niżej. Widoczność spadła do trzydziestu metrów, a z płonących drzew co i rusz spadały zajęte ogniem gałęzie.

Jake usiadł w wodzie obok Faith i polał ją, mocząc całe jej ubranie. Nagle zamarli, słysząc w oddali szum silnika.

- Co widzisz? - dopytywał się głos operatora z centrum operacyjnego.

- Ni cholery - odpowiedział Elmer. - Jest tam Charlie?

- Tak, o co chodzi? - warknął Riley w odpowiedzi. - Gdzie jesteś, do diabła?

- Na samym wierzchołku ogromnego budynku czekoladowego - poinformował pilot - który zajmuje obszar około osiemdziesięciu kilometrów kwadratowych. Nie widzę ani skał, ani jeziora. W dole szaleje paskudny wiatr.

- I zupełnie nic nie widzisz?

- Tak jak powiedziałem. Co ty sobie wyobrażasz, że umiem czarować?

- Co więc zamierzasz zrobić?

- Jeśli chcesz wiedzieć, to mam zamiar zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze chcę ci przypomnieć, że pracujemy ze sobą od trzydziestu lat, i że dziś jesteś takim samym sukinsynem, jakim byłeś przed trzydziestu laty. Po drugie mam zamiar znaleźć środek tego budynku i opuścić się, aż w coś walnę albo coś mnie walnie. Chcesz jeszcze czegoś?

- Nie, Elmer, oczywiście, że nie. Weź tylko głęboki oddech, zanim zaczniesz schodzić w dół. Bóg z tobą. Jesteś fantastycznym pilotem!

Helikopter tańczył nad gęstą warstwą dymu, do czasu aż Elmer uznał, że prawdopodobnie znajduje się nad wodą. Dopiero wtedy,

powolotku, zaczął opuszczać się w dół. Przy tak mocno zredukowanej szybkości wiele trudności sprawiało mu utrzymanie równowagi maszyny. Elmer sięgnął po maskę tlenową. Dym zdążył się już przedostać do kabiny, pokrywając sadzą wszystkie instrumenty. Nie było to istotne, gdyż po czterdziestu latach latania umiałby pilotować nawet z zamkniętymi oczami.

Mało brakowało, a zgubiłaby go ta nadmierna pewność siebie. Nawet nie zauważył, kiedy znalazł się pod warstwą dymu, a płozy helikoptera niecałe pół metra nad wodą.

Jego ręce zareagowały zupełnie automatycznie. Poderwał maszynę lekko do góry, a następnie zaczął wolno zataczać kółka, póki nie dostrzegł cienkiego języczka starego mola przy przystani.

Minęło już ponad osiemnaście lat, odkąd jego stary helikopter opuścił taśmę montażową. Elmer z czułością poklepał tablicę rozdzielczą i wymamrotał krótką podziękę do Boga. Następnie łagodnym łukiem wziął zakręt, kierując się w stronę przystani. Miał szczęście, że zrobił to powoli. Był nie dalej jak trzydzieści metrów od celu, gdy przystań wybuchła jasnym płomieniem, a po chwili pogrążyła się w wodzie.

W pierwszym odruchu zamierzał dodać gazu i uciec do góry, prosto w objęcia dymu. Zwyciężył jednak zdrowy rozsądek i długoletnie doświadczenie. Zawrócił, zataczając szeroki łuk i uważnie obserwując wskazania wysokościomierza. Gdy tylko powietrze nieco się przerzedziło, a dym pozostał w górze, zawiesił maszynę nad taflą jeziora i wcisnął przycisk mikrofonu.

- Charlie! - Krzyknął. - Udało się! Jestem poniżej warstwy dymu. Przed chwilą widziałem wylatującą w powietrze przystań.

- Myślę, że ulokował ich gdzieś na wodzie - usłyszał w odpowiedzi. - Ten facet ma ogromne doświadczenie.

Szukaj ich na północ od przystani. Z tamtej strony jest głębsza woda.

- Zrozumiałem - odpowiedział pilot. - Widzę ich. Kieruję się w stronę plaży. Charlie, pozostań w pogotowiu.

- Postaraj się, chłopie. Uważaj na Becky! Helikopter wyrwał lekko do góry, kierując się w stronę grupki ludzi. Mężczyzna w wodzie nakazał pilotowi ręką, by poleciał jeszcze kawałek na północ, co Elmer przyjął bez zastrzeżeń. Stosując się do poleceń pilota, helikopter zbliżył się do brzegu, zatrzymał się w miejscu i powoli opadł, zanurzając płozy w wodzie na głębokość około metra. Nie wyłączając go, zredukował moc silnika do minimum i odpiął pasy.

- Kogo mam zabrać? - krzyknął, wyskakując z helikoptera prosto do wody.

Kobieta i mężczyzna jak na komendę odwrócili się do niego.

- Wszystko już uzgodnione - odparł Jake. - Jakie masz zapasy paliwa? Poniżej ćwierć baku?

- Coś koło tego. Charlie Riley zamartwia się o panią.

- Proszę nam pomóc - odezwała się Becky. - Jeśli uda się nam umieścić tę nieprzytomną na fotelu i przywiązać ją do niego, to dziewczynka może usiąść między fotelami. Co pan na to? Oczywiście, ją też przywiążemy.

- Brzmi całkiem rozsądnie. Pomogę wam. Powiedźcie, ta babeczka tutaj, jak długo będzie wyłączona z gry?

- Nawet gdyby wybrał się pan stąd spacerkiem do Bostonu, to i tak będzie jeszcze spała, gdy dojdziecie - roześmiała się Becky. - Faith, siadaj na podłodze, tam, między fotelami. Mądra dziewczynka.

- A teraz okręcimy cię tą liną wokół talii - dodał Jake.

- Hej, to nie jest moja talia!

-W takim razie musiałem wagarować w szkole podczas zajęć z anatomii. Wyciągnij nogi przed siebie, ale uważaj, żeby nie dotknąć któregoś z tych przyrządów. W porządku. Teraz jeszcze tylko podwójny węzeł. Gotowe, panie...?

- Stanciewicz.

- A więc gotowe, panie Stanciewicz. Możecie startować.

- Słuchajcie, nawet nie wiem, kim jesteście! - zawołał pilot, sadowiąc się w fotelu. - Ale muszę przyznać, że nie brak wam odwagi. Musicie wiedzieć, że nie będę w stanie przylecieć po was, zanim to wszystko trochę się nie uspokoi.

- Poczekamy więc - odparł mężczyzna. - Ładny dziś dzień. Ogień wypłoszy wszystkie komary, a to jest jedyna rzecz, jakiej ona się boi. Ruszaj!

- Ale co ja mam powiedzieć mamie? - zaszlochała Faith.

- Powiedz jej, że zawsze ją kochałam! - Hałas pracujących silników helikoptera zamienił się w ryk, zadrżały płozy i maszyna ruszyła w stronę środka jeziora, by po chwili wzbic się w gęstą warstwę ognia i dymu. Dopiero na wysokości około sześciuset metrów pilot skierował ją w stronę Pittsfield.

Po upewnieniu się, że maszyna jest dobrze wyważona, a pasażerowie pod jaką taką kontrolą, pilot odprężył się i zaczął im się przyglądać. Kobieta wyglądała jak worek dobrze opakowanych kości. Pograżona była w tak głębokim śnie, że prawie się nie poruszała. Dziewczynka, chuda, o płowych włosach, wyglądała kropka w kropkę jak pani Latimore. Elmer uznał, że starsza z nich musi być tą Becky, o którą tak bardzo martwił się Charlie Riley. Z uśmiechem na twarzy wcisnął guzik mikrofonu.

- Helikopter numer jeden wzywa stację kontrolną korporacji Latimore'a. Akcja zakończona. Dwóch pasażerów na pokładzie. Jedna kobieta, jedno dziecko. Dziecko w dobrym stanie, kobieta pod wpływem jakichś środków uspokajających. No i co ty na to, Riley?

- Niech mnie kule biją, Elmer, naprawdę ci się udało! Musisz gdzieś lądować w celu uzyskania pomocy lekarskiej? Bo jeśli nie, to przylatuj prosto do Bostonu. Wszyscy lekarze na zachód od rzeki Connecticut mają ręce pełne roboty. Co mówiła Becky?

- Nic. Mówiłem ci, że jest pod wpływem jakichś środków.

- Aha. No tak. A co z tymi, którzy zostali?

- Wiesz, nie mieliśmy czasu na wymianę uprzejmości. Mieliśmy dużo szczęścia, że udało nam się stamtąd wyrwać. Nie martwiłbym się specjalnie o tamtych dwoje. Wyglądają na całkiem kompetentnych ludzi. A ta kobieta... wiesz, ma najczarniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widziałeś...

- Długie, czarne włosy? A co... Powiedz, jaki kolor włosów ma kobieta, którą masz na pokładzie?

- Chyba blondynka. Być może farbowana.

-Ty... ty... głupi, zidiociały ośle! Mówiłem ci, żebyś uważał! To nie jest Becky. Daj mi tę małą do mikrofonu.

Elmer, nie wierząc własnym uszom, sięgnął pod swój fotel i wyciągnął spod niego zapasowy hełm pilota. Odłączył od niego mikrofon i podał go dziewczynce. Wyglądało na to, że mała dobrze wie, jak obchodzić się z takim sprzętem. Założyła słuchawki na uszy, ustawiła mikrofon i spojrzała wyczekująco na pilota, który poinformował ją przez intercom:

- Mam na linii pana Riley'a, wiceprezesa naszej firmy. Chce porozmawiać z tobą o Becky, dobrze? Proszę mówić. - Następnie włączył mikrofon i rozparł się wygodnie w fotelu, ciekawy, co się teraz stanie.

Nie zdziwiłby się, gdyby dziewczynka była choć trochę speszona, ale ani jej to było w głowie.

- Cześć, wujku Charlie - powiedziała. - Bardzo się cieszę, że wysłałeś po nas ten helikopter. Znaleźliśmy się w niezłym kłopotcie, możesz mi wierzyć!

- Bardzo się cieszę, że jesteś cała i zdrowa - odparł starszy mężczyzna. - Twoja mama i tata powinni być już w Bostonie, kiedy tam dolecisz. To znaczy, jeśli pilotowi uda się utrzymać tak długo maszynę w powietrzu. A teraz powiedz mi, jak to się stało, że Becky usnęła?

- Becky? Przecież ona wcale nie śpi, wujku.

- Ale pilot powiedział mi, że wciąż jeszcze śpi.

- Przecież to nie jest Becky. To panna Mavis Pell. Niezła żołą, między nami mówiąc.

- A co z Becky, kochanie? Gdzie jest Becky? - naciskał dalej Riley drżącym głosem, coraz bardziej przerażony.

- Myślałam, że wiesz, wujku. Becky nie chciała lecieć. Powiedziała, że nie ma tyle miejsca i że helikopter nie miałby dość siły, by zabrać nas wszystkich. Została nad jeziorem razem z tym facetem. Szkoda, że go nie widziałeś, wujku. Ale przystojniacha! Coś mi się wydaje, że Becky bardzo go lubi.

- Mówisz, że Becky została nad jeziorem. Może coś ci przekazała?

- Nie. Właściwie to nie. Tylko gdy spytałam ją, co mam powiedzieć mamie, powiedziała, bym powtórzyła jej, że zawsze bardzo ją kochała. Śmieszne, co?

W słuchawkach zapadła cisza. Po chwili odezwał się inny, młodszy i bardziej bezosobowy głos:

- Helikopter jeden, tu stacja kontrolna. Kierujcie się do hangaru numer cztery na lotnisku Logana. Czekają tam na was lekarze i samolot prezesa.

- W porządku. Poproście jeszcze tylko na chwilę Charliego... hm, to znaczy pana Rileya do mikrofonu.

- Latimore jeden, obawiam się, że to nie będzie możliwe. Pan Riley prawdopodobnie miał atak serca. Lekarze zabierają go właśnie do szpitala.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obserwowali, jak helikopter nabiera wysokości i znika z pola widzenia. Przez jakiś czas wsłuchiwali się jeszcze w oddalający się szum silników, głównie jednak słyhać było przerażające odgłosy szalejącego ognia. Weszli głębiej w wody jeziora, zanurzając się powyżej pasa. Jake przytulił Becky mocniej do siebie.

- Nie martw się. Na pewno im się uda - powiedział wesoło. - Boże, co za piekarnik. Można by usmażyć hot-doga.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - odparła Becky cicho - powstrzymaj się od tego typu dowcipów. Nie masz pojęcia, jak bardzo się boję. Nie wiem dlaczego, ale wobec tego, co nas otacza, wojna w Czadzie wydaje się dziecinną igraszka.

- Opowiedz mi o tym - poprosił Jake, pociągając ją za sobą w głąb jeziora, tak że zanurzyli się w wodzie po szyję. Cały czas bacznie obserwował i wymierzał kąt padania każdej płonącej gałęzi, szacując siłę wiatru, gdy tylko zaczynały palić się niższe drzewa.

- Zacznę może od tego, w jaki sposób się tam w ogóle znalazłam. Towarzystwo Przyjaciół, wiesz, Kwakrzy, chcieli zbudować szpital-bazę w północnej części kraju i poszukiwali ochotników. Obszar ten składa się prawie wyłącznie z pustyni i tysiące ludzi umiera z powodu suszy. Zgłosiłam się. Potem wybuchła rewolucja, a my znaleźliśmy się w samym jej centrum. Z jednej strony, od północy, armia libijska, z drugiej, od południa, wojska Czadu. Obie strony prowadziły ostrzał artyleryjski nie bacząc na nic i

na nikogo. Przeżywaliśmy wtedy naprawdę trudne chwile. Z obu stron przybywało nam coraz więcej rannych. Oprócz tego byli jeszcze chorzy z niedożywienia. Ale wszystko było jakoś zorganizowane. Był namiot, pełniący funkcję sali operacyjnej, były namioty mieszczące poszczególne oddziały szpitala, był namiot służb administracyjnych. Po prostu wszystko funkcjonowało jak należy. Z grubsza wyglądało to jak normalny szpital. Nie chcę przez to powiedzieć, że niczym się tam nie przejmowałam. To niemożliwe, choćby ze względu na dzieci, ale w pewnym sensie można się było do tego przyzwyczaić. Po roku, gdy miałam właśnie wracać do domu, ugryzł mnie ten cholerny komar!

- Rozwścieczyło cię to, no nie? - roześmiał się Jake. Nawet w takich warunkach, z wysmarowaną węglem drzewnym twarzą, z pokrytymi grubą warstwą popiołu włosami, wyglądał ciekawie i całą swą postawą wzbudzał zaufanie. Chciała się do niego uśmiechnąć, gdy nagle krzyknął: "nurkuj" i z całej siły wcisnął ją pod wodę. Ledwie zdążyła zaczerpnąć powietrza. Dokładnie tam, gdzie przed chwilą stali wpadła do wody ogromna płonąca gałąź i zgasła z sykiem.

Plując wodą wynurzyli się po obu stronach gałęzi, którą Jake natychmiast odepchnął na bok. Jego twarz była teraz poważna.

- Powiedz mi jak pływasz, tylko szczerze. Wiem, że pierwszego dnia odniosłem mylne wrażenie, ale jak jest naprawdę?

- No cóż, gdy mam dobry dzień, myślę, że potrafię przepłynąć około półtora kilometra, może nawet dwa - odparła - a kiedy się boję to nawet dwa razy tyle. Dzisiaj boję się. Czemu się przyglądasz?

Pokazał ręką w stronę wzgórza, na którym wciąż jeszcze stała jego chata.

- Spodziewam się, że to tam przebiegać będzie linia ognia - wyjaśnił spokojnie. - Tak naprawdę to obawiam się nie tyle ognia, ile dymu. Kiedy tylko płomienie zbliżą się do mojego domu, dym sięgnie aż tutaj.

-I co wtedy?

- Wtedy będziemy musieli sobie trochę popływać. Jak na razie najlepszym rozwiązaniem jest chyba druga strona wyspy.

- Ale i tam nie na długo znajdziemy schronienie?

- Masz rację. Wysepka położona jest zbyt blisko stałego lądu i ogień dosyć szybko przeskoczy również na nią. Dopiero wtedy zacznie się zabawa. Ale dość tego. Porozmawiajmy.

- A co potem? Popłyniemy?

- No właśnie. A potem znowu porozmawiamy. Opowiedz mi coś więcej o Latimore'ach.

- Ze sposobu, w jaki to powiedziałeś, wnioskuję, że uważasz nas za dość zwariowaną rodzinę?

- No wiesz? Wcale tego nie powiedziałem! Opowiedz mi o tej filigranowej kobietce, którą spotkałem pierwszego dnia.

- Masz na myśli Mary Kate? Tylko tata tak się do niej zwraca. Ja i mój starszy brat, Henry, zawsze mówimy do niej mamó. Nie znasz jeszcze Henry'ego. Jest farmerem. Razem z żoną, Anną, prowadzą rodzinną farmę. Mają czwórkę dzieci. Aha, Henry nie jest Latimore'em, nazywa się Chase. Ja też nazywałam się kiedyś Chase i mama też.

- Twoja mama była prawnikiem?

- Tak, i wciąż nim jest. Od października będzie zasiadała w Sądzie Najwyższym. Wróciła do pracy po tym, jak lekarz powiedział jej, że prawdopodobnie nie będzie mogła mieć więcej dzieci. Jak długo ją pamiętam, zawsze była wspaniałą matką, żoną farmera, studentką prawa, osobą, która zawsze doskonale wiedziała, czego dziecku trzeba.

- I u której można było wypłakać się na ramieniu?

- Zawsze potrafiła cię uważnie wysłuchać, ale jednocześnie wymagała od nas rzeczowych argumentów.

- No dobrze, koniec gadki, moja damo. Czas popływać.

Płomienie przekroczyły właśnie naszą granicę ognia.

Przewrócił się wolno na brzuch i uważnie obserwował płynącą spokojnie klasycznym stylem Becky. Najwyraźniej zadowolony z tego, co zobaczył, powrócił do pozycji na plecach i przez dłuższą chwilę uważnie obserwował szalejący wokół ogień. Następnie podążył za nią pięknym australijskim crawllem. Becky początkowo starała się dotrzymać mu kroku, ale ze śmiechem uznała się za pokonaną i wróciła do początkowego, spokojnego stylu. Widząc to, Jake natychmiast zwolnił tempo.

Od czasu do czasu podpływał, by podzielić się z nią jakąś uwagą. Wyspa była już całkiem blisko. Zbyt blisko. W każdej chwili należało się spodziewać, że eksplodujące na lądzie pnie drzew i wyrzucane na dużą odległość płonące gałęzie zapalą tam wysuszone drzewa i poszycie leśne.

Zbliżali się do wyspy szerokim łukiem, korzystając z niej jako ze swego rodzaju przesieki. Jake cały czas bacznie obserwował

okolice. Dwukrotnie rzucał się na Becky, zmuszając ją do głębokiego zanurkowania, gdy wokół leciały duże kawałki płonącego drewna. Wiatr wzmagał się i popychał pływające po wodzie szczątki drzew w ich kierunku.

Wydawało się, że minęły godziny, choć upłynęło raptem kilka minut, gdy Jake przewrócił się na plecy i zarządził krótki odpoczynek. Becky przyjęła jego decyzję z westchnieniem ulgi. Bolały ją wszystkie mięśnie. Wciąż jeszcze nie otrząsnęła się ze skutków ledwie co przebytej malarii.

Znajdowali się teraz blisko zasłoniętej od wiatru strony wyspy i gdyby nie otaczające ich zewsząd kikuty spalonych drzew i kłęby dymu można by sądzić, że wszystko jest w porządku. Mimo to Becky nie mogła pozbyć się uczucia dławiącego lęku. Próbowwała wziąć się w garść, szczególnie widząc spokojną twarz Jake'a. Pomyślała, że gdyby Dante przeżył kiedyś coś takiego jak oni, nigdy nie opisałby piekła jako krainy lodu.

Tymczasem Jake, który pływał wokół pozornie bez celu, nagle zatrzymał się w miejscu i zawołał: „tutaj”. Becky natychmiast podpłynęła do niego.

- Wiedziałem, że gdzieś w pobliżu powinna znajdować się ławica piaskowa - powiedział, wyciągając do niej rękę, by mogła się go uchwycić. Poruszona jego mchem woda zakryła jej natychmiast głowę. Becky bez powodzenia próbowała dosięgnąć dna, zaprzestała więc wysiłków i pozwoliła Jake'owi objąć się ramieniem.

- Uwieś się na mnie - zaproponował Jake, a ona chętnie na to przystała. Położyła mu obie ręce na barku i oparła brodę o jego ramię.

Z pewnością nie było jej zbyt wygodnie, ale przynajmniej poczuła się bezpiecznie.

- Wiesz, gdy pomyślę sobie, jak bardzo musi się teraz o mnie martwić mama. Tata oczywiście też. Jest naprawdę wspaniały, choć nie jest przecież moim prawdziwym ojcem. A co z twoją rodziną? Opowiedz mi o twojej mamie i siostrach.

- Moja mama wyszła ponownie za mąż i mieszka teraz na Florydzie. Ostatnio widuję ich niezbyt często. Jedna siostra mieszka w Kalifornii. Rokrocznie pisujemy do siebie kartki świąteczne, ale nie widziałem jej już od dwóch, a może nawet trzech lat. Druga siostra wyszła za mąż za dyplomatę i odkąd podróżują po całym świecie też niezbyt często się widujemy.

- Jake, jakie to smutne! To straszne, że nie wiesz, jak to jest.

- To znaczy co?

- Nie wiesz, co to znaczy być otoczonym przez ludzi, których kochasz i którzy cię kochają. Zginęłabym, gdybym nie była absolutnie pewna, że w tej właśnie chwili mama i tata poruszają niebo i ziemię, by nas stąd wyciągnąć. Henry zresztą też. I Mattie. No i oczywiście wujek Charlie.

- Co ty powiesz, oni wszyscy? - roześmiał się Jake z niedowierzaniem. - Ja tam wolę przede wszystkim

polegać na sobie. Jesteś miłą osobką, pani doktor, ale życie jest ciężkie i człowiek powinien sam sobie dawać radę. Słyszałaś kiedyś takie powiedzenie: ten najdalej jedzie, kto jedzie sam?

- Tylko wtedy, gdy chce ustanowić nowy rekord świata - odparła Becky i westchnęła w duchu. Czyżby naprawdę tego pragnął?

Postanowiła robić dobrą minę do złej gry. Popatrzyła na swój wodoodporny zegarek, prezent od taty na zakończenie szkoły średniej.

- Założę się z tobą o dziesięć dolarów, że dokładnie teraz, a jest trzecia trzydzieści po południu, tata organizuje pomoc, by nas stąd wyciągnąć!

- No to przegrałem - roześmiał się Jake. - Mój cholerny zegarek stanął. Uważaj! Nurkuj! Znów mamy gości.

Minęło kolejne dwadzieścia minut, zanim wydostali się ze strefy bezpośredniego zagrożenia. Płonęło już całe wzgórze i wiedzieli, że pożar lada chwila może przedostać się na wyspę.

- No, mało brakowało - mruknął Jake, po raz kolejny wynurzając się wraz z Becky z wody. Becky na chwilę przymknęła oczy i wyczerpana oparła głowę

o jego ramię. Szybko jednak otrząsnęła się z letargu, odgarnęła włosy z oczu i spytała:

- No dobrze, i co dalej?

- Płyn za mną. Najszybciej jak potrafisz - powiedział Jake i odpłynął, zanim zdążyła zareagować. Płynęła pieskiem, ale później postanowiła spróbować cawlem. Poruszała się powoli i nieudolnie, coraz bardziej opadając z sił, ale przynajmniej posuwała się naprzód.

Gdy dotarła na miejsce, Jake już na nią czekał, oparty o odwrócone do góry dno łodzi. Złapał Becky i przyciągnął ją do siebie.

- Chodź, uchwyc się dna łodzi - powiedział, ciężko dysząc. -

Nareszcie dopisało nam trochę szczęścia.

- Ty to nazywasz szczęściem? - mruknęła Becky. Jake popatrzył na nią zdziwiony i natychmiast wyjaśnił:

- Znajdujemy się na dość płytkiej wodzie i jesteśmy tak mokrzy, jak jest to w tej sytuacji potrzebne. Przepchniemy tę łódź, w takim stanie jak teraz, na drugą stronę cypla. Jeśli tylko uda nam się opłynąć Salter's Point, wiatr będzie wiał w odwrotnym kierunku, a my spokojnie możemy czekać, aż nadejdzie pomoc. A teraz pomóż mi.

Becky przesunęła się na rufę i zaczęła pchać ze wszystkich sił, podczas gdy Jake uczeplił się dziobu łodzi i zaczął ją ciągnąć za sobą. Gdy tylko udało mu się obrać wyznaczony kierunek, dołączył do Becky na rufie. Na jego komendę musieli dwukrotnie chronić się pod łodzią. Tam, dzięki niewielkiej poduszce powietrza, mogli swobodnie oddychać, kiedy nad ich głowami przelatowały, niczym śmiertelne pociski, płonące drewno i gałęzie.

Becky, która po niedawno przebytej malarii wciąż jeszcze nie doszła do siebie, szybko opadała z sił, choć robiła wszystko, by tego nie okazać. Ilekroć Jake podpływał do niej, starała się jak najmocniej poruszać nogami w wodzie. Nie na wiele to się jednak zdało. Gdy po chwili Jake ponownie podpłynął na rufę, Becky tam nie było. Poczul, jak ogarnia go panika. Na szczęście szybko dostrzegł ją, dobre trzy metry za łodzią. Twarzą w dół, leżała nieruchomo na wodzie.

- O mój Boże - jęknął. - Becky! - Kilkoma mocnymi ruchami ramion pokonał dzielącą go od dziewczyny odległość, przewrócił ją na plecy i zaczął holować w stronę łodzi. Następnie niemal nadludzkim wysiłkiem podniósł Becky do góry i ułożył ją na płaskim dnie odwróconej łodzi. Nie zważając na własne obrażenia, sprawdził tylko, czy nie dławi się językiem, po czym zaczął ją ratować metodą usta-usta.

Od strony wyspy wciąż nadlatywały płonące pociski. Te, które spadały w pobliżu, po prostu ignorował, te, które zmierzały bezpośrednio w ich kierunku odrzucał siłą swego przedramienia. Przez cały czas tłoczył powietrze do jej płuc... wdech... wydech... wdech... wydech. Wreszcie Becky wydała z siebie głuchy jęk i sama zassała łyk powietrza. Z wysiłkiem przewróciła się na bok i z wymiotowała większość połkniętej wody. Potem ponownie wzięła z trudem głęboki wdech, by wreszcie zacząć oddychać miarowo, pełną piersią.

Jake przykucnął u jej stóp. Na jego twarzy malowało się głębokie napięcie, które nie zniknęło, dopóki Becky nie wydała z siebie pierwszego dźwięku. W jednej chwili znalazł się przy jej głowie.

- Becky - szepnął.

- Już... już w porządku. Nic mi nie jest - powiedziała cichutko, a jej ręka powędrowała powoli po drewnianych deskach i dotknęła jego dłoni. Jake przykrył jej długie smukłe palce swoją wielką dłonią.

- Dzięki Bogu - mruknął. Siedzieli tak przez kilka minut, on rozglądając się, czy nie nadlatuje kolejna pochodnia, ona odpoczywając i czerpiąc nowe siły.

- Becky - powiedział wreszcie Jake. - Muszę się do czegoś przyznać.

- Tak? Prędzej czy później wszyscy przyznajemy się do czegoś.

- Chodzi o ciebie i o Mavis. Ta kobieta prześladowuje mnie już od dłuższego czasu. Zupełnie nie wiedziałem, jak się jej pozbyć, więc posłużyłem się tobą, licząc na to, że to ją zniechęci.

- I to wszystko? - Becky westchnęła. - Nie powiedziałeś mi nic nowego. Najbardziej zniechęciły ją surowe warunki życia. A ja i tak przez cały czas wiedziałam, co zamierzasz. Nie masz się więc czym przejmować.

Słyszając to, Jake odetchnął z ulgą. Nie zauważył, ile wysiłku kosztowało ją to beztrioskie wyznanie i jak bardzo wewnętrznie była poruszona. Nie do końca to sobie uświadamiając, doktor Rebecca Latimore w ciągu ostatnich dni przeszła swoistą metamorfozę. Tak jak niegdyś medycyna, nauka, próbówki i głośnie operacje stanowiły o treści jej życia, tak teraz stały się nimi sielskie krajobrazy, dzieci i mężczyzna, który wracałby do nich po pracy do domu. Pragnęła, by tym mężczyzną był nikt inny tylko Jake. Kiedy wreszcie, rozżalona, wybuchnęła płaczem, Jake przypisał to wpływowi gryzącego dymu. Dym zresztą rychło zapędził ich z powrotem do wody i do odwróconej łodzi, gdzie mogli w miarę spokojnie oddychać.

Kiedy się ponownie wychylili, Becky zdążyła wziąć się w garść i zapanować nad emocjami. Pochłonięta własnymi myślami nie zauważyła nadlatującej płonącej szczapy drewna. Uderzenie nie było nawet takie mocne, gdyż przeszło bokiem. Dopiero gdy Jake z ostrzegawczym krzykiem rzucił się na nią i siłą wdusił pod wodę, zorientowała się, że jej włosy stanęły w płomieniach. Wypłynęła na powierzchnię, z trudem łapiąc oddech. Z jej pięknych, długich loków pozostały tylko smętne resztki. Widząc to Jake jęknął.

- Bardzo cię boli?

- Nie! - odpowiedziała ze łzami w oczach. I choć Jake domyślił się, że kłamie, nie mógł przecież wiedzieć, że jest to płacz nie tyle z

bólu, ile z żalu nad utraconymi marzeniami, utraconą dumą, utraconą miłością. Przytulił ją mocno do siebie, nie wiedząc, że tylko pogarsza całą sprawę. Wtedy właśnie oboje dostrzegli płynącą w ich stronę parę rysiów.

- Pozwólmy im się schować! - krzyknęła Becky do Jake'a. - One szukają tylko schronienia. Nic nam nie zrobią.

- Naczytałaś się zbyt wiele głupich książek - warknął Jake. - Wiem, że szukają schronienia. I z pewnością nic nam nie zrobią... tak długo, dopóki nie staniemy na drodze ich własnego bezpieczeństwa. W całej okolicy jest tylko jedna, jedyna łódź. Gdzie więc będą mogli się schować? Poza tym już teraz są śmiertelnie przerażone, więc jak myślisz, co zrobią? Wiem, że wyglądają słodko i niewinnie, ale to tylko pozory, a my nie mamy czym się bronić. Chodź, zmywamy się stąd!

Becky niechętnie podążyła za nim. Była zbyt zmęczona i zbyt przygnębiona, by czymś jeszcze się przejmować. W gruncie rzeczy było jej wszystko jedno, jak zachowają się rysie. Gdy tylko oderwali się od łodzi, Jake natychmiast zorientował się, że Becky jest u kresu wytrzymałości. Nawet nie zaprotestowała, gdy odwrócił ją na plecy, przeciągnął jej rękę pod brodą i odpychając się tylko jedną wolną ręką zaczął holować ją w stronę stałego lądu.

Była nieprzytomna, ale oddychała, gdy stanęli wreszcie na płyciźnie, prawie dokładnie w tym samym miejscu, z którego wyruszyli. Płomień zarzył się jeszcze tylko tu i ówdzie, zelżał też wiatr. Powietrze znacznie się ochłodziło. Jake ostrożnie ułożył Becky górną częścią ciała na piaszczystym brzegu. Uważnie skontrolował jej

oddech, po czym usiadł obok. Dopiero teraz zauważył rozległe poparzenie na swojej prawej ręce. Wzruszył ramionami i postanowił zostawić sprawy swojemu biegowi.

Tymczasem na lotnisku Logana w Bostonie panowało, delikatnie mówiąc, niezłe zamieszanie. Walka z ogniem rozgrywała się wprawdzie o setki kilometrów stąd, w najbardziej skrajnie położonej części stanu, a mimo to w stronę lądowiska zmierzały aż dwie mające coś wspólnego z ogniem maszyny, wysyłając uprzednio sygnał SOS. Stareńki, rozklekotany helikopter, pilotowany przez Elmera, zameldował się kontroli lotów dziesięć minut temu. Dwie karetki pogotowia i straż pożarna czekały przed hangarem numer cztery.

Drugie wezwanie o pomoc spadło na wszystkich jak grom z jasnego nieba. Lecący planowo z Wysp Bermudzkich prywatny samolot odrzutowy, po kilku godzinach niczym nie zakłóconego lotu nadał sygnał, jakiego obawia się każdy kontroler lotów: „Mayday, Mayday, tu samolot dyrektorski Latimore sześć. Mamy pożar silników!”.

Przez moment na wieży zapanowała panika, ale szybko zmieniono harmonogram lądowań i z szóstego miejsca w kolejności do lądowania „Latimore sześć” wysunął się natychmiast na pozycję pierwszą. W całym tym zamieszaniu nikt nie zadał sobie pytania, jakim cudem mogły stanąć w ogniu jednocześnie oba silniki. Samolot, na szczęście, wylądował bez żadnych problemów. Silniki musiały widocznie znów zaskoczyć, gdyż pilot grzecznie podziękował za propozycję odholowania go na miejsce i sam podkołował w pobliże hangaru Korporacji Latimore'a. Życie na lotnisku powoli wracało do

normy. W ciągu najbliższych sześciu miesięcy ktoś z pewnością zechce zadać pilotowi kilka pytań, ale było to coś, o co przyjdzie martwić się dopiero w długie spokojne noce, gdy nie ma ruchu na lotnisku.

Tymczasem wielce wzburzony Bruce Latimore naskoczył na swoją żonę, podczas gdy jego samolot kołował w stronę hangaru.

- Do diabła, Mary Kate! Nie wolno ci robić takich rzeczy! A gdyby w tym samym czasie ktoś naprawdę wzywał pomocy? Przez ciebie mogę stracić licencję pilota.

- Spójrz na ten helikopter - odparła jego żona. - Jest wystarczająco stary, by uczestniczyć w paradzie z okazji święta narodowego. Zatrzymaj wreszcie ten przeklęty samolot. Słyszysz? Proszę cię!

- Mary Kate. Nie prosz mnie o rzeczy niemożliwe. Uspokój się. Jeszcze tylko minutka. - Obrzucił ją uspokajającym spojrzeniem, ale ona wyglądała jakby miała za chwilę eksplodować.

- Bruce Latimore! - wrzasnęła, przekrzykując hałas silnika. - Przez ponad dziesięć lat chuchałam i dmuchałam na ciebie i byłam ci posłuszna, ale zrozum, tam są moje dzieci! Nie będę beczynn timer siedzieć, podczas gdy ty spokojnie przestrzegasz jakichś głupich instrukcji. Słyszałaś co powiedziałam?

- Uspokój się, Mary Kate. To także moje dzieci.

- Jestem spokojna. Od dzisiaj śpisz na kanapie w salonie.

Na takie dictum Bruce'owi Latimore'owi nie pozostało nic innego, jak tylko wcisnąć hamulce. Z przeraźliwym piskiem opon samolot zatrzymał się jakieś sześćdziesiąt metrów od helikoptera.

Personel medyczny odpinał właśnie z fotela nieprzytomną Mavis Pell. Mary Kate Latimore odczekała tylko, aż rozłożą się schodki odrzutowca, po czym zbiegła po nich w dół i ruszyła pędem w stronę helikoptera.

- No i co, nie mówiłam wam? To moja mama - oznajmiła dumnie Faith ludziom z personelu naziemnego, którzy starali się oswobodzić ją z krępujących więzów. Następnie zerwała się i rzuciła w stronę nadbiegającej matki.

- Ciekawe, czym tak nafaszerowano tę laleczkę - usiłował dowiedzieć się lekarz od pilota helikoptera.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Elmer. - Podobno wpadła w histerię, czy coś takiego. Lekarka przytwierdziła jej do nadgarstka jakąś karteczkę.

- Jest - oznajmił jeden z asystentów lekarza. - Chłopaki, nie ma pośpiechu. Będzie spała jeszcze przez co najmniej kilka godzin.

- Świetnie. A teraz wynoście się stąd wreszcie - parsknął Elmer. - Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale wiem, że powinienem się stąd zmywać. - Pochylił się, by wcisnąć guzik zapłonu, ale nim to zrobił, Mary Kate napadła na niego.

- Elmer! Gdzie jest moja Becky? Zostawiłeś ją na pastwę ognia?

- Nie miałem wyboru, pani Latimore. Nie miałem nic do gadania. Gdy dotarłem na miejsce, po prostu poinformowała mnie kogo mam zabrać. Gdy próbowałem protestować, powiedziała mi, że bym się wypchał. Co mogłem na to poradzić?

- Rozumiem. Becky jest uparta jak osioł, prawie tak samo jak jej... Powiedz mi, czy ta kupa złomu może zabrać nas tam z powrotem?

- Bo ja wiem? Nie jest to najszybszy środek lokomocji. Zresztą silniki wyją tak, jakby pilnie potrzebowały remontu generalnego.

- Mamy tu coś innego, czym można by polecieć?

- Wie pani, nie chciałbym angażować się znowu w jakieś dzikie eskapady. Wystarczy mi ta jedna. Proszę jednak spojrzeć tam, przed siebie. Czy to nie ta nowa awionetka, którą firma zakupiła jakieś dwa tygodnie temu? Jest naprawdę szybka. Tylko...

- Tylko co?

- Nie jestem pewien, czy uda nam się nią wylądować. Chyba że przejaśniło się na tyle, że będzie coś widać i znajdę miejsce do lądowania.

- Jakie mamy szanse, Elmer?

- Pani mnie o to pyta?

- Tak, pana. Charlie Riley powiedział mi, że jest pan naszym najlepszym pilotem. A więc?

- No cóż... co ja mogę pani powiedzieć? Wie pani już o tym, że Riley dostał zawału serca, gdy dowiedział się że Becky została?

- Tak, wiem. Rozmawialiśmy z centrum operacyjnym. Zabrali go do Centralnego Szpitala stanu Massachusetts... Boże, jest tyle spraw do załatwienia! Muszę usiąść na chwilę i spokojnie się zastanowić. - Powiedziawszy to, Mary Kate usiadła na płozie i przymknęła oczy. W tej samej chwili Faith dostrzegła wysiadającego z samolotu ojca i rzuciła się w jego kierunku.

- Witam, młoda damo! Co słyhać? - spytał, chwycił ją do góry i dwa razy okręcił wokół siebie.

Jego dziewięcioletnia córeczka podsumowała wydarzenia tego dnia na swój własny, dziecięcy sposób.

- Becky nie mogła z nami polecieć, mama płacze, a wujek Charlie rozchorował się.

- Tak, wiem - odpowiedział Bruce Latimore, wziął dziecko na ręce, zaniósł je do helikoptera i posadził na płozie obok matki. Mary Kate popatrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem i smutno pokiwała głową.

- Wydostaniemy ją stamtąd, Bruce, prawda?

- Oczywiście, moja droga. Nagle jej oczy załśniły.

- Mam pomysł!

Jej mąż pokręcił głową.

- Nic z tego. Musisz się teraz zająć Faith. Powinnaś też odwiedzić w szpitalu Charliego Rileya.

- A ty ruszysz na poszukiwanie Becky? Wszystko w swoim czasie. Musimy się dobrze przygotować. Wierz mi, to jedyna rozsądna rzecz, jaką możemy w tej chwili zrobić.

- Ale ja nie chcę być rozsądna, chcę ratować Becky! Muszę coś zrobić!

- Spokojnie, tylko spokojnie. Zaraz coś wymyślimy. A teraz jedź do szpitala. Elmer cię zawiezie. Tymczasem ja pojedę do firmy i zajmę się wszystkim.

- Skoro tak uważasz, Bruce.

Już po jej wyjściu Bruce Latimore uświadomił sobie, że jego żona była niespodziewanie posłuszna. Wzruszył ramionami, licząc na to, że Mary Kate wykaże się rozsądkiem. Wsiadł do swojej limuzyny, która bezszelestnie wyjechała zza rogu hangaru.

- Do centrum operacyjnego - poleciał, opadając na miękkie poduszki. Musiał się spokojnie zastanowić.

Była prawie piąta, gdy wysiadł z windy i wszedł do tonącego w półmroku pomieszczenia. Jeden ze starszych programistów, na oko czterdziestolatek, podbiegł do niego z najnowszymi raportami.

- Widzę, że stan Charliego Rileya jest w miarę zadowalający?

- Tak, proszę pana. Są to dane sprzed trzydziestu minut. Lekarz poinformował nas, że cały czas był przytomny, ale niezwykle czymś zaniepokojony. Uspokoił się dopiero po rozmowie z pańską małżonką. Od tego czasu jego stan wyraźnie się poprawił.

- To dobrze. A teraz proszę mi powiedzieć, jak stoimy z helikopterami w zachodniej części stanu?

- Za około dwie godziny policja stanowa zwolni dwie z naszych sześćoosobowych maszyn. Są gotowi odstawić je nam do Northampton.

- Northampton? Mają tam, zdaje się, lotnisko, które przyjmuje we wszelkich warunkach pogodowych?

- Tak, proszę pana.

- A co się dzieje nad Lake Mohawk?

- Ogień wciąż szaleje wokół jeziora, sir. Nad całą okolicą unosi się gęsta warstwa dymu. Widoczność jest praktycznie równa zero.

- Ale Elmer był tam już wcześniej?

- Tak, proszę pana.

- Chcę, by oba helikoptery skierowano do Northampton - oznajmił Bruce. - Zatankowane i odpowiednio przygotowane mają tam na mnie czekać. Natomiast na lotnisku Logan za, powiedzmy, pół godziny, proszę podstawić dwusilnikowy samolot, który zabierze mnie i Elmera do Northampton. Teraz zaś proszę połączyć mnie z moją żoną. - Wydawszy dyspozycje odwrócił się tyłem do młodszego mężczyzny i milcząco wpatrywał się w okno. Czekanie nie przychodziło mu łatwo. Nigdy nie należał do cierpliwych. Było tak od czasu, gdy spotkał i poślubił Mary Kate.

Głos zza jego pleców był przytłumiony i niepewny.

- Panie Latimore... nie jesteśmy w stanie odszukać pańskiej żony. Podobno po rozmowie z panem Rileyem, gdy tylko zasnęła, wyszła.

Bruce machnął ręką, ale czuł przez skórę, że umyka mu coś niezwykle istotnego.

-Prawdopodobnie pojechała do domu - odrzekł nie odwracając się. - Na wszelki wypadek proszę skontaktować mnie z państwem Chase. To mój pasierb i jego żona. Ich numer telefonu jest z pewnością w naszym komputerze. - Ponownie zaczął wyglądać przez okno i obserwował krążące wśród wieżowców stadko mew.

- Proszę pana. Pan Henry Chase na linii.

- Halo, Henry? Mówi Bruce.

- Słucham cię, Bruce. Coś ty znowu wymyślił? Jakies trzy kwadransy temu Mary Kate rozmawiała z moją żoną, po czym ta

wybiegła stąd bez słowa, pozostawiając mnie z dwójką moich własnych i z dwójką twoich dzieci.

- Powtórz to jeszcze raz, Henry. Mówisz, że nie ma u ciebie ani Mary Kate, ani Anny? Co, do diabła, tam się dzieje?

- Słuchaj, nie zapominaj, że to ty się z nią ożeniłeś! - zarechotał młodszy mężczyzna. - Była wyśmienitą macochą, póki ty się nie pojawiłeś i nie poślubiłeś jej. Z tego, co się zorientowałem, Anna wzięła mój najlepszy samochód i pojechała nim do Hiltona, który, jak zapewne wiesz, znajduje się w Bostonie. Ma stamtąd zabrać jeszcze jedno twoje dziecko, przywieźć je do nas i czekać na dalsze instrukcje. No, a teraz twoja kolej.

-Henry, przysięgam, że w najbliższych dniach... nie, pewnie nie zrobię tego. Spróbowałem raz i potrzebowałem później kilku miesięcy, by dojechać do siebie. Nie mam zielonego pojęcia, co się dzieje. Wiem tylko, że Becky... słyszałeś o Becky?

- Tak, słyszałem. Gdybym był na twoim miejscu, zastanowiłbym się, czy Mary Kate nie zamierza czegoś w tej sprawie zrobić.

- Nie żartuj. Gdyby coś ci przyszło do głowy... do diabła! Nie sądzisz chyba, że odważyłaby się... Zadzwoń później. Cześć.

Bruce rzucił słuchawkę i z trudem hamując gniew, zwrócił się do swego asystenta.

- Proszę natychmiast sprawdzić, czy w ciągu ostatnich dwóch godzin nie wystartował niespodziewanie któryś z naszych samolotów!

Asystent poczuł, jak ciarki chodzą mu po plecach. Trzęsąc się ze zdenerwowania, milcząco podszedł do klawiatury komputera i wystukał pytanie.

Na ekranie pojawiła się cała tabela cyfr. Korporacja Budowlana Latimore'a, której zakres działania rozciągał się niemal na cały świat, dysponowała własnym, ogromnym parkiem lotniczym. Jeden po drugim pojawiały się na ekranie numery rozpoznawcze poszczególnych samolotów, zielone cyfry na czarnym tle, najdziwniejsze imiona własne, równie dziwne nazwy portów docelowych.

- Mamy go! To ten! - mruknął Bruce Latimore, a człowiek obsługujący komputer natychmiast zatrzymał obraz, cofnął go nieco i ponownie zatrzymał na żądanej informacji.

- Cessna, numer 16782, start z lotniska w Bostonie. Brak planu lotu. Przygotowana do ratownictwa wodnego, wyposażona w pontony i boczny radar. Dysponent: pani Mary Kate Latimore. Pilot: Elmer Stanciewicz.

- Wielkie nieba! - mruknął Bruce, wyskakując z krzesła jakby go ktoś uszczypnął. - Kiedy?

- Prawie godzinę temu.

Bruce Latimore zabębnił palcami po blacie stołu i spytał:

- Jak prędko mogę znaleźć się w powietrzu?

Asystent dokładnie sprawdził czas.

- Samolot jest już gotowy, proszę pana. Pytanie, jak prędko uda nam się dostarczyć pana na lotnisko Logan. Niestety, zaczęła się już wieczorna pora szczytu.

- W porządku. Ruszam natychmiast. Proszę podstawić samolot, no i znaleźć mi jakiegoś innego pilota. - Powiedziawszy to wstał z

krzesła, przeciągnął się, przeszedł dwa kroki, po czym stanął i zrobił coś, co czyniło go tak lubianym wśród pracowników korporacji.

- Henzman - powiedział z zadumą, potrząsając głową - nie znam gorszej kombinacji niż żona Irlandka i polski pilot. Unikaj ich, jeśli tylko możesz! - Poklepał młodego człowieka po plecach i ruszył w kierunku drzwi.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Becky leżała nieruchomo na piasku, jak pogrążona w letargu. Po tym, co przeżyli, miała wszystkiego serdecznie dosyć. Jake wyciągnął się obok niej i również milczał.

Raptem uświadomiła sobie, iż leżą koło siebie półnaczy, niczym Adam i Ewa. On w resztkach swych wytartych dżinsów, ona okryta raptem skrawkami bluzki i spodni. Mimo to oboje nie przejmowali się tym, a ona nie odczuwała nawet wstydu. Spojrzała w stronę łądu. Ogień po tej stronie jeziora znacznie zmalął. Jedynie na krawędzi skalnych ustępów wybuchał jeszcze tu i ówdzie. Zewsząd otaczał ich gryzący dym, co utrudniało normalne oddychanie. Becky sięgnęła leniwie po nasączoną wodą resztkę swojej bluzki i przykryła nią oczy i usta. Jake nawet nie drgnął. Pomyślała z żalem, że leżący obok niej mężczyzna w ogóle nie zauważa w niej kobiety.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami i wbiła wzrok w tafłę jeziora. Powłoka dymu zdążyła już unieść się na ponad trzy metry. Zauważyła, jak para znajomych rysiów opuszcza łódkę i płynie z powrotem do brzegu. Z oddali doszedł ją stłumiony huk eksplodującego drzewa. Teraz, gdy ich życiu nie zagrażało już niebezpieczeństwo, odgłosy te wydawały się jej mniej groźne.

- Jake?

Dopiero po dłuższej chwili Jake odwrócił głowę w jej stronę i mruknął coś pod nosem.

- Jake, uratowałeś mi życie. - Nie podziękowała, po prostu stwierdziła suchy fakt. - Jakim cudem tak dużo wiesz na temat tego, jak ratować się z opresji?

Jake ziewnął. Nie wiedziała, czy chce uniknąć odpowiedzi, czy naprawdę jest zmęczony.

- Powiedz coś - nalegała.

- Gdy byłem nieco młodszy, przydzielono mnie w wojsku do jednostki sił specjalnych, wyspecjalizowanej w technikach przetrwania. Od tamtej pory minęło wprawdzie wiele lat, ale takich rzeczy się nie zapomina.

- Czy o tym właśnie traktuje twoja książka? O przetrwaniu?

- Ależ skąd! - prychnął i ponownie zamilkł. Jednakże Becky nie dała się tak szybko zniechęcić.

- Jake! Muszę z kimś porozmawiać, inaczej zwariuję!

- Nie żartuj - powiedział. - Nie pamiętam, bym kiedykolwiek widział równie dzielną kobietę. W wojsku mawialiśmy, że aby poznać żołnierza, trzeba zobaczyć jak strzela. Ty, Becky Latimore, przeszłaś swój chrzest bojowy. Ale jeśli chcesz pogadać, to bardzo proszę. Chętnie cię posłucham.

Teraz, gdy wreszcie okazał jej zainteresowanie, opuściła ją początkowa odwaga. Onieśmielona podciągnęła do góry kolana i objęła je ramionami.

- Ja... jestem ci bardzo wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłeś - szepnęła. Boże, pomyślała, w jaki sposób można ofiarować się mężczyźnie?! - Powiedz, jak mogę ci się za to odwdziżyć. Jestem gotowa spełnić każde twoje życzenie. Dosłownie każde.

- No cóż, jest c o ś, co mogłabyś dla mnie zrobić - roześmiał się Jake.

Jego śmiech mocno ją zaskoczył.

- Powiedz tylko, a postaram się to zrobić.

- Jesteś lekarzem - stwierdził - a ja przysmałem sobie rękę.

Mogłabyś rzucić na to okiem?

Mój Boże, pomyślała Becky wstając z trudem. A już myślałam... Spojrzała na jego ramię. To, co zobaczyła, kazało jej zapomnieć o wszystkim. Na rękę, którą odrzucał płonące pochodnie, miał ogromne bąble. Niektóre zdążyły już popękać. Becky jęknęła.

- Boże, to straszne! A ja zgubiłam gdzieś torbę lekarską.

- Nie przejmuj się - roześmiał się Jake. Becky podziwiała, że mimo potwornego bólu, jaki musiał odczuwać w całym ciele, potrafił się jeszcze śmiać. W duchu dziękowała Bogu, że w trudnych chwilach zesłał jej takiego opiekuna. Jake usiadł i uważnie rozejrzał się wokół.

- Tam - wskazał ręką. - Lilie wodne, wodorosty, cokolwiek takiego. Zrób z nich okład.

- Tak, oczywiście - odparła Becky. Jej ciało sprzeciwiało się najmniejszemu wysiłkowi, ale zmusiła się, by wstać. Kilkadziesiąt metrów wzdłuż brzegu wydawało się jej odległością nie do pokonania, ale dotarła wreszcie na miejsce. Delikatnie zgmiotła w rękę wodne rośliny. Drżącymi rękami przygotowała z nich okłady. Nie wiedziała tylko, czym je przymocować.

- Nie patrz teraz - poleciła wesoło Jake'owi, drąc resztki swojej bluzki na wąskie paski.

- Dobrze, nie będę - obiecał i dotrzymał słowa. Bandażowanie ran zajęło jej ponad godzinę, ale okłady przyniosły mu dużą ulgę. Skończywszy, delikatnie pocałowała go w czubek głowy i opadła tuż obok niego na piasek.

- Zapomniałam też o walizeczce z przyborami do makijażu - zażartowała, choć daleko jej było do śmiechu.

- Czy twój zegarek jeszcze chodzi? - spytał Jake, konsekwentnie unikając patrzenia na nią.

- Tak, już prawie szósta.

- Szósta - powiedział Jake łagodnie. - Gdzie wobec tego jest twoja mama?

- Gdzie jest moja mama? Masz na myśli nasz zakład? Nie mów hop, mój dobry człowieku. Nie znasz kobiet z plemienia Latimore'ów. Do zmierzchu zostało jeszcze kilka godzin.

- Ja cię wcale nie poganiam - zachichotał Jake. - Jestem więcej niż pewien, że wygram. Nie wygląda na to, że dzisiaj jeszcze ktoś przyleci. Prawdopodobnie dopiero jutro.

- Tak - westchnęła Becky. - Może jutro. Jake? - odezwała się po chwili.

-Tak?

-Wiem, że to osobiste pytanie, ale... Myślałeś kiedyś o tym, żeby się ożenić?

- Pewnie, że myślałem. Ale bardzo szybko zrezygnowałem. Bo i niby dlaczego miałbym unieszczęśliwiać jedną kobietę, skoro mogę uszczęśliwić wiele?

- Widzę, że nie grzeszysz skromnością.

- Pewnie masz rację - odparł, wpatrując się w odległe wierzchołki gór i starannie unikając patrzenia na jej półnagie ciało.

- Wydaje mi się, że niejedna dziewczyna mogłaby się bardzo szybko w tobie zakochać, Jake.

- Niejedna?

- Pewnie. Oczywiście z wyjątkiem tu obecnej.

- Ach, no tak, oczywiście. Ty złożysz siebie na ołtarzu chirurgii, prawda? Będziesz łamać kości, składać żebra, a wszystko to dla dobra ludzkości i dla stu tysięcy dolarów rocznie.

- Przestań się ze mnie nabijać! - odparła ze złością Becky. - Nie chodzi mi wcale o pieniądze. Doskonale wiesz, że ich nie potrzebuję!

- Czyżbyś posiadała pięćdziesiąt procent udziałów w przedsiębiorstwie twojego ojca?

- Nic z tego! Tylko pięć, i to też na spółkę z Mattie.

- No, no. - Pokiwał głową Jake, uznając temat za zamknięty.

Becky nie chciała jednak, by znów zamilkł. Jeden z okładów poluzował się nieco. Poprawiła bandażę i nagle poczuła, że nie jest w stanie oderwać ręki od jego ramienia. Jake nawet tego nie zauważył, gdyż od jakiegoś czasu coś zaprzętało jego myśli.

- Becky - odezwał się wreszcie. - Jest coś takiego w wojnie, czego kobiety, dzięki Bogu, nie muszą nigdy doświadczać.

Popatrzyła na niego uważnie, ale nie odezwała się.

- Kiedy idziesz w ogień walki - ciągnął dalej - idziesz tam jako zespół. Bardzo szybko bowiem ktoś, kogo nigdy wcześniej nie znałeś, staje się gwarantem twojego życia.

- No i...? - Wiedziała, do czego zmierza. Mówił o braterstwie broni, o przyjaźni weteranów wojny. Ludzie, którym stale towarzyszyła śmierć, dziesiątkująca ich szeregi na chybił trafił, stawali się sobie bliżsi niż ktokolwiek inny na świecie.

Widać było, że starał się dobierać słowa.

- Jest to coś, co zdarza się tylko raz albo nie zdarza wcale - powiedział cicho. - Ale...

-Ale?

- Ale nigdy nie myślałem, że może się to zdarzyć między mężczyzną i kobietą.

- Między mężczyzną i...? - Jej pytanie, nie dokończone, zawisło w próżni, gdyż nad północną częścią jeziora, pośród kłębiastych chmur dymu, pojawił się nagle mały, błyszczący, czerwono-biały samolocik. Lecąc poniżej warstwy dymu, a powyżej pożaru, skierował się prosto w ich stronę. Nagle zakołysał skrzydłami i gwałtownie wyrwał w górę, znikając ponownie w kłębach dymu.

- Co to było? - spytała Becky zupełnie oszołomiona.

- Poddaję się - roześmiał się Jake. - Mógł to być orzeł albo nawet i kondor, ale był to, nie da się ukryć, samolot z napisem LATIMORE CONSTRUCTION na burcie. Zdaje się, że przyleciała po nas twoja mama?

Ponownie usłyszeli warkot silników, ale tym razem wyraźnie było słyhać, że samolot zwolnił. Aż wreszcie, warcząc i turkocząc, pojawił się nad najdalszym krańcem jeziora i zaczął podchodzić do lądowania.

- Mój Boże! - jęknął Jake. - Co za idioci! Zamierzają lądować na jeziorze!

- A co w tym takiego dziwnego? - spytała Becky.

- Po to przecież są pontony!

- Zaraz się przekonasz - odparł Jake. - Jezioro jest teraz pełne zwęglonych pniaków i gałęzi. Spójrz, ten głupek naprawdę zamierza siadać na wodzie! Pomyślałby kto, że ląduje na młyńskim stawie. Delikatnym i gładkim jak pupcia niemowlaka... Tylko dlaczego tak zamiata ogonem?

Odpowiedź przyszła natychmiast. Samolot próbował ominąć jakąś przeszkodę. Był już nie dalej niż jakieś sto metrów od nich, kiedy usłyszeli pierwszy zgrzyt i trzask - zapewne uderzył w jakiś przedmiot na wodzie. Maszyna określiła się wokół własnej osi i stanęła w miejscu. Zgasły silniki i tylko światła nawigacyjne migotały zimnym światłem.

Prawie natychmiast uszkodzony ponton zaczął się napełniać wodą, a jej ciężar nieubłaganie przechylał maszynę do przodu, nosem w dół. Samolot tonął.

Jake gwałtownie zerwał się na równe nogi.

- Mam nadzieję, że ci durnie mają dość zdrowego rozsądku...

W tej samej chwili z głośnym plaśnięciem otworzyły się drzwi kabiny i na wodę wyleciała pomarańczowa gumowa tratwa ratunkowa, która zaczęła szybko napełniać się powietrzem. Z kokpitu poleciało do łodzi kilka luźnych paczek. Dopiero wtedy na kołyszącą się na wodzie tratwę zeskoczył jakiś mężczyzna i pomógł zejść ze skrzydła samolotu małej, filigranowej kobiecie. Następnie siadł do

wioseł i zaczął wiosłować w stronę brzegu. Becky położyła rękę na ramieniu Jake'a.

- Co ty na to? - spytała chichocząc nerwowo. - Powinnam teraz powiedzieć: a nie mówiłam? - Zerknęła na zegarek. - Jest dwadzieścia minut po siódmej, panie Meadows. Możesz teraz usiąść i spokojnie poczekać! Oddział Piechoty Morskiej wylądował! W każdym razie wylądowali mama i Elmer!

Niecałą godzinę później całe towarzystwo skupiło się wokół niewielkiego, rozpalonego przez Elmera ogniska. Ogień tlił się już tylko miejscami i generalnie rzecz biorąc było po pożarze. Becky po raz kolejny sprawdziła świeże opatrunki Jake'a. Jej mama dopilnowała, by jedną z pierwszych rzeczy, jakie zostały zabrane z samolotu, była duża i dobrze zaopatrzona torba lekarska. Wodorosty zostały zastąpione jałowymi opatrunkami. Gdy tylko tratwa przybiła do brzegu, Becky rzuciła się w ramiona swojej matki. Znacznie górowała nad nią wzrostem, ale przy kobiecie, którą wprost ubóstwiała, czuła się mała i bezbronna.

- Ach, mammo! Moja mammo! - zawołała.

- To była dla nas wszystkich długa podróż, Becky. Mam nadzieję, że z tobą wszystko w porządku? Powiedz mi, jak to się dzieje, że ile razy widzę cię w towarzystwie tego mężczyzny, jesteś prawie naga?

- To długa historia - odparła Becky.

- Zanim ją zaczniesz opowiadać, włóż to - zaproponowała Mary Kate, wręczając jej płaszcz przeciwdeszczowy. - Nie wiem, dlaczego akurat to z sobą zabrałam, ale jest jak jest. A teraz opowiadaj.

Becky z przejęciem relacjonowała wydarzenia mijającego dnia. Gdy skończyła, zapadła cisza.

- Trzeba ci przyznać, że masz za sobą popisowe lądowanie - zagaił wreszcie Jake.

- No cóż - powiedział z uśmiechem Elmer - widywałem już lepsze. Ale abstrahując od wszystkiego, było to faktycznie całkiem niezłe lądowanie. Wyobrażam sobie minę Bruce'a, gdy ujrzy swoje maleństwo w takim stanie. Dziewiczy lot, a tu masz, od razu rozwalone! Wspomnicie moje słowa, oj, da on nam jeszcze popalić!

- Daj spokój - powiedziała Mary Kate. - To ja jestem za to odpowiedzialna. Co do ciebie natomiast, Becky, muszę powiedzieć, że postąpiłaś bardzo odważnie, odsyłając do domu tę, jak jej tam, Mavis. Dziękuję również panu, panie Meadows, za zajęcie się moim pisklęciem, zresztą ze szkodą dla własnego zdrowia, jak widzę.

- To nic takiego, proszę pani - mruknął Jake. - A poza tym, miałem przy sobie osobistego lekarza, prawda? Jest natomiast coś, o czym chciałbym z panią porozmawiać w cztery oczy, jeśli...

Cokolwiek to było, musiało na razie poczekać. W połowie zdania bowiem, Jake, pozbawiony nagle ciężaru odpowiedzialności za nich oboje, niespodziewanie osunął się na ziemię.

- To szok - oznajmiła Becky. - Elmer, musimy rozbić namiot i ułożyć w nim Jake'a. On potrzebuje teraz jak najwięcej ciepła.

Minęło prawie pół godziny, zanim Becky opuściła namiot swego pacjenta i zasiadła przy ognisku z mamą i Elmerem.

- Zasnął wreszcie. No, najgorsze mamy chyba już za sobą - roześmiała się z ulgą. - Widzę, mam, że coś cię jeszcze martwi - zwróciła się do matki.

- Obawiam się, że to jeszcze nie koniec - odparła Mary Kate z troską w głosie. - Zakończyła się część przygodowa, ale ktoś będzie przecież musiał wyjaśnić wszystko twojemu ojcu. Mam zresztą wrażenie, że to mnie spotka ten przywilej. Elmer, czy udało ci się już uruchomić przenośną radiostację?

- Jeszcze chwila - odpowiedział pilot. - Nie wiem, czy starczy mi odwagi, by ją włączyć.

- W porządku. Jest jeszcze coś, o czym muszę powiadomić Becky. Widzisz, wujek Charlie tak bardzo przejął się tym, że nie przyleciałaś pierwszym helikopterem, że... no cóż, miał atak serca.

- Nie! Mój Boże, tylko nie wuj Charlie!

- To wszystko z nadmiaru wrażeń, kochanie. Wiesz przecież, że zawsze byłaś jego dziewczynką.

- Tak, wiem - westchnęła Becky. - Stale powtarzał, że tata ma przynajmniej ciebie i Mattie, a on nie ma nikogo. To wspomniały, oddany przyjaciel. Jak on się teraz czuje?

- Lepiej. Poinformowałam go, że nie mam czasu na wysłuchiwanie utyskiwań starego osła, gdyż muszę lecieć ratować moją małą dziewczynkę. Myślę, że to zdecydowanie podniosło go na duchu. Nie martw się, wyjdzie z tego. Tyle, że będzie mu teraz potrzeba dużo odpoczynku.

- Przynajmniej w tej mierze mogę coś dla niego zrobić - stwierdziła Becky. - Wezmę go ze sobą na farmę i tam będę się nim

opiekowała. Będziemy przesiadywać na werandzie bujając się w fotelu.

- Prędzej zwariujecie - trzeźwo oceniła pomysł matka. -

Poczekaj, może będziesz musiała dostawić jeszcze jedno krzesło dla mnie. Może mi być potrzebne.

- A to dlaczego?

- Widzisz, zdaje się, że w tym całym zamieszaniu zapomniałam powiedzieć o czymś twojemu ojcu.

- Chodzi o wujka Charliego?

- Niezupełnie. Obawiam się... widzisz, tak jak Elmer powiedział... ta kupa złomu tam, w jeziorze, była jeszcze dziś rano nowiuteńkim samolotem.

- Przecież to nieistotne. Możesz mu odkupić nawet dwa takie samoloty. W czym wobec tego tkwi prawdziwy problem? Przyznaj się, czego mu nie powiedziałaś?

- Widzisz... twój tata powiedział, bym pojechała do szpitala odwiedzić wujka Charliego, co też, oczywiście, uczyniłam. Ale... jakoś... wyleciało mi z pamięci... że lecę tu po ciebie.

- Ależ mam! Powiedz, że to nieprawda!

- Niestety, Rebecca, to prawda!

- Przecież wiesz, że on nie martwi się teraz o swoją maszynę, tylko o to, czy nie skręciłaś sobie karku? Wiesz, co ci powiem? Jesteś prawdziwą szczęściarą. Inny mężczyzna stłukłby cię na kwaśne jabłko za to, co zrobiłaś. Ciesz się, że tata się do nich nie zalicza.

- Co ty powiesz? - W głosie Kate pobrzmiwały ledwie wyczuwalne nutki hysterii. Przypomniała sobie właśnie, jak to jakieś

dziesięć lat temu mało brakowało, by Bruce Latimore przełożył ją przez kolano. Musiała wówczas użyć kilku wypróbowanych sztuczek, by odwieść go od tego zamiaru. Szybko zmieniła temat.

- Opowiedz mi teraz o twoim panu Meadowsie - poprosiła.

Becky oparła swą głowę na ramieniu matki i szepnęła:

- Nie miałabym nic przeciwko temu, by był naprawdę mój. Jest wspaniały. Dwukrotnie uratował mi życie. Wszystkie te oparzenia musiały go strasznie boleć, a on nawet nie mruknął. Ma błyskotliwy umysł i jest silny jak...

- To wszystko bardzo pięknie - musiała przyznać Mary Kate - lecz czuję, że za tym wszystkim kryje się jakieś „ale”. Czyżby był zaręczony z Mavis Pell, czy coś w tym rodzaju?

- Nie. Tak naprawdę, to on niespecjalnie za nią przepada, a zanim wybuchł pożar, to nawet... flirtował ze mną trochę...

- Jak bardzo flirtował z tobą, dziecko? Wiesz, że nie zaliczam się do tych nowoczesnych matek, których absolutnie nic nie obchodzi.

- Nic takiego się nie stało, mamó. Po prostu wygłupialiśmy się trochę i całowali, to wszystko. Nie zapomniałam, czego mnie nauczyłaś!

- Wobec tego, w czym tkwi problem?

- Tak naprawdę, to nie wiem. Jake nie ukrywa, że mu się podobam, ale twierdzi, że nie dorósł jeszcze do małżeństwa.

- Obawiam się, że na to nie ma lekarstwa. Wbrew temu, co wypisują w tych wszystkich nowoczesnych powieściach, nie tak łatwo jest złapać na haczyk zatwardziałego kawalera, jeśli on tego naprawdę

nie chce. Ale o tym porozmawiamy kiedy indziej. Nadeszła godzina sądu ostatecznego. Elmer, włącz ten nadajnik i daj mi mikrofon.

Podróż z centrum Bostonu na lotnisko Logan zajęła Bruce'owi Latimore'owi więcej czasu, niż sam przelot w poprzek całego stanu. Dopiero o siódmej dwadzieścia trzy wieczorem jego samolot okrążył górę Lenoxa i zaczął podchodzić do lądowania na lotnisku w Pittsfield. Zmiana planów nastąpiła, gdy policja stanowa zezwoliła lotnisku w Pittsfield na wznowienie ruchu pasażerskiego. Do Lake Mohawk było stąd już stosunkowo blisko. Tuż przed podejściem do lądowania Bruce Latimore gestem nakazał pilotowi chwile poczekać. Chciał zapoznać się z najnowszymi meldunkami. Sięgnął po mikrofon radia.

- Centrala Latimore, tu Latimore sześć. Odbiór.

Odpowiedź całkowicie go zaskoczyła. Niczym w wojsku, numer sześć przypisany był bezpośrednio do niego, szefa, bez względu na to, czy znajdował się w samochodzie, na łodzi czy na pokładzie samolotu. Wiedział o tym każdy pracownik.

- Latimore sześć, tu centrala. Proszę chwilę poczekać. Na tej samej częstotliwości odbieramy właśnie jakieś bardzo słabo słyszalne pilne wezwanie.

Bruce zdjął palec z przycisku mikrofonu i wskazując kciukiem do góry, nakazał pilotowi zwiększyć wysokość. Wiedział, że radio w jego samolocie jest zbyt słabe, by odebrać sygnał, o którym była mowa. Postanowił zaczekać i uzbroić się w cierpliwość. Pięć minut później usłyszał w słuchawkach:

- Latimore sześć, tu centrala, odbiór.

- Latimore sześć - mruknął - słyszę cię głośno i wyraźnie. Co się tam dzieje? Znowu jakieś kłopoty?

- Latimore sześć... hm... otrzymaliśmy właśnie pilny meldunek od Latimore pięć. Za pośrednictwem przenośnego nadajnika.

- Co takiego? No i gdzie znajduje się ta niemądra kobieta?

- Latimore sześć... mamy... mamy dla ciebie wiadomość. Mam ją przeczytać?

- Oczywiście, że tak! A jak myślałeś?

- Latimore sześć, tu centrala Latimore. Oto pełny tekst pilnej wiadomości, cytuję: „Proszę przekazać mojemu mężowi, że jego głupia żona znów to zrobiła. Nad Lake Mohawk są już cztery potrzebujące pomocy osoby. W miejscu lądowania nie ma dymu, a pożar praktycznie wygasł. Nikt nie doznał poważnych obrażeń, choć mamy rannego, któremu zimna noc może dać się we znaki". Koniec cytatu.

- Będzie im cholernie gorąco, gdy tylko tam dolecę! - warknął Bruce do mikrofonu.

- Proszę powtórzyć? - wykrztusił z siebie zdziwiony operator.

- Jeśli macie z nimi jeszcze kontakt, proszę przekazać mojej żonie, że jestem już w drodze.

Mary Kate jednak, znając aż za dobrze swojego męża, przezornie zdążyła się wyłączyć.

Była dziewiąta piętnaście, gdy dwa jasne, zbliżające się z północy światła przecięły ciemność i oświetliły cały teren mocnymi reflektorami-szperaczami. Helikopter powoli opadł na niewielkie

wzniesienie nieco powyżej ich obozowiska. Mary Kate podniosła się z miejsca i spokojnym głosem wydała polecenia.

- Becky, ty pójdziesz do namiotu, do swojego pacjenta, i tam pozostaniesz. Natomiast ty, Elmer, masz sobie pójść na długi spacer wokół jeziora. I lepiej uważaj!

- Dobrze, pani Mary - kiwnął głową Elmer. - Na co mam uważać?

- Uważaj, byś nie stracił swojej pracy. A teraz zmywaj się stąd!

Chwilę później pojawiło się dwóch sanitariuszy z noszami. Spokojnie wskazała im namiot, w którym szybko i skutecznie zabrali się do roboty. Dopiero gdy zniknęli razem z chorym i towarzyszącą mu Becky za najbliższym zakrętem, odwróciła się, by stanąć oko w oko ze swoim mężem.

- Wszystko w porządku z Becky?

- Tak. Ranny natomiast jest pan Meadows. Wygląda na to, że dość poważnie. - Cisza. Pomyślała w duchu, że przynajmniej spytał się o Becky. Być może nie będzie tak źle, jak myślała.

- Znów to zrobiłaś, Mary Kate?

- Ja... tak, Bruce. Ale dopiero drugi raz w ciągu dziesięciu lat.

Przecież to moja Becky!

-Moja również. Gdyby zaszła taka potrzeba, znów byś to zrobiła, prawda?

Mary Kate nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Wreszcie przemogła się i podniosła wzrok.

- Tak - odparła krótko; bardzo cicho i bardzo ulegle.

- Podejź do mnie! - powiedział Bruce, pokazując palcem miejsce tuż przed sobą. Uniosła głowę, wyprostowała plecy i zrobiła, co kazał.

- Zapłacę ci za samolot - oświadczyła.

- Do diabła z samolotem - szepnął jej Bruce do ucha, biorąc ją w ramiona. - Przecież to o ciebie się martwiłem, Mary Kate. Wbrew temu co uważasz, nie jesteś niezniszczalna. Co ja bym bez ciebie począł? - Mary Kate przytuliła swój chłodny policzek do jego szyi.

- A więc o to ci chodziło! - zachichotała. - Co za egoizm! Tylko o to się martwiłeś, co byś beze mnie zrobił? - Nagle przestała się śmiać. - Bruce, kochany, nie chcę byś kiedykolwiek musiał poznać, jak ci jest beze mnie. Nigdy!

- Przyznajesz więc, że ona jest również moją Becky? - spytał znów surowym tonem.

- Oczywiście, kochany. Zawsze była... przynajmniej odkąd ona i Mattie zmusiły nas do tego, byśmy się pobrali!

- Cholerne małe czarownice - roześmiał się Bruce, ale szybko spoważniał. - Mówię o was obu. Zrozumiałaś?

- Skoro tak uważasz, Bruce.

Jej mąż ponownie porwał ją w ramiona i okręcił wokół siebie. Była podniecona i bardzo szczęśliwa.

- Coś mi się wydaje, że się starzejesz - uśmiechnęła się figlarnie.

- Nigdy tak ciężko nie oddychałeś po takim małym wysiłku!

- Uważaj! Jeszcze dziś w nocy pokażę ci, jaki jestem stary - ostrzegł ją Bruce.

- Dzięki Bogu! A zaczynałam się już martwić - roześmiała się Mary Kate. Wciąż śmiejąc się pobiegli w stronę pagórka.

- Elmer! - wrzasnął Bruce, ujrawszy wreszcie pilota. - Ty i ja mamy ze sobą do pogadania. Ale najpierw weźmiesz dwa tygodnie płatnego urlopu. Hilyard, chcę byście wszyscy zabrali się pana helikopterem. Drugi pozostanie tu ze mną. Becky, wszystko w porządku z tobą i z twoim pacjentem?

Dziewczyna wychyliła się przez szerokie drzwi ciężkiej maszyny i zeskoczyła, lądując w jego ramionach.

- Bałam się wsiąść, zanim nie skończysz wydzierać się na mamę - oznajmiła wesoło.

- Kto? Ja? Ja miałbym się drzeć na twoją mamę? - zachichotał. - No, ale co z tobą, dziecino, naprawdę dobrze się czujesz? - spytał poważniejąc.

- Fizycznie czuję się wyśmienicie - zapewniła go Becky. - Poza tym, że straciłam trochę włosów. Nie wiem natomiast, jak to będzie z Jake'em. Jego ręka i ramię są mocno poparzone, a ja bardzo go kocham.

- Widzę, że to skomplikowany przypadek, pani doktor. Porozmawiamy o tym, gdy wrócimy. Twoja matka i ja pozostaniemy tu przez chwilę, a potem wrócimy drugim helikopterem.

- Na litość boską, po co to robisz, tato?

- Nie twój interes, Rebecco Latimore! - odparł Bruce, klepiąc ją po skąpo okrytym siedzeniu. Następnie pomógł jej wsiąść do helikoptera. - Załóż wreszcie coś na siebie, mój płaszcz, cokolwiek.

Nie chcę, by moja córka latała po okolicy półnaga, ubrana tylko w plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy. Zrozumiałaś?

- Może mama pożyczylaby mi swoją bluzkę? Mam przeczucie, że nie będzie jej dziś potrzebowała!

Dopiero kilka minut po odlocie helikoptera Bruce uchwycił prawdziwe znaczenie jej słów. Ryknął śmiechem i przez dłuższą chwilę nie mógł się uspokoić.

- A to co takiego? Może zdradzisz mi powód twojej wesołości? - spytała Mary Kate z troską.

- Tak to jest, gdy się ma córkę lekarza - odparł Bruce, wyciągając rękę do swojej żony. - Miała rację. Dziś wieczorem ta bluzka nie będzie ci potrzebna!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Stara farma stała na wzgórzu, w znacznej odległości od szosy stanowej. Kiedyś była biała i teraz sześciu malarzy dokładało starań, by znów się taka stała.

W ferworze dyskusji Becky ścisnęła ojca mocno za rękę:

- Tato, to naprawdę nie musi lśnić i błyszczeć. Pobędę tu nie dłużej niż jakieś trzy, cztery miesiące. Tylko tak długo, aż wujek Charlie odzyska siły.

- Ależ Becky! - Mimo iż była wysoką kobietą musiał się pochylić, by polaskotać ją swym dużym palcem w podbródek.

- To twój dom, kochanie, i ty o nim decydujesz. Ale to ja byłem odpowiedzialny za niego. Podczas gdy ty chodziłaś do szkoły, ja, kompletny głupiec, pozwoliłem mu podupaść i zarosnąć pajęczynami. Jaki byłby ze mnie budowlaniec, gdybym teraz wyremontował go tylko połowicznie? Poza tym Charlie będzie potrzebował pokoju na parterze. Jeszcze przez dłuższy czas nie wolno mu będzie wspinać się po schodach.

Becky posłała swemu ojcu czarujący uśmiech, ale nie potrafiła ukryć smutku w oczach. Bruce Latimore natomiast wiele się nauczył w ciągu dziesięciu lat małżeństwa. Wiedział, że nie jest szczęśliwa i nawet domyślał się, co jest tego powodem. Był jednak na tyle mądry, by nie poruszać tego tematu. W każdym razie nie bezpośrednio.

- Kiedy wreszcie uda nam się postawić go na nogi, to co zamierzasz dalej robić?

- Ja... ja jeszcze nie wiem, tato. Jak to mama zwykła czasem mówić, mam małe zaćmienie umysłu. Po prostu nie wiem. Ale twoja firma chyba jeszcze nie bankrutuje?

- Raczej nie, kochanie. Michael nigdy by mi tego nie darował.

- Wobec tego może kupię sobie duży bujany fotel i nożyczki, siądę na werandzie i będę odcinać kupony od moich akcji?

- Świetnie. Przynajmniej będziemy wiedzieli, gdzie cię szukać w sobotnie wieczory.

- Mama zawsze wie takie rzeczy - odparła Becky, a w jej głosie znów pojawiła się śpiewna nuta. - Wiesz, co mi powiedziała wtedy, nad jeziorem, po tym, jak rozwalił się ich samolot?

- Nie. Co takiego?

- Powiedziała: No, tym razem mi się dostanie. Może powinnaś kupić trzy bujane fotele, Becky, a ja dołączę do ciebie, jak tylko znowu będę mogła siedzieć!

- Jak sądzisz, co miała na myśli? - spytał ją ostrożnie.

- Nie wiem - odparła Becky. - Ona nie spowiada mi się ze wszystkiego.

- Słuchaj, ta farba jest dość kosztowna - oświadczył Bruce zmieniając szybko temat. - Muszę wracać do Bostonu i zarobić parę groszy. - Odwrócił się twarzą do córki i uniósł jej podbródek do góry.

- Nie chciałabyś może ze mną o czymś porozmawiać?

- Nie, chyba nie, tatku - powiedziała i dodała cicho: - Mama miała dużo szczęścia spotykając cię. Gdybym tylko wiedziała, gdzie szukać takiego mężczyzny jak ty!

Bruce Latimore zatrzymał się tylko na chwilę przy głównej bramie ich rodzinnego domu w samym sercu Eastboro, by porozmawiać z Mary Kate.

- Kiedy musisz się stawić w sądzie? W październiku?

- Tak. Szesnastego października w Taunton. Taki mam w każdym razie zamiar. Ale jeszcze wszystko może się zdarzyć. Do tego czasu, Bruce, musimy jednak rozwiązać ten problem. Nie możemy siedzieć i patrzeć, jak ona się zamartwia. Musimy coś zrobić!

- Spokojnie, Mary Kate, tylko spokojnie. Żebyśmy tylko nie pogorszyli całej sprawy.

- Jesteś pewien, że to chodzi o niego?

- Oczywiście, że to on. Gdybyś ją tylko zobaczyła. Wygląda, jakby miała na piersi list gończy: „Poszukiwany żywy lub martwy Jake Meadows”.

- Ale gdzie on się podziewa? Przynajmniej tyle moglibyśmy się dowiedzieć.

- I niby mimochodem powiedzieć jej o tym? Nic z tego.

Bruce zastanawiał się przez chwilę, czy słusznie postąpił, nie mówiąc Kate całej prawdy. Dobrze wiedział, gdzie jest Jake Meadows.

Po zakończonej sukcesem akcji ratunkowej na lotnisku Logan czekała na Jake'a wojskowa karetka pogotowia. Przyjaciele Bruce'a z Pentagonu zapewnili go, że Meadows nie jest już wojskowym służby czynnej. Przyznali natomiast, że napisał dla nich niezwykle ważną książkę, opartą na swoich doświadczeniach z Wietnamu i Libanu.

Teraz przebywał w Teksasie, w jednym z najlepszych szpitali wojskowych leczących oparzenia. Nikt nie wiedział, jak długo miał tam pozostać. Tak jak nikt nie wiedział, jakie są jego uczucia do Becky. Bruce Latimore zaklął pod nosem i postanowił porozmawiać o tym wszystkim z Mattie. Mattie i Becky dzieliła tylko niewielka różnica wieku. Miały różnych ojców i matki, ale nigdy dotąd nie widział dwóch równie bliskich sobie sióstr. Podniósł słuchawkę i polecił swojej sekretarce wytypowanie kilku bystrych asystentek, które miały służyć jej pomocą w odnalezieniu jego młodszej córki na terenie uniwersytetu.

Dopiero około czwartej po południu usłyszał w słuchawce stanowczy głos swojej córki.

- W jaki sposób dowiedziałeś się tak szybko o tym, że umówiłam się z komunistą? Przecież minęło zaledwie kilkanaście godzin.

- Z komunistą? Ach, masz na myśli tego faceta, Ralpa Jakiegośtam...? To on wciąż jeszcze kręci się koło ciebie?

- Ależ, tato! - głos nieco złagodniał. - On nie rozróżniłby nawet Karola Marksa od Gaucho Marxa. Wyobraź sobie, że chodziło mu wyłącznie o moje pieniądze! Myślałam, że umrę ze śmiechu, gdy zobaczyłam jego minę, kiedy dowiedział się, że ich nie posiadam! Skoro jednak nie chodzi ci o moją randkę, to może lepiej oddzwon pod ten numer? Do końca tygodnia pozostało mi tylko osiemdziesiąt pięć centów.

- Dobrze, już dobrze - westchnął. - Jak to się dzieje, że z Becky, przy wszystkich jej kłopotach, nigdy nie miałem takich problemów jak z tobą?

- Becky? Becky ma kłopoty? - w głosie Mattie pojawił się niepokój. - Co się stało z Becky?

- Oddzwonię lepiej. Twoje osiemdziesiąt pięć centów nie starczy nawet na opowiedzenie ci dziesięciu procent tej historii.

Uzyskanie połączenia zajęło kilka minut i w tym czasie Bruce Latimore miał okazję przemyśleć kilka spraw na nowo.

- Mattie - powiedział, usłyszawszy ponownie głos córki w słuchawce telefonu. - To wszystko jest zbyt skomplikowane, by roztrząsać to przez telefon. Lepiej przyjedź, to pogadamy. Weź taksówkę.

- Dobrze sobie! - roześmiała się dziewczyna. - Jak sądzisz, czy daleko zajadę za moje kilkadziesiąt centów? Nic z tego.

- Do diabła, dziewczyno! - warknął. - Masz własne trzy miliony dolarów. Po jaką cholere oddałaś całą sumę pod zarząd powierniczy? Przecież ojcowie mogą pomagać swoim córkom i finansować ich studia?

- A czy pomagałaś Becky?

-No... nie. Dobrze wiesz, że nie przyjęłaby ode mnie tych pieniędzy!

- No to ja też ich nie wezmę. Bardzo cię kocham, tatuśku, ale podobnie jak Becky mam zamiar samodzielnie pokierować moim życiem.

- Do diabła z wami, dziewczyny - mruknął. - Jedyna rzecz, na której wam zależy, to niezależność! To wszystko wina Mary Kate!

- Pewnie - odparła Mattie. - Więc jaki masz pomysł?

- No dobrze. Powiedz mi, na którym rogu ulicy będziesz stała, a ja podeślę ci samochód. I nie życzę sobie dalszej dyskusji na ten temat!

- Tylko nie każ mi za długo czekać. Tak się składa, że na tym rogu kręci się dużo... pracujących dziewcząt. Nie chciałabym wsiąść do niewłaściwego samochodu!

Połowa personelu zdążyła już wyjść do domu, kiedy Mattie Latimore wkroczyła do biura. Ładna, dobrze zbudowana blondynka przysiadła na rogu biurka, przy którym siedział jej ojciec.

- A więc?

- Co „a więc?” Nie umiem sobie poradzić z tobą i nie umiem sobie poradzić z Becky. Może więc wy dwie pomożecie sobie nawzajem?

- Becky ma jakieś kłopoty? - spytała Mattie, ześlizgując się z biurka i siadając wygodnie na krześle. - Opowiedz mi wszystko.

Bruce zaczął całą historię od dramatycznych wydarzeń. Mówił chyba ponad godzinę.

- Chcesz powiedzieć, że Becky snuje się po domu?

- Nie, skądże. Pracuje jak głupia, szykując dom na przyjazd Charliego Rileya, który pod jej opieką będzie dochodził do zdrowia po zawale. Ale nie ma w niej ognia. Na pewno chodzi o tego mężczyznę. A on przebywa aż w Teksasie. - Dalej popłynęła dłuższa opowieść o szpitalach, oparzeniach i Teksasie.

- A ty, tato, co? Boisz się wsadzić kij w mrowisko? Przecież masz w Teksasie wielu przyjaciół.

- W tym rzecz - jęknął. - Wystarczy, że tylko zacznę się podpytywać i wszystko się rozniesie. Nie, nie chcę tego robić.

- Wobec tego ja coś zrobię - powiedziała Mattie z determinacją w głosie. - Nikt nie będzie traktował w ten sposób mojej siostry. Pożycz mi trochę drobnych.

Bez słowa sprzeciwu Bruce Latimore spełnił jej prośbę.

- Muszę wracać do domu - powiedział. - Mary Kate bardzo się tym wszystkim martwi. Zresztą ona ostatnio też jest jakaś dziwna. Przyjedziesz do nas na kolację?

- Nie - odparła Mattie. - Zostanę tu, by podzwonić. Może czegoś się dowiem.

Tej nocy łącza na linii Boston-El Paso w Teksasie były niezwykle obłożone. Mattie nieobce były sprawy wojska. Nie na darmo przez wiele lat wychowywała się ze swą przyrodnią siostrą i bratem. Tak więc, korzystając z usług pracującej na nocnej zmianie telefonistki w szpitalu, krok po kroku dodzwaniała się po kolei do różnych osób. Wreszcie udało jej się uzyskać połączenie z oficerem dyżurnym. Był to dość obcesowy młody człowiek, który, przynajmniej na początku, nie zdawał sobie sprawy z dwóch rzeczy. Po pierwsze, nie wiedział, że wszystkie dziewczęta z domu Latimore były wprost niewyobrażalnie uparte. Po drugie, nie miał pojęcia, iż ojcem chrzestnym Mattie był generał-porucznik Alstpastor, oficer liniowy, który nie żywił przesadnego szacunku dla zwykłych lekarzy. Nawet tych w stopniu kapitana.

Dopiero około dziesiątej wieczorem została wreszcie połączona z siostrą oddziałową.

- Nie mogę tego zrobić - oznajmiła pielęgniarka.

- To jeden z naszych pacjentów i w tej chwili prawdopodobnie już śpi.

- Widzi pani - postanowiła skłamać Mattie. - Jestem pewna, że nie śpi. On nigdy nie śpi. Mam do niego niezwykle ważną sprawę. Chodzi o to, że ktoś z rodziny może umrzeć.

- No dobrze. Poddaję się - westchnęła pielęgniarka.

- Zajrzę do niego.

Pięć minut później rozległ się trzask w słuchawce i głęboki głos spytał: „Meadows. Do diabła, co się dzieje? Moja rodzina nawet nie wie, że tu jestem”.

Zanim mógłby cisnąć słuchawką, Mattie powiedziała szybko:

- Co pan tam wie. Nazywam się Mattie Latimore. Becky jest moją siostrą.

- Mój Boże! - zawołał. - Becky? Przecież powiedziano mi, że nic jej nie dolega. Becky jest umierająca?

- To wszystko zależy od tego, jak długo zamierza pan tam jeszcze tkwić i kurować swój cenny grzbiet?

- Mam to już dawno za sobą. Co najmniej od dwóch czy trzech tygodni. Trzymają mnie tu tylko po to, bym wreszcie skończył pisać tę głupią książkę!

- Nikt inny nie może jej za pana napisać?

- Powiedzmy, że jestem jedyny, który potrafi ją złożyć do kupy. Z pewnością, gdybym miał kilka sekretarek, zrobiłbym to o wiele szybciej.

- Ile czasu zajęłoby to panu z pomocą dwóch sekretarek i wysokiej jakości komputera IBM?

- To pani ma aż takie wpływy?

- Owszem. Kiedy może się pan stamtąd wyrwać? Jutro rano?

- Po co czekać do rana? - mruknął. - Tym bardziej, jeśli Becky... Już wskakuję w portki. Dlaczego chciała pani, bym czekał do rana?

- Bo dopiero jutro rano będę w stanie przysłać po pana samolot.

- Proszę sobie nie zawracać tym głowy. Mam tu na południu masę znajomych pilotów, którzy winni mi są przysługę. A tak przy okazji, gdzie jest teraz Becky?

- Na farmie. Uznano, że nie ma sensu trzymać jej w szpitalu, więc zabraliśmy ją do domu.

- Boże drogi! Proszę posłuchać. Będę musiał wylądować na jakimś wojskowym lotnisku.

- Może w Bedford? - zaproponowała. - Na Lincoln Laboratory. Kiedy można się pana spodziewać?

- Nie wiem. Gdzieś wczesnym rankiem. Jak panią poznam?

- Bardzo łatwo - roześmiała się Mattie. - Będę jedyną blondynką w okolicy, śpiącą w mercedesie swojego ojca. To by było chyba na tyle.

- Nie. Jeszcze nie - zauważył trzeźwo Jake. - Widzi pani, zdążyłem poznać większą część waszej rodziny i czasami

zastanawiałem się, czy nie brak wam piątej klepki. Jak to jest tym razem? Mówiła pani serio? Czy Becky wie, że przyjeżdżam?

- Nie - odparła Mattie, odpowiadając na pierwsze pytanie. - Nie ma w tym ani słowa prawdy. Oni wszyscy są miłymi, spokojnymi ludźmi. To ja jestem wiedźmą.

- Ma to pani po mamusce? Co konkretnie dolega Becky?

- Tak, mam to po mamie... a Becky nie wie, że pan przyjeżdża, a ja nie wiem, co jej dolega. Całymi dniami przygląda się, jak robotnicy malują jej dom. Gdyby świat się zawalił, też by tego nie zauważyła.

- I to się pani nie podoba?

- Oczywiście, że mi się nie podoba. Przecież to moja siostra! Bardzo ją kocham.

- Widzi pani - powiedział Jake. - Ja też bardzo kocham pani siostrę, ale nie otrzymałem z jej strony żadnej zachęty. Powiedziała mi nawet, że wiele dziewcząt mogłoby się łatwo we mnie zakochać, ale nie ona.

- Założę się, że to niedokładny cytat.

- No cóż, może faktycznie niezbyt dokładny. Ale mogła mi przecież dać odczuć, że jej na mnie zależy.

- Pan też mógł. Zrobił to pan?

- Oczywiście, że nie. Nikt nie lubi afiszować się ze swoimi uczuciami, a potem dostać kosza.

- Przecież Becky mogła bać się dokładnie tego samego!

- Chce mi pani powiedzieć, że byłem przeklętym głupcem?

- Nie byłbyś pierwszy w naszej rodzinie... Jake?

- W porządku, Mattie. Rozłącz się lepiej, bo nie wypłacisz się do końca życia. Coś jeszcze?

- Jeszcze tylko jedna rzecz, Jake. Mój brat, Henry, to kawał chłopa, a wokół mnie kręci się dwóch graczy w futbol. Lepiej uważaj. Jeśli przyjedziesz tu i skrzywdzisz Becky, zrobię wszystko, byś od nich zdrowo oberwał. Zrozumiałeś?

- Pewnie, że zrozumiałem. Nie martw się, nie skrzywdzę jej. Mam się więc rozglądać za blondynką w mercedesie? No to do zobaczenia tuż po wschodzie słońca.

W rodzinie Latimore'ów trudno dochować sekretu przez pełne cztery dni. W tym czasie Jake ukończył swoją książkę, Mary Kate zaskoczyła swoją rodzinę, a Bruce ogromnie polubił adoratora swojej córki.

- Jak burza wpadł do mojego biura - opowiadał żonie - oznajmił, że zamierza poślubić moją córkę i żebym lepiej od razu mówił, czy mam jakieś zastrzeżenia.

- A ty mu wygarnąłeś? - zaśmiała się Mary Kate.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Przez całe cztery dni nie miałem sekretarki, nikt nie mógł korzystać z komputera, a po biurze walały się wszędzie papiery i kręcili obcy ludzie. Z miejsca zaproponowałem mu, że jeśli chce z nią uciec, to bardzo proszę, jeszcze potrzymam im drabinę.

- Co takiego? Bruce Latimore, ty...

- Właśnie dokładnie to mu powiedziałem - potwierdził jej mąż, krztusząc się ze śmiechu. - Dodałem jedynie, że choć ja nie mam nic

przeciwko temu, to ty z pewnością go zabijesz, jeśli ślub nie odbędzie się jak należy, w kościele. I tyle go widziałem. Naprawdę, miły facet.

W tej samej chwili do salonu wbiegł Michael, usłyszał ostatnie słowa i wrzasnął:

- Przyjeżdża miły pan? Miły pan przyjeżdża?

- Tak, kochanie - odpowiedziała Mary Kate radośnie. - W sam raz na twoje urodziny. Mój chłopiec kończy cztery latka! Jaki ty już jesteś duży!

- No dobra. Muszę jeszcze trochę popracować - zauważył Bruce. Zawołajcie mnie, gdy będę potrzebny.

- Pewnie! - mruknęła pod nosem Mary Kate. - Typowy mężczyzna. Zostawia całą brudną robotę kobietom.

Tego dnia Becky wstała wcześniej, jak zwykle zresztą. Nauczyła się tego tu, na farmie. Wypiła kubek rozpuszczalnej kawy, założyła wytarte dżinsy oraz stary sweter i przepasała włosy barwnym szalem. Mimo fachowego strzyżenia, jej włosom daleko było do pierwotnego stanu. Jak co dzień usadowiła się wygodnie na starym pniu w pobliżu domu.

Malarze przyjechali tuż po ósmej, rozstawili drabiny i zabrali się do pracy. Wysokość zaoferowanej im przez pana Latimore'a premii skutecznie zachęcała ich do podejmowania wszelkiego rodzaju wysiłków.

O ósmej trzydzieści ze stojącego po drugiej stronie pagórka domu wyszła Anna i dołączyła do Becky. Anna i jej mąż, Henry, mieszkali tam wraz z czwórką dzieci i prowadzili gospodarstwo mleczne. Becky nie potrafiła ukryć zdumienia. Zazwyczaj o tej porze

Anna, duża, wesoła dziewczyna ze Skandynawii, zajęta była wyprawianiem dzieci do szkoły i męża do pracy. Była w siódmym miesiącu ciąży i poruszanie się sprawiało jej niemało trudności.

- Ciepło, co? - zagała, siadając obok Becky.

- Taak... jak na wrzesień. Jak tam dzieci?

- Co? Dziękuję, dobrze.

- A Henry?

- Jak zawsze. Pracuje. Coś wcześniej przyjechali dzisiaj malarze.

Muszą cię lubić.

- Daj spokój, Anno. Doskonale wiesz, że ojciec obiecał im niezłą premię, więc się spieszą. Ciekawe, kogo on chce na to nabrać.

- Słyszałaś najnowsze wieści na temat rodziny?

- Na temat rodziny? - Becky pokręciła głową. Od ponad tygodnia z nikim się nie kontaktowała. Co ciekawe, oni również nie próbowali się z nią porozumieć.

- Mama złożyła urząd sędziowski. Wczoraj poinformowała o tym gubernatora.

- Co takiego? Po co miałyby to robić?

- Jest w ciąży! Tata twierdzi, że to za sprawą wody na Bermudach. Mama z kolei uważa, że to efekt przesiadywania w helikopterze nad Lake Mohawk.

- Ale przecież jej lekarz powiedział...

- Mylił się. Lekarze! O czym tam oni mogą wiedzieć? Ach, przepraszam, Becky.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć - westchnęła Becky. - Przecież ona nie jest już... taka młoda.

- Ma dopiero trzydzieści dziewięć lat. Hej, popatrz tylko na swoich malarzy!

Becky obserwowała ich przez cały czas. W oddali rozległ się dzwonek telefonu. Jeden z robotników kiwnął ręką, że odbierze i wszedł do domu. Gdy wyszedł, powiedział coś do swoich kolegów, którzy jak na komendę przestali nagle pracować. Błyskawicznie zwinęli swoje drabiny, załadowali je na dwie zaparkowane przed domem ciężarówki i zanim zdążyła zareagować, odjechali. Tylko mistrz krzyknął jej na pożegnanie: „Wrócimy jutro, Becky!”

Anna przez chwilę spoglądała za nimi, po czym z trudem wstała.

- Muszę iść i przygotować obiad dla Henry'ego - oświadczyła. - Miło mi się z tobą rozmawiało, Becky. Zobaczymy się niedługo.

Becky całkowicie zgłupiała. Bardzo lubiła Annę, ale przez ostatnie dwa tygodnie zamieniły ze sobą raptem kilka słów.

Zastanawiała się, co tu jest grane?

W ciszy, jaka nagle zapadła, przyjrzała się budynkowi. Był prawie gotowy. Miała nadzieję, że spodoba się wujkowi Charliemu. Karetka miała go tu przywieźć w poniedziałek. Ciekawe, gdzie podziewał się Jake? To bolało ją najbardziej. Przez cały czas nie odezwał się ani słowem. Nie dostała nawet głupiej pocztówki. Może zajął się Mavis Pell?

Gdzieś za nią, przy wiejskiej drodze, zatrzymał się samochód. Trzasnęły drzwi i samochód odjechał. Powstrzymała chęć, by sprawdzić, co to takiego. Po co zawracać sobie niepotrzebnie głowę?

Nagle żwir zachrząścił pod czyimiś nogami. Tym razem Becky odwróciła się. W ogromnym napięciu czekała na to, co nastąpi. Przeciągnęła ręką po włosach i poprawiła chustkę na głowie.

- Becky? - usłyszała nagle jego głos. Głęboki i spokojny.

Przełknęła ślinę i powiedziała:

- Nie wierzę własnym oczom, toż to Jake Meadows! Siadaj, proszę - zaproponowała, wskazując dłonią miejsce obok siebie.

- Bardzo mi ciebie brakowało, Becky.

- Co ty powiesz?

- Jeszcze niedawno leżałem w szpitalu w Teksasie. Nie bardzo mogłem cię odwiedzić - powiedział cicho, pozbawionym emocji głosem.

Becky zerwała się na równe nogi.

- Byłeś w szpitalu? Naprawdę? Boże! Nic o tym nie wiedziałam!

- Przysłoniła dłońmi usta, by powstrzymać szloch. Jake wyciągnął rękę i ponownie usadził ją na miejscu, dużo bliżej siebie.

- Co porabiałaś przez te wszystkie tygodnie, Becky?

Chciała mu powiedzieć, że umierała za nim z tęsknoty, ale nie odważyła się.

-Widzisz... wujek Charlie miał atak serca, więc pomyślałam sobie... mam ten dom... to mój dom... i pomyślałam sobie, że mogłabym się nim zaopiekować, póki nie wydobrzeje... widzisz... on jest starym kawalerem i...

- No dobrze. A co z twoją pracą? Zastanawiałaś się już nad tym, gdzie będziesz pracować? Czy nadal chcesz być chirurgiem?

-Ja... nie... Zmieniłam zdanie. Gdy tylko wujek Charlie dojdzie do siebie, chcę znaleźć jakiś mały szpital i zająć się pediatrią, nie chirurgią.

- Tak bardzo lubisz dzieci?

- Tak. A... a ty?

- Ja też. Moje własne.

- Ty... wydawało mi się, że nie masz dzieci.

- Bo też ich nie mam - roześmiał się Jake. - Jeszcze nie mam.

Ale lubię dzieci. - Przez moment panowała cisza.

- Co z twoją ręką, Jake? Wyglądała wtedy nie najlepiej.

- Wszystko już w porządku. Popatrz tylko. - Zdjął sweter i położył obnażoną rękę na jej ramieniu. Becky zadrżała, ale bynajmniej nie z zimna. Milcząco wpatrywała się w delikatną tkankę blizny i przejechała po niej ciepłymi palcami. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, pochyliła się i pocałowała blizny po wewnętrznej stronie jego łokcia.

- Dobra robota - szepnęła. - Czy zrobili to w Wojskowym Centrum Leczenia Oparzeń?

- Tak - odparł Jake. Nie uczynił najmniejszego ruchu, by zabrać swoją rękę. Nawet przysunął się nieco bliżej. - Powiedz mi - spytał, wskazując ręką na odnowiony budynek - ile ten dom dla ciebie znaczy? Czy to jedyne miejsce, w którym mogłabyś mieszkać?

- Ten dom? Nie, nie jestem przywiązana do żadnego domu. Po prostu tu się urodziłam i tu mieszkaliśmy z mamą, póki nie pojawił się tata. To wszystko... - zakreśliła ręką szeroki łuk - należy do mnie i do

Henry'ego. To mój rodzony brat. Jest farmerem. Mieszka tuż obok, o tam, za wzgórzem.

I co dalej?

- Henry chce pozostać na gospodarstwie i ma żonę, Annę, której ta praca też się podoba. Tak więc pomyślałam sobie, że gdy tylko wuj Charlie wyzdrowieje, podaruję ten dom Henry'emu. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem. Ale wiesz co? Co jest z wami, Latimore'ami? Ile razy zadaję wam jakieś pytanie, otrzymuję mnóstwo pięknych słów, ale żadnych odpowiedzi.

-Nie odpowiedziałam na twoje pytanie? Jake... obawiam się, że... zapomniałam, o co pytałeś?

- Pytałem, czy jesteś tak bardzo przywiązana do tego domu, że nie mogłabyś mieszkać gdzie indziej? - Zanim zdążyła sformułować odpowiedź, porwał ją w ramiona i usadził tak, że musiała patrzeć mu prosto w oczy. - Odpowiesz wreszcie?

- Nie wiem... nie wiem, o co ci chodzi, Jake. Nie, nie jestem do niego aż tak bardzo przywiązana.

- Dobrze. A teraz drugie pytanie. Przypominam sobie, że całkiem niedawno, nad pewnym jeziorem, poczyniłaś pewną uwagę, że choć wiele dziewcząt mogłoby się łatwo we mnie zakochać, to ty do nich nie należysz. Co dokładnie miałaś wówczas na myśli?

-Wiesz... było to takie stwierdzenie... gdy mówisz o czymś czysto hipotetycznie. Nie chodziło mi o nic konkretnie. Nie wiem, dlaczego powiedziałam wtedy coś tak głupiego. A teraz nie wiem, dlaczego płaczę.

- Dobrze ci zrobi, gdy się trochę wypłaczesz - powiedział Jake i przytulił ją do siebie.

- Co robisz? - spytała po chwili, ocierając łzy.

- Całuję cię w ucho. W lewe - odparł. - Gdy skończę, będę całował prawe. A kiedy wreszcie zmęczysz się płaczem, a ja całowaniem uszu, pokażę ci prezent, który ci przywiozłem.

- Nie, nie jestem jeszcze gotowa - westchnęła, zwijając się w kłębek i obejmując go mocno w talii. Minęło pięć minut. Z tyłu, w krzakach, coś zaszeleściło. Jake delikatnie odsunął Becky od siebie. Dziewczyna usiadła prosto i przetarła oczy rękawem bluzki.

- No to co, chcesz teraz swój prezent?

- Oczywiście, że chcę - westchnęła Becky. Jake sięgnął ręką do tylnej kieszeni swych dżinsów i wydobyl z niej niewielki pakunek. Becky niecierpliwie rozerwała papier. - Książka! - westchnęła. Właściwie nie była to jeszcze książka, ale maszynopis książki. Przez łzy spojrzała na pierwszą stronę. Przeczytała dedykację: „-Doktor Rebecce Latimore, za pomoc w badaniach i wyrozumiałość”.

Pokręciła głową, by pozbyć się łez z oczu. Jake śmiejąc się podał jej chusteczkę. Becky wytarła nos i oczy, przekręciła kartkę i spojrzała na tytuł:

„Postępowanie w nagłych przypadkach w chirurgii polowej”, opublikowane i zatwierdzone przez departament obrony. Autor: generał-brygadier dr n.med. Jake R. Meadows, naczelny chirurg wojskowy armii amerykańskiej.

-Ależ, ależ... to przecież ty... - wykrzyknęła zdumiona.

- Tak mi się też zdaje - zachichotał Jake. - To właśnie tę książkę usiłowałem skończyć w górach. Gdy tylko zostanie opublikowana, dostaniesz pierwszy egzemplarz.

- Więc jesteś chirurgiem? A do tego generałem? Prawdziwym generałem?

- Nie, już nim nie jestem - odparł. - Wycofałem się z tego interesu, to znaczy z bycia generałem, a nie chirurgiem. Ta książka jest moim prezentem pożegnalnym dla armii.

- No nie! - westchnęła Becky i przytuliła się jeszcze mocniej do niego. - Cieszę się, że odchodzisz z wojska. Wujek Charlie był sierżantem podczas drugiej wojny światowej i uważa, że wszyscy generałowie to zakute łby. No, no. A więc jesteś chirurgiem!? Pewnie masz mnie za zupełną idiotkę.

Jake postukał ją lekko palcem po nosie.

- Nie wkładaj mi słów do ust - powiedział cicho, przyciągając ją mocno do siebie. - Nawet mi to nie przyszło do głowy. Jeśli jednak pozwolisz, mam do ciebie jeszcze parę pytań.

- Pewnie. Strzelaj. To znaczy, pytaj.

- Mówiłaś mi kiedyś, że jesteś taka bogata, że nie musiałabyś wcale pracować, czy to prawda?

- Tak i nie - westchnęła Becky. - Zdaje się, że mam dość dużo pieniędzy, ale zainwestowałam je w fundusz powierniczy.

Członkowie zarządu spotykają się raz do roku i uzgadniają, na jaki cel charytatywny mają zostać przekazane wszystkie zyski.

- A w następnym roku wszystkie zyski znów się akumulują?

- Tak. To dzięki udziałom, jakie posiadam w korporacji. Wiesz, tata kocha pracować. A kiedy pracuje, zarabia mnóstwo pieniędzy. A potem my: mama, Mattie i ja rozdajemy je. To był pomysł Mary Kate. Ona twierdzi, że praca odmładza ojca. Założyła specjalny fundusz, na którym gromadzi pieniądze, by mieli z czego żyć, gdy przejdą na emeryturę. Pomysł nam się tak spodobał, że Mattie i ja postanowiłyśmy zrobić to samo. Czy ta odpowiedź cię zadowala?

-Tak jest. Chodź, przysuń się troszkę bliżej. Nie miałabyś więc nic przeciwko temu, by wyjść za człowieka, który żyje jedynie ze swych skromnych dochodów?

- Nie miałabym - odpowiedziała Becky, pociągając nosem.

- Jak sądzisz? Czy twój tata zgodzi się, byśmy się pobrali? - W tej samej chwili dobiegł ich z farmy za wzgórzem gniewny głos Anny.

- Faith! Faith Latimore! Ty mały, wstrętny szpiegu. Masz natychmiast wracać!

Jake, nie oglądając się za siebie, rzucił przez ramię:

- No i jak mi idzie, Faith?

Dziewczynka wstała zza krzaka, otrzepała spodnie i podeszła do nich bliżej.

- Mogło być lepiej - westchnęła - ale wiem, jak trudno jest rozruszać Becky. A o tatę się nie martw. Dziś rano przy śniadaniu słyszałam, jak wykrzykiwał do mamy: „Zastrzele go, jeśli się z nią wreszcie nie ożeni. Jak długo mam jeszcze znosić całe to zamieszanie?”

- A co na to wasza mama?

- Śmiała się i przypomniała mu, że ma jeszcze trzy córki na wydaniu.

- Hej, to brzmi wielce zachęcająco - roześmiał się

Jake i zwrócił się ponownie do Becky: - Jest jeszcze jedna sprawa. Jest pewien mały szpital w Middleboro, szpital Saint Luke. Naprawdę miłe miejsce. Przydałaby im się para lekarzy, jak tylko wuj Charlie wyzdrowieje. Co ty na to?

- Brzmi nieźle - odpowiedziała Becky ze spuszczonej oczami, czerwona jak piwonia.

- O czym znowu zapomniałem? - poskarżył się Jake.

- Powinieneś ją pocałować i spytać, czy za ciebie wyjdzie - parsknęła Faith. - W tym tempie oboje skończycie czterdziestkę, zanim uda mi się zaciągnąć was do ołtarza!

- Nie Ucz na to, moje dziecko. Dalej sam już sobie poradzę - roześmiał się Jake. - A teraz zmykaj do domu i to migiem! - Nie czekając na reakcję dziewczynki pochwycił Becky na ręce i ruszył w kierunku-domu. - Gdzieś tu musi być przecież jakieś miejsce, w którym choć przez chwilę moglibyśmy zostać sami! - mruknął i kopniakiem zamknął za sobą drzwi wejściowe.

- Kto wie - zaśmiała się Becky, przytulając się mocniej do niego. - Wszystko zależy od tego, co masz na myśli. Cokolwiek by to jednak było, lepiej się pośpiesz. Michael kończy dziś cztery latka i o jedenastej zjeżdża cała rodzina, by uczcić jego urodziny. Czyli dokładnie za dwie godziny.

- Wobec tego mamy mnóstwo czasu. A żeby ci udowodnić, jaki ze mnie świetny facet, zostanę również na przyjęciu. No i jak ci się to podoba?

- Podoba mi się wszystko, co robisz - westchnęła Becky. - Tylko, czy nie mógłbyś się trochę pospieszyć?

RS